MIASTA BĘDĄ CIĄĆ
Samorządy: kryzys dopiero przyjdzie

PRZECIW NAUCE
Jak biskupi widzą LGBT+

BIAŁORUSKI ZRYW
Gdy spokojny naród straci cierpliwość

ŚWIĘTA ZIEMIA
Dzika Islandia uratuje planetę

GŁOWA LEWEGO
Prosty przepis na mistrza piłki

Kraków 6 września 2020 nr 36 (3713) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

Szkoła do odwołania

DODATKI

POŻEGNANIE JÓZEFY HENNELOWEJ

WŁÓCZYKIJ I POWSINOGA

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

TEATR ŻEROMSKIEGO W KIELCACH

SEZON 2020/2021

LORETTA

George F. Walker, reż. Michał Kotański
Premiera: 10 października 2020 / Otwarcie siedziby tymczasowej Teatru im. Stefana Żeromskiego w Kielcach przy WDK w Kielcach

3. KIELECKI MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL TEATRALNY

3. Kielecki Międzynarodowy Festiwal Teatralny
7-15 listopada 2020

OCH, TE DUCHY!

Eduardo De Filippo, reż. Dan Jemmett
Prapremiera polska: 7 listopada 2020

WIOSENNA BUJNOŚĆ TRAW

tekst i reż. Michał Siegoczyński
Prapremiera: 5 grudnia 2020

DZIKA RÓŻA

28. Plebiscyt Publiczności „O Dziką Różę"
6-13 grudnia 2020

EXPIRIA

choreo. i wykonanie: Agnieszka Kryst **/ Prapremiera: 16 stycznia 2021**
Koprodukcja z Nowym Teatrem w Warszawie NOWY TEATR

KLĄTWA RODZINY KENNEDYCH

Jolanta Janiczak, reż. Wiktor Rubin
Prapremiera: 27 lutego 2021

DANCE MOM

choreo. Wojciech Grudziński **/ Prapremiera: 27 marca 2021**
Koprodukcja z Nowym Teatrem w Warszawie NOWY TEATR

ZARAZA

Neil Bartlett, reż. Una Thorleifsdottir **/ Prapremiera polska: 1 maja 2021**

SAMI PORZĄDNI LUDZIE

Gratien Gélinas, reż. Jerzy Bończak
Premiera: 19 czerwca 2021

PO SZE RZA NIE PO LA

Spektakle EXIRIA oraz DANCE MOM koprodukowane przez Teatr im. Stefana Żeromskiego w Kielcach i Nowy Teatr w Warszawie powstają w ramach „Poszerzania Pola" – programu choreograficznego warszawskiego Nowego Teatru i Art Stations Foundation, którego kuratorką jest Joanna Leśnierowska.

TEATR ŻEROMSKIEGO W KIELCACH

TEATR ŻEROMSKIEGO W KIELCACH

Więcej na www.teatrzeromskiego.pl / REZERWACJE: +48 41 344 75 00; kasa@teatrzeromskiego.pl

KS. ADAM

Boniecki: *Niepoprawny jak Zieja*

Dwudziestego ósmego sierpnia do kin wszedł „Ksiądz Zieja". Premierę, planowaną na 13 marca, opóźniono z powodu epidemii. W „Tygodniku" zamieściliśmy obszerne omówienie pióra Jerzego Sosnowskiego, po którym nie widzę potrzeby pisania nowej recenzji. Chcę się jednak podzielić kilkoma refleksjami o księdzu Ziei.

Poznałem go najpierw jako słuchacz jego kazań, potem osobiście. Był i pozostał dla mnie ważny. Bałem się, że film będzie hagiograficzną opowieścią o jakimś innym, wymyślonym przez twórców księdzu. Tak się nie stało. Być może – tak myślałem, oglądając film – Andrzej Seweryn, który wcielił się w bohatera filmu, też znał księdza osobiście? Bo uchwycił w tej postaci to, co było najistotniejsze.

Z jego bogatego życiorysu szczególnie zapadła mi w pamięć pozornie drobna historia o tym, jak w poszukiwaniu ewangelicznego stylu życia – jako młody ksiądz – wstąpił do kapucynów. Kiedy jednak po trzech miesiącach odkrył, że w klasztornej kuchni przygotowuje się inny (gorszy) posiłek dla ubogich, a inny (lepszy) dla zakonników, natychmiast opuścił klasztor.

Był księdzem, prałatem (nigdy nie widziałem go w prałackim stroju) lojalnym wobec władzy kościelnej, a jednocześnie człowiekiem Ewangelii, wolnym w tym, co mówił, pisał i w co się angażował. A jak na księdza angażował się, można powiedzieć, nietypowo: zawsze po stronie krzywdzonych, ubogich, zepchniętych na margines. Większość, a może nawet wszystkie swoje nietypowe zaangażowania uzgadniał z władzami kościelnymi.

W komentarzach do Ewangelii też bywał zaskakujący. Np. słowa Jezusa, co robić z takim, co nawet Kościoła nie chce słuchać: „Niech ci będzie jako poganin albo celnik", komentuje inwokacją: „Ty, któryś z poganami i celnikami zasiadał do wspólnego stołu".

Kiedy po internowaniu prymasa Wyszyńskiego (i po kazaniu wygłoszonym na ten temat) archidiecezja, za sugestią władz PRL-u, poleciła księdzu opuścić Warszawę, osiadł na rok na Harendzie. Wyjazd na Ziemie Odzyskane, pracę w Słupsku, w założonym tam domu samotnej matki i Uniwersytecie Ludowym, uzgodnił z abp. Sapiehą. W czasie okupacji abp Szlagowski wyznaczył go na konspiracyjnego kapelana Szarych Szeregów i Batalionów Chłopskich. Nie znalazłem potwierdzenia, że uzyskał zgodę prymasa Wyszyńskiego na zaangażowanie w tworzenie, a potem w działalność KOR-u, ale tego nie wykluczam (członkowie KOR-u mówili, że jest „empirycznym dowodem na istnienie Boga"). Niewątpliwie za zgodą prymasa zajmował się pomaganiem byłym więźniom powracającym z ZSRR.

Był więc księdzem zdyscyplinowanym, a zarazem niepoprawnym. Tak np. go ocenili księża, którym na jakimś zebraniu w 1949 r. tłumaczył, że Kościół powinien oddać ubogim parafianom posiadane ziemie. Proboszczowie z politowaniem patrzyli na niego jak na fantastę. A w 1950 r. wszystkie należące do Kościoła majątki zostały znacjonalizowane.

Ks. Jan Zieja był przez tych, którzy się z nim spotkali, uważany za świętego. Przez konfratrów i przełożonych – nie zawsze i nie przez wszystkich. O tym film nie opowiada. Pokazuje jednak najważniejsze: księdza, który tak rozumiał swoją drogę życia: „Dla mnie kapłaństwo to jest to, co w Ewangelii napisano". ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Rośniemy dzięki Wam!

17,2 – o tyle procent wzrosła w czerwcu sprzedaż egzemplarzowa „Tygodnika Powszechnego"!*

Mamy ogromną satysfakcję, że nasze pismo jest Wam potrzebne, że sięgacie po nie także w czasach trudnych, niepewnych, w pandemii czy kryzysie. To dzięki Wam rośniemy.

Serdecznie witamy nowe Czytelniczki i Czytelników. Rozgośćcie się!

* źródło: dane ZKDP, porównanie: czerwiec 2019/2020

22 Miasta krok w tył
BARTOSZ JÓZEFIAK
Samorządy wpadły w kryzys i oszczędzają, na czym się da. Mieszkańcy boleśnie odczują to dopiero w przyszłym roku.

74 Święta ziemia
ROZMOWA Z ANDRIM SNÆREM MAGNASONEM, ISLANDZKIM PISARZEM:
W przyszłości nie chodzi o technologię, lecz o babcię jedzącą z wnukami naleśniki przy kuchennym stole.

32 Życie spełnione
ANDRZEJ BRZEZIECKI, ARTUR SPORNIAK
Józefa Hennelowa była świetną publicystką, angażowała się w politykę, nade wszystko była jednak specjalistką od spraw ludzkich.

44 Bojówki różańcowe
ZUZANNA RADZIK
Żołnierze Chrystusa wkładają wiele wysiłku, by tworzyć wrażenie zdyscyplinowanych, groźnych i... pobożnych. To nowy zestaw w polskim Kościele.

52 Jak spokojny naród stracił cierpliwość
WIKTORIA BIELIASZYN Z MIŃSKA
Jestem gotowa działać. Tylko niech ktoś powie, co mamy robić. Jak się tworzy podziemie? – pyta Katja, która dotąd nie interesowała się polityką.

102 Głowa Lewandowskiego
MICHAŁ OKOŃSKI
Wśród romantycznych wzorców polskich bohaterów drugiego takiego ze świecą szukać. Tytaniczna pracowitość i rozum zawsze ponad porywami serca. No, prawie zawsze.

BEATA ZAWRZEL / REPORTER // MARTIN ZWICK / REDA&CO / GETTY IMAGES // JAN BIELECKI / EAST NEWS // OLIVER BEHRENDT / PIXATHLON / EAST NEWS // EVGENY ODINOKOV / SPUTNIK / EAST NEWS // KRZYSZTOF KAROLCZYK / AGENCJA GAZETA

INFORMACJA DLA CZYTELNIKÓW Z przyczyn przez Wydawcę niezawinionych, pismo może nie być dostępne w niektórych punktach sprzedaży – szczególnie tych prowadzonych przez Garmond Press SA. W zaistniałej sytuacji najkorzystniejszym i najpewniejszym sposobem otrzymywania naszego pisma jest prenumerata – szczegóły na stronie **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**. *WYDAWCA*

6 Biskupi kontra nauka
JACEK PRUSAK SJ

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Miasta krok w tył
BARTOSZ JÓZEFIAK

26 Bajka o reprywatyzacji
ROZMOWA Z ANDRZEJEM SMOSARSKIM, DZIAŁACZEM RUCHÓW LOKATORSKICH

29 Armia w wersji demo
MARIUSZ SEPIOŁO: *Szeregowi i podoficerowie są niedoszkoleni*

POŻEGNANIE

32 Życie spełnione
ANDRZEJ BRZEZIECKI, ARTUR SPORNIAK

36 Ulica Zamkowa, numer 8
JÓZEFA HENNELOWA

40 Są wśród nas
JÓZEFA HENNELOWA

WIARA

44 Bojówki różańcowe
ZUZANNA RADZIK

48 Maszyna do nadużyć
MASSIMO FAGGIOLI: *Kościołem rządzą mechanizmy protekcji*

50 Nieważne czy ważne
EDWARD AUGUSTYN: *Błąd, sakrament i konsekwencje*

ŚWIAT

52 Jak spokojny naród stracił cierpliwość
WIKTORIA BIELIASZYN

MAGDALENA BURDZYŃSKA

TEMAT TYGODNIKA

12 Edukacja współistniejąca
MACIEJ MÜLLER:
Przywykła do eksperymentów polska szkoła takiego jeszcze nie przeżyła. Boją się go wszyscy: epidemiolodzy, rodzice, nauczyciele, dyrektorzy. Spokojny jest tylko minister.

16 Wszyscy się boją
ROZMOWA Z JAROSŁAWEM PYTLAKIEM, PEDAGOGIEM:
Problemem szkół nie będzie to, że w tysiącu z nich pojawi się 20 tys. zakażonych, tylko że w stu pojawi się po dwóch. To wystarczy, by nakręcić emocje.

FELIETONY

72 WOJCIECH BONOWICZ
100 JAN KLATA **101** PAWEŁ BRAVO
106 STANISŁAW MANCEWICZ
106 BARTOSZ MINKIEWICZ

DODATEK SPECJALNY

86 Włóczykij i Powsinoga

ILUSTRACJA NA OKŁADCE:
MAGDALENA BURDZYŃSKA
Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

56 Najlepsze jedzenie to pieniądze podatników
MAGDALENA CHODOWNIK: *Jak protestują młodzi Tajlandczycy*

58 Do domu na piechotę
EWA KLEWAR Z KOLUMBII: *Wenezuelczycy wracają do kraju*

60 Bez powrotu
AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA Z LIBANU: *Uchodźcy stają się kozłami ofiarnymi*

HISTORIA

64 Dwaj na żydowskiej ulicy
MIKOŁAJ MIROWSKI *o losach Wiktora Altera i Henryka Erlicha*

NAUKA

68 Nożyczki już tną
ANNA BARTOSIK: *Rozgrywa się kolejny etap rewolucji naukowej*

KULTURA

74 Święta ziemia
ROZMOWA Z ANDRIM SNÆREM MAGNASONEM

78 Nowa normalność, stara wyobraźnia
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK: *Filozofowie wieszczą, co będzie po pandemii*

82 Narzędzia dystynkcji
DARIUSZ KOSIŃSKI: *Jak tańczy Teatr Studio*

84 Kołowrót Nolana
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Tenet”*

100 Poszerzenie mapy
LEKTOR *o „Czarnej Księdze”*

ZMYSŁY

102 Głowa Lewandowskiego
MICHAŁ OKOŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Woś się jeży
Czy mamy problem z przełożeniem ideałów Sierpnia 1980 na warunki współczesnego polskiego kapitalizmu? – pyta w cyklu **RAFAŁ WOŚ** **tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy**

Myśl, która mnie uwolniła [Podkast Powszechny]
To, dokąd prowadzi nas sztuka, literatura, muzyka, to miejsca nienazwane, jak podróże w naszych snach – mówi **HANIA RANI**, pianistka i kompozytorka **powszech.net/podkast**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

BISKUPI KONTRA NAUKA

Dokument episkopatu jest szkodliwy także od strony duszpasterskiej, bo pogłębia wewnętrzne konflikty osób LGBT+, które są wierzące.

KS. JACEK PRUSAK SJ

Protest przeciwko nienawiści wobec osób LGBT+, Warszawa, 30 sierpnia 2020 r.

Biskupi przedstawili swoje stanowisko w kwestii LGBT+. 27-stronicowy dokument rozpisany na 105 punktów przypomina, jaką rolę odgrywa płciowość w chrześcijańskiej wizji człowieka, próbuje wskazać miejsce osób LGBT+ w Kościele oraz odnosi się do stanowiska LGBT+ w sprawie wychowania seksualnego dzieci i młodzieży.

Argumentacja nie wnosi niczego nowego dla zrozumienia kwestii różnorodności w obrębie ludzkiej seksualności, bo trudno za odkrywcze uznać użycie po raz pierwszy przez biskupów terminu „orientacja seksualna" (zresztą dzielona w dokumencie na „naturalną" i „nienaturalną" wedle preferencji raczej teologicznych niż naukowych). Podobnie jest ze skrótem „LGBT+" też po raz pierwszy użytym. Potwierdzenie, że przynależność do tego środowiska nie wyklucza z Kościoła, to z kolei żadna nowość, tylko stan faktyczny, poza Polską widoczny także w konkretnych parafiach czy wspólnotach. Nie jest więc również niczym rewolucyjnym potwierdzenie religijnych praw dzieci ze związków monopłciowych. Jedynie osoby transseksualne mogą powiedzieć o łucie szczęścia, biskupi bowiem uznają chrzest transseksualisty, który w młodości zmienił płeć.

Ciągłości kościelnego nauczania w kwestii ludzkiej seksualności, na którą powołują się biskupi, nie można z góry traktować jako dowodu rozstrzygającego w sporach światopo-

glądowych, ponieważ ani geneza seksualności, ani jej przejawy nie odnoszą się wprost do wiary. Biskupi stoją jednak na stanowisku, że odwoływanie się do rozróżnienia płci biologicznej od społecznej jest przejawem ideologii gender, jest niezgodne z Objawieniem, a nauka potwierdza, że o tożsamości seksualnej można mówić wyłącznie w odniesieniu do orientacji heteroseksualnej mężczyzn i kobiet. Twierdzą więc, że to, co nie jest biologicznie zdeterminowane, a więc homoseksualność i biseksualność, można „odwrócić", ponieważ wrodzony jest jedynie heteroseksualizm. W przypadku rozbieżności tożsamości z płcią biologiczną czy orientacją heteroseksualną należy więc mówić o dewiacji. Dokument broni zatem stanowiska, że w odniesieniu do płci, jak i orientacji musimy mówić o determinizmie i wrodzoności (esencjalizm).

Z psychologicznego i psychoterapeutycznego punktu widzenia dokument biskupów ma charakter antynaukowy i w niektórych kwestiach jest wręcz szkodliwy. Jest antynaukowy, ponieważ badania nie potwierdzają istnienia jednego modelu rozwoju danej orientacji dla kobiet i mężczyzn, tak jak nie potwierdzają możliwości zmiany tej orientacji. Jest szkodliwy od strony duszpasterskiej, bo jedynie pogłębia wewnętrzne konflikty takich osób, jeśli uważają się za wierzące. Od strony psychoterapeutycznej dlatego, że legitymizuje szkodliwe interwencje psychologiczne zalecane z powodów religijnych, a mające negatywne konsekwencje dla psychicznego dobrostanu.

Czy w takim razie rozpoznają się w nim osoby, o których mowa w jego tytule? Sęk w tym, że ich w nim nie ma, o nich się tylko mówi, myląc godność osobową z religijnie narzucaną etykietą. Nie sądzę, aby w ten sposób udało się rozwiązać jakiekolwiek spory nie tylko o prawa mniejszości seksualnych, ale o zbawienie takich osób. Szkoda, że dokument nie stara się nawiązać dialogu pomiędzy teologią (religią) a nauką, tylko stanowi rozbudowaną obronę niektórych kontrowersyjnych społecznie wypowiedzi jego sygnatariuszy. Obawiam się, że w takiej postaci stanie się łatwą „ściągawką" dla rzeszy ignorantów, którzy uznają go za „pomoc niebios" w prowadzonych przez siebie „krucjatach", i pogłębi stereotypy. ©

JAKUB KAMIŃSKI / EAST NEWSSKI

AGNIESZKA ROMASZEWSKA-GUZY:

Białoruś: wsparcie potrzebne na wiele sposobów

MARCIN ŻYŁA: Komu pomagać na Białorusi?

AGNIESZKA ROMASZEWSKA-GUZY: Przede wszystkim mediom niezależnym. Także lokalnym, które teraz, tak zresztą jak wszystkie, będą miały problemy. Również przekazywanie polskich doświadczeń ma sens, ale to nie mogą być tylko szkolenia. Nikt na seminarium nie nauczył się robić rewolucji. Wsparcie należy się też ofiarom ostatnich wydarzeń. Chodzi o gesty solidarności: choćby zwykłe paczki czy zaproszenia do Polski dla ich dzieci. Ważne byłoby tworzenie list ludzi, którym warto pomóc – tak, by móc pomagać konkretnym rodzinom na Białorusi.

STEFAN MASZEWSKI / REPORTER

Uczelnie zapowiadają ułatwienia dla studentów z Białorusi, rząd – m.in. specjalny schemat wizowy.

Oba pomysły są trafne. Tak samo jak poszerzenie dotychczasowych działań. Takie projekty jak Radio Racja czy Telewizja Biełsat, która wykształciła już setki dziennikarzy, potem same rodzą owoce. Możemy także leczyć ofiary bicia i tortur. Wspierać białoruskich artystów. Jest przykład: kijowski teatr udostępnił swoją scenę na jubileusz stulecia Teatru Kupałowskiego, narodowej sceny białoruskiej. Również takie działania składają się na „miękkie" relacje polityczne.

A twarda polityka? Czy Polska ma na Białorusi cele strategiczne?

Cele to my mamy, pytanie, czy je realizujemy. Sytuację na Białorusi mogą zmienić sami Białorusini, znaczne wpływy ma tam Rosja. Powinniśmy jednak angażować się na wszystkich poziomach: od obywatelskiego, przez pomocowy, polityczny, po ten dziś najważniejszy – informacyjny. Informacja jest teraz na wagę złota. A my jesteśmy w tej wygodnej sytuacji, że aby być skuteczni, nie musimy kłamać. Przetrwało, choć z ogromnym trudem, kilka narzędzi – jednym z nich, czyli Telewizją Biełsat, kieruję. Niestety, wciąż borykamy się z ogromnymi trudnościami organizacyjnymi. ©℗

AGNIESZKA ROMASZEWSKA-GUZY *jest dziennikarką, dyrektorką Telewizji Biełsat.*

Całość rozmowy czytaj na **www.tygodnikpowszechny.pl**

Dwa miliony za osiem lat w szpitalu

TO NAJWYŻSZA JAK DOTĄD KWOTA w tego typu sprawie: krakowski Sąd Apelacyjny podwyższył z przyznanego wcześniej miliona do dwóch odszkodowanie dla Stanisława B.

Rok 2008, B. – wcześniej karany za drobne kradzieże – ma trafić za kratki, bo wyniósł ze sklepu siedem paczek kawy. Ale sąd uznaje go za niepoczytalnego, stosuje więc detencję: przymusowe umieszczenie w szpitalu psychiatrycznym w Rybniku. Tu spędzi 8 lat: w trudnych warunkach, poddawany elektrowstrząsom, faszerowany lekami. Wychodzi dzięki Sądowi Najwyższemu, który rozpoznaje kasację Rzecznika Praw Obywatelskich. Zaczyna się walka o odszkodowanie – za bezzasadne umieszczenie w szpitalu, a także złe warunki przetrzymywania.

– Najsurowszy środek zapobiegawczy można zastosować w przypadku wysokiego prawdopodobieństwa popełnienia kolejnego zabronionego czynu o wysokiej szkodliwości społecznej w związku z niepoczytalnością lub zaburzeniem preferencji seksualnych – mówi „Tygodnikowi" Michał Hara, naczelnik wydziału ds. legislacyjnych i ustrojowych w Zespole Prawa Karnego BRPO. – A sąd musi opierać się na opiniach biegłych, nie mając często możliwości samodzielnej, krytycznej oceny tych opinii. Niełatwo też później, w razie błędnej decyzji, uzyskać odszkodowanie, bo takie sprawy przedawniają się już po roku, a obywatel ma przeciw sobie dwie instancje dążące do nieprzyznania rekompensaty: przedstawiciela sądu, który pierwotnie wydał orzeczenie, oraz prokuraturę. To odszkodowanie nie jest przełomowe, bo wcześniej podobne przyznawano, ale jego wysokość jest wyraźniejszym niż dotąd sygnałem, że państwo polskie ponosi odpowiedzialność za swoje błędy. ©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Ziobro sobie poradzi?

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Wady Jarosława Kaczyńskiego uniemożliwiają współpracę. On dzieli ludzi". „Kaczyński nigdy nie był moim autorytetem. Nie był nigdy moim guru". „Wyborcy prawicy powinni ocenić brak szczerości Kaczyńskiego. PiS buduje gorsze standardy niż Platforma Obywatelska". Tak mawiał Ziobro, gdy w latach 2011-14 próbował pokonać Kaczyńskiego w pojedynku o przywództwo na prawicy. Przegrał. Ale dziś, wyciągając wnioski z przeszłości, starcie z Kaczyńskim i jego faworytem Mateuszem Morawieckim przygotowuje znacznie bardziej pieczołowicie.

Od wyborów Ziobro i jego ludzie prowadzą operację obliczoną na osłabienie Morawieckiego i pokazanie własnej twardej odrębności. Rozprawa z LGBT, postulat wypowiedzenia konwencji przeciw przemocy wobec kobiet, próby wymuszenia konfrontacyjnej polityki wobec UE, przykręcenie śruby organizacjom pozarządowym – to był dopiero początek. Do tego doszedł w ostatnich dniach otwarty atak na ministra edukacji za odwołanie kuratora łódzkiego, którego ziobryści na wyrost obsadzają w roli filara w wojnie kulturowej. Ludzie Ziobry przypuścili też atak na prawą rękę Morawieckiego w państwowym biznesie, czyli szefa Polskiego Funduszu Rozwoju Pawła Borysa. Skrytykowali go za to, że prezesem spółki Rafako został menadżer z czasów Platformy.

Ataki ziobrystów na członków ekipy rządzącej rozsierdziły Kaczyńskiego. Prezes zachował się w swoim stylu: nakazał szefowi TVP Jackowi Kurskiemu (niegdyś członkowi partii Ziobry, dziś jego sojusznikowi) wyciąć ich z programów TVP. Wracają plotki o ofercie, jaką PiS wysyła do PSL, czyli zastąpienia partii Ziobry w rządzie. – Dziś jesteśmy o wiele bardziej zdeterminowani i bardziej doświadczeni niż w 2011 r. czy w 2012 r. Mamy aktywnych, rozpoznawalnych posłów. Poradzimy sobie nawet, jeśli PiS wyrzuci nas z rządu – twierdzi jeden z ludzi Ziobry. – Premierostwo Morawieckiego to dla prawicy dramat. Będziemy walczyć o swoje, w tym głównie o sprawy światopoglądowe, których on unika.

A zatem najciekawsze jeszcze przed nami. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl. Stale współpracuje z „TP".

KRAJ W SKRÓCIE

BURZE
Jarosław Kaczyński wrócił z urlopu, a nad Polską przeszły gwałtowne burze. Straż pożarna interweniowała 1,1 tys. razy, 25 tys. osób zostało bez prądu.

FRONTY
Zajęć prezesowi z pewnością nie zabraknie: w ostatnich dniach media informowały np. o tym, że wyrzucony niegdyś z jego partii i oskarżany o przemoc w rodzinie b. poseł Łukasz Zbonikowski został szefem jednej ze spółek Skarbu Państwa; prezeską jednoosobowego zarządu Fundacji Agencji Rozwoju Przemysłu, z rocznym wynagrodzeniem 175 tys. zł, została żona wiceministra cyfryzacji, skądinąd absolwentka filologii rosyjskiej.

JAKUB KAMIŃSKI / EAST NEWS

AWARIE
Pełne ręce roboty mają też w opozycji: również wracający z urlopu Rafał Trzaskowski oprócz tworzenia ruchu społecznego musi się zajmować kolejną awarią oczyszczalni ścieków w stolicy. Wody Polskie ostrzegają, by w związku ze spuszczaniem nieczystości do Wisły nie wędkować, nie pływać i nie podchodzić do brzegu królowej polskich rzek.

FOBIE
Biegli uznali, że zabójstwo Pawła Adamowicza było indywidualnym zamachem terrorystycznym: ich zdaniem Stefan W. kierował się fobią wobec PO i może stanąć przed sądem.

Byliśmy o włos od drugich Szczekocin

KATASTROFY LEDWIE UNIKNIĘTO: według Państwowej Komisji Badania Wypadków Kolejowych w lipcu 2019 r. pod Złocieńcem (woj. zachodniopomorskie) prawie doszło do czołowego zderzenia pociągów – osobowego i technicznego. Co gorsza, przyczyny incydentu były bardzo podobne do tych, które siedem lat temu spowodowały wypadek pod Szczekocinami (16 ofiar śmiertelnych). Opublikowany właśnie raport PKBWK skłania do pytań, czy przez ten czas na kolei skutecznie wdrożono procedury powypadkowe i dlaczego dyżurni ruchu i nastawniczy popełniają wciąż te same błędy.

W Złocieńcu pociąg osobowy wyprawiono na podstawie tzw. rozkazu pisemnego; droga przebiegu była źle ułożona i skład wjechał na zły tor, którym z sąsiedniej stacji Jankowo Pomorskie, w przeciwnym kierunku, ruszyła potem podbijarka torowa. Czoła pociągów, zbliżających się do siebie z prędkością 110 km/h, zatrzymały się w odległości ok. 600 m.

Do incydentu przyczynił się splot okoliczności: błędy nastawniczego (m.in. zaniechał obserwacji pociągu osobowego), dyżurnego ze Złocieńca (nie sprawdził, czy nastawniczy przygotował prawidłową drogę przebiegu), maszynisty (widząc, że jedzie po torze innym, niż otrzymany w rozkazie, nie zatrzymał składu) i dyżurnego z Jankowa (wskazania urządzeń informujących o zajętości toru uznał za usterkę). A także usterki urządzeń na modernizowanej właśnie linii i związane z remontem częste zmiany harmonogramu pracy itd. Poproszone przez „Rynek Kolejowy" o komentarz PKP Polskie Linie Kolejowe zapewniają, że prześledziły okoliczności zdarzenia i przeszkoliły już ok. 10 tys. pracowników posterunków nastawczych. ©℗ ŻYM/RYNEK-KOLEJOWY.PL

Nowy minister, nowe zasady

JEDNĄ Z PIERWSZYCH DECYZJI Andrzeja Niedzielskiego było skrócenie kwarantanny w przypadku zakażenia SARS-CoV-2: z 14 do 10 dni u osób bez objawów infekcji. Pacjenci z łagodnym przebiegiem choroby będą izolować się do 3 dni po ustąpieniu objawów, ale nie krócej niż 13 dni.

WHO zalecała te zasady już w maju, opierając się na badaniach, które sugerują, że u pacjentów bezobjawowych lub z łagodnymi objawami w 7-9 dniu choroby wirus nie był wykrywany. Ministerstwo zgodnie z rekomendacją WHO rezygnuje również z powtórnego badania na koniec kwarantanny. Według doniesień obecność wirusa u wymienionych pacjentów po 10 dniach jest rzadkością.

Decyzja zapadła przed jesienią i sezonem grypowym, kiedy spodziewany jest wzrost przypadków podejrzanych. Nowe zasady mają ulżyć pacjentom i systemowi opieki zdrowotnej. © BARTOSZ KABAŁA

MOHAMMAD ISMAIL / REUTERS / FORUM

WIELKA POWÓDŹ w afgańskiej prowincji Parwan zabiła ponad 120 ludzi; lokalne władze podają, że liczba ofiar może wzrosnąć. Według portalu FloodList.com, publikującego raporty o powodziach, to już czwarta od początku roku tak silna powódź w tym kraju. Afganistan i Pakistan są w strefie mocnych opadów monsunowych, co czyni je jednymi z najbardziej zagrożonych powodziami państw świata. Zniszczony wojnami i epidemią Afganistan jest na krawędzi katastrofy humanitarnej. © JT

Trump, prawo i porządek

W WISCONSIN, jednym z kluczowych stanów w wyścigu o Biały Dom, wybuchły zamieszki. Dla walczącego o reelekcję prezydenta to może być dobra wiadomość.

Zaczęło się od tego, że w stutysięcznym mieście Kenosha policja postrzeliła czarnoskórego Jacoba Blake'a. Policjanci twierdzą, że strzelili do 29-latka siedem razy, bo miał nóż i stawiał opór podczas aresztowania. Blake jest sparaliżowany, sprawę badają stanowy Departament Sprawiedliwości i FBI. Protesty wywołane tym zdarzeniem przybrały w Kenoshy gwałtowny obrót: palono auta (na zdjęciu) i demolowano budynki. W trzecią noc zamieszek do protestujących ogień otworzył 17-letni kontrdemonstrant Kyle Rittenhouse; zabił dwie osoby. Jego adwokaci twierdzą, że bronił mieszkańców przed zadymiarzami.

KEREM YUCEL / AFP / EAST NEWS

Wydarzenia w Kenoshy podkręciły kampanijną retorykę podczas ubiegłotygodniowej konwencji Republikanów, gdzie oficjalnie ogłoszono nominację Trumpa na kandydata w wyborach prezydenckich. Konwencja stała się okazją do mobilizacji takiego elektoratu, jak np. białe matki z przedmieść. Prelegenci – m.in. wiceprezydent Mike Pence, Rudy Giuliani (prawnik Trumpa) i syn prezydenta Donald Trump Jr. – przekonywali, że tylko Trump przywróci spokój na ulicach. Zarzucali Demokratom, że w rządzonych przez nich miastach (jak Kenosha, Minneapolis czy Portland) demonstracje wymykają się spod kontroli. Republikanie sięgają po taką retorykę, bo poparcie dla protestów, które wybuchły po śmierci George'a Floyda, powoli maleje: z sondaży wynika, że o ile w czerwcu 62 proc. Amerykanów uznawało je za „uzasadnione", o tyle dziś sądzi tak 53 proc.

Kreując się na stróża prawa i porządku, Trump ma pewnie nadzieję, że skoro Amerykanie źle oceniają jego reakcję na pandemię, to być może uwierzą, iż to on – a nie jego rywal Joe Biden – ochroni USA przed przemocą na ulicach. Tymczasem w zeszłą sobotę w Portland, w starciach między zwolennikami Trumpa i kontrdemonstrantami, zginęła jedna osoba (sympatyk Trumpa). Przy takich emocjach aż strach pomyśleć, jakie mogą być reakcje na wynik wyborów – jakikolwiek by on był.

© MARTA ZDZIEBORSKA Z USA

Białoruś: protesty nie gasną

WOJCIECH KONOŃCZUK

W OSTATNIĄ NIEDZIELĘ NA ULICE Mińska znów wyszło ponad 100 tys. Białorusinów, domagając się ustąpienia Alaksandra Łukaszenki. Demonstrowano też w wielu miastach i miasteczkach w całym kraju. Potwierdza to, że po ponad trzech tygodniach protestów utrzymuje się wysoka determinacja obywateli, by walczyć o swoje prawa. Protestuje wiele grup zawodowych: od lekarzy i informatyków po sportowców. Dzieje się tak mimo kolejnych działań zastraszających ze strony reżimu. Do stolicy wprowadzono znaczne siły milicji i wojska. Przemoc stosowana jest jednak punktowo, głównie wobec aktywistów i wybranych wyrywkowo demonstrantów.

Mimo masowego buntu społecznego reżim nie wykazuje żadnej woli do dialogu. Łukaszenka kontynuuje narrację o zachodniej inspiracji, straszy rzekomym zagrożeniem militarnym ze strony Zachodu i grozi sankcjami Polsce oraz Litwie. Ma to służyć odwróceniu uwagi od protestów oraz ich przeczekaniu, w nadziei, że społeczeństwo zmęczy się i „uspokoi". Na razie wszystko jednak wskazuje, że to płonne nadzieje. Społeczeństwo wrze od gniewu, a kolejne pogardliwe wypowiedzi funkcjonariuszy reżimu tylko go powiększają. Także narastające problemy gospodarcze, w tym spadek wartości rubla białoruskiego, będą sprzyjać utrzymaniu się protestów. Łukaszenka niezmiennie apeluje do Kremla, który pomoc obiecał „w razie niezbędnej potrzeby", ale już szykuje „rachunek" w formie zwiększenia kontroli nad Białorusią.

Jak trafnie zauważył szef jednej z najbardziej znanych białoruskich firm IT (informatycy to ważni uczestnicy protestów), Białorusini chcieliby szybko dobiec do mety, ale sprintu tutaj nie będzie. Społeczeństwo białoruskie biegnie bowiem maraton, w trakcie którego wypracowuje swoją wolność. ©

eprasa.pl 7561e100fc

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

BP KEP

POKUSZENIE
Komisja KEP ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów przygotowała normy ujednolicające brzmienie modlitw. Poprawna formuła z Pozdrowienia Anielskiego to „Zdrowaś Maryjo" (nie: „Mario"), w modlitwie „O Krwi i Wodo" należy użyć słowa „wypłynęła", a nie „wytrysnęła". W „Ojcze Nasz" zatwierdzono pisownię „ode złego" małą literą. Pozostawiono natomiast wezwanie „nie wódź nas na pokuszenie", mimo promowanej przez Franciszka formy „nie dopuść, abyśmy ulegli pokusie".

POCIECHA
Zmiany wprowadzono też do litanii loretańskiej, dodając trzy nowe wezwania, wprowadzone w języku łacińskim przez Stolicę Apostolską 20 czerwca 2020 r. Po polsku brzmią: „Matko miłosierdzia", „Matko nadziei" i „Pociecho migrantów". Pierwsze było już wcześniej w polskiej wersji, ale odtąd znajdzie się w nowym miejscu (po „Matko Kościoła").

SOLIDARNOŚĆ
Dokument pt. „Służąc zranionemu światu w solidarności międzyreligijnej" ogłosiły Papieska Rada ds. Dialogu Międzyreligijnego i Światowa Rada Kościołów. Ekumeniczne opracowanie podkreśla, że czas pandemii sprzyja zorganizowaniu świata na nowo. Według ks. Peniela Rajkumara z ŚRK „solidarność międzyreligijna może poprowadzić do nowej normalności, w której konflikt, rywalizacja i pogarda zostają zastąpione współczuciem, troską i współpracą".

Molestowanie w Kościele: dekada ignorancji

ARTUR SPORNIAK

Niedawno pisałem o rosnącej niechlubnej liście biskupów, którzy ignorowali zgłaszane do nich przypadki nadużyć seksualnych wobec nieletnich dokonywane przez podległych im księży. W krótkim czasie znaleźli się na niej emerytowany ordynariusz bielsko-żywiecki bp Tadeusz Rakoczy, biskup kaliski Edward Janiak i jego poprzednik bp Stanisław Napierała oraz biskup radomski Henryk Tomasik.

A nazwisk przybywa. Portal OKO.press ujawnił ostatnio, że biskup łowicki Andrzej Dziuba i jego poprzednik bp Alojzy Orszulik (kawaler Orderu Orła Białego za zasługi w mediacji między władzami PRL a opozycją) przez wiele lat nie reagowali na oskarżenia dotyczące księdza, który wykorzystywał kolejne dzieci. Wcześniej podobne oskarżenia postawiono b. biskupowi tarnowskiemu (obecnie katowickiemu) abp. Wiktorowi Skworcowi.

Broniąc się, pokazał on, jak funkcjonował mechanizm ignorowania zgłoszeń. W 2002 r. przyszła do niego ze skargą grupa rodziców i nauczycieli chłopców, których molestował katecheta. Od 2001 r. istniał nałożony przez Jana Pawła II na ordynariuszy obowiązek zgłaszania „prawdopodobnych przypadków" do Kongregacji Nauki Wiary. Skworc tego nie zrobił. Dziś jego rzecznik pisze: „Nie można wykluczyć, iż bardzo krótki czas, jaki upłynął od promulgacji nowych przepisów, i brak doświadczeń w dziedzinie ich stosowania mogły wpłynąć na podjętą ocenę sprawy".

Świadomość wagi problemu pedofilii prawdopodobnie wzrosła wśród ordynariuszy dopiero po tym, jak w 2011 r. Benedykt XVI nakazał wszystkim episkopatom opracować szczegółowe procedury przyjmowania zgłoszeń. Możliwe, że odruch ignorowania prawa kościelnego i krzywdy dzieci, by bronić „swoich" księży, był w tej dekadzie wśród ordynariuszy powszechny.

©℗

Święty z buławą

WIKIPEDIA

PIOTRA KONASZEWICZA-SAHAJDACZNEGO kanonizował Święty Synod Prawosławnego Kościoła Ukrainy, potwierdzając decyzję Ukraińskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego z 2011 r. Konaszewicz, hetman Kozaków zaporoskich, jest symbolem tzw. heroicznej doby Kozaczyzny, okresu zwycięskich najazdów na miasta tureckie (co stało się jedną z przyczyn wojen Rzeczypospolitej z Imperium Osmańskim). Kozacy wspierali Koronę w wojnach ze Szwecją i Rosją. Za przyprowadzenie posiłków pod Moskwę królewicz Władysław ofiarował Sahajdacznemu buławę hetmańską z herbem Wazów i chorągiew z królewskim orłem. W 1621 r. tylko dzięki jego 25-tysięcznym oddziałom Chodkiewicz odparł Turków pod Chocimiem.

Hetman trafił jednak na ołtarze za zasługi dla wiary. Kryzys prawosławia w XVI w. i upośledzenie prawne jego hierarchii doprowadziło w 1596 r. do unii brzeskiej, podporządkowującej ukraińskie prawosławie papieżowi. Unii sprzeciwiła się większość wiernych, a w 1620 r. patriarcha jerozolimski Teofanes, osłaniany przez Kozaków Sahajdacznego, potajemnie wyświęcił w Kijowie nowych biskupów prawosławnych. Nielegalni władycy (uznani dopiero w 1633 r. przez Władysława IV) widzieli w Kozakach i ich hetmanie obrońców wiary, spadkobierców tradycji Rusi Kijowskiej.

©℗ MACIEJ MÜLLER

Różnorodność jest zamierzona przez Boga

NOWA ENCYKLIKA, poświęcona powszechnemu braterstwu, jest gotowa i wkrótce zacznie się jej druk – napisała argentyńska agencja prasowa Télam, powołując się na jednego z włoskich biskupów oraz własne źródła w Watykanie. Byłaby to trzecia encyklika Franciszka, po „Lumen fidei" (2013) i „Laudato si" (2015), choć druga wyłącznie jego autorstwa (pierwszą otrzymał w spadku od Benedykta XVI).

Ma zaczynać się słowami św. Franciszka z Asyżu „Wszyscy jesteśmy braćmi" oraz nawiązywać do „Deklaracji o ludzkim braterstwie", podpisanej przez papieża i wielkiego imama uniwersytetu Al-Azhar w lutym ub. roku, a mocno krytykowanej za stwierdzenie, że różnorodność – nie tylko koloru skóry, rasy czy płci, ale także religii – jest dobra i zamierzona przez Boga.

Powszechne braterstwo to częsty temat papieskich katechez, zwłaszcza w czasie pandemii. Encyklika może zostać ogłoszona 4 października, w Dniu św. Franciszka. Watykan jak dotąd nie potwierdził oficjalnie tych informacji.

©℗ EA

eprasa.pl 7561e100fc

KULTURA W SKRÓCIE

KOSTKI LITERACKIE wręczono w miniony weekend już po raz piętnasty. Laureatką Nagrody Gdynia w kategorii „esej" została Urszula Zajączkowska, kapituła wyróżniła jej „Patyki, badyle". Za najlepszy tomik poetycki uznano „Bailout" Tomasza Bąka, za najlepszą prozę – „Pustostany" debiutantki Doroty Kotas. Nagrodę za przekład wierszy amerykańskiego poety Charlesa Reznikoffa otrzymał Piotr Sommer.

MIĘDZYNARODOWEGO BOOKERA zdobyła także debiutancką powieścią „The Discomfort of Evening" Marieke Lucas Rijneveld. 29-letnia Holenderka jest najmłodszą laureatką w historii nagrody. Jej książka to relacjonowana z perspektywy małej dziewczynki żałoba przeżywana po śmierci starszego brata.

BRĄZOWY MEDAL wywalczyła w pierwszej edycji internetowej olimpiady szachowej reprezentacja Polski. Dwa pierwsze miejsca ex aequo zajęły drużyny z Rosji i Indii – awaria internetu uniemożliwiła im dokończenie rozstrzygającej partii. W rozgrywkach brały udział 163 ekipy z całego świata.

75. URODZINY obchodziła filmowa Łódź. W ciągu czterech dni w całym województwie zorganizowano warsztaty, projekcje oraz spacery po planach zdjęciowych i archiwach.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA opowie o sytuacji uchodźców i kryzysie w Libanie (reportaż z Libanu na s. 60) Agnieszce Lichnerowicz w „Światopodglądzie Radia Tok FM", w czwartek 3 września o godz. 16.20.
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce – www.tokfm.pl

KIRSTY WIGGLESWORTH / AP / EAST NEWS

BRITISH MUSEUM ponownie otwarte – od 27 sierpnia, po 163 dniach przerwy, znów można zwiedzać słynne londyńskie muzeum. Liczbę wejściówek ograniczono do 2 tys. dziennie (przed zamknięciem wydawano ich średnio 18 tys.). Otwarte są galerie na parterze budynku (ekspozycje na piętrze czynne będą od 21 września), wyznaczono jednokierunkową trasę zwiedzania. Wstęp wolny, ale konieczna jest wcześniejsza rezerwacja terminu. Na zdjęciu: Przyczajona Wenus, II w. n.e. – przygotowania do otwarcia, 24 sierpnia 2020 r. ©℗ EA

Janko Muzykant znów zagra w Warszawie

MONIKA OCHĘDOWSKA

„Całuję twoją dłoń, madame" – tango, które znamy z repertuaru Mieczysława Fogga, pochodzi z pierwszego w pełni udźwiękowionego europejskiego filmu. Główną rolę zagrała w nim Marlena Dietrich, piosenkę wykonał austriacki tenor Richard Tauber. Pierwszy polski film dźwiękowy pojawił się zaledwie kilka miesięcy później. Jak można wnioskować z recenzji towarzyszących premierze „Moralności pani Dulskiej" Bolesława Newolina – brzmienie było jedyną zaletą filmu. Niestety, nie dotrwał do naszych czasów.

We Włoszech odnalazł się natomiast komplet płyt ze ścieżką dźwiękową nakręconego także w 1930 r. „Janka Muzykanta" Ryszarda Ordyńskiego. Repremierę odrestaurowanego filmu, jak ogłosiła właśnie Filmoteka Narodowa – Instytut Audiowizualny, zaplanowano na kwiecień 2021 r. w Kinie Iluzjon. To rodzaj fanfiku – do opowiadania Henryka Sienkiewicza scenarzysta Ferdynand Goetel dopisał alternatywne zakończenie, pozwalając chłopcu zrobić karierę w Warszawie.

Ordyński był barwną postacią przedwojennych scen. To on odkrył Polę Negri. Z rozmachem przeniósł na ekran „Pana Tadeusza" (dopiero w 2006 r. znaleziono kopię filmu, którą rekonstruowała FINA). Wiele lat pracował za granicą – jako asystent Maxa Reinhardta, potem samodzielny reżyser w berlińskim Deutsches Theater. W czasie I wojny światowej był scenarzystą w Hollywood, potem reżyserem w Metropolitan Opera House w Nowym Jorku.

Z filmem dźwiękowym Ordyński miał problem – nie potrafił wyjść poza chwyty typowe dla kina niemego, co sprawiało, że wiele jego obrazów było anachronicznych już w chwili premiery. Krytykowano go także za skłonność do, częstego w dwudziestoleciu, patriotycznego kiczu. ©℗

Afryka wygrała z polio

TO NAPRAWDĘ DOBRA WIADOMOŚĆ: po dekadach pracy lekarzy, wolontariuszy i urzędników; po wieloletnich kampaniach masowych szczepień, w niektórych państwach prowadzonych pomimo wojen i niestabilnej sytuacji politycznej; słowem: po jednej z najdłuższych i najtrudniejszych do koordynacji akcji prozdrowotnych – w minionym tygodniu Światowa Organizacja Zdrowia ogłosiła, że cały kontynent afrykański jest wolny od polio.

Ostatnim krajem, który eradykował ten wirus (ściślej: jego tzw. dziki typ), była Nigeria. W świecie polio – i wywoływana przez niego nieuleczalna choroba Heinego-Medina (ostre nagminne porażenie dziecięce) – występuje jeszcze tylko w Afganistanie i Pakistanie.

Na ulicach Kampali czy Akry można wciąż spotkać okaleczone przez nią ofiary, z porażonymi nogami, bywa, że porzucone przez bliskich. Jeszcze ćwierć wieku temu chorobę stwierdzano u tysięcy dzieci w Afryce rocznie. Teraz na całym kontynencie zaszczepiono już ok. 95 proc. populacji. A wszystko zaczęło się pod koniec lat 50. XX w. od akcji prowadzonej w Kongu przy użyciu pierwszej szczepionki przeciw polio. Jej twórcą był pracujący w USA, lecz urodzony w Polsce, lekarz Hilary Koprowski. ©℗ ŻYM

eprasa.pl 7561e100fc

TEMAT

EDUKACJA WSPÓŁISTNIEJĄCA

Przywykła do eksperymentów polska szkoła takiego jeszcze nie przeżyła. Boją się go wszyscy: epidemiolodzy, rodzice, nauczyciele, dyrektorzy. Spokojny jest tylko minister.

TEKST MACIEJ MÜLLER ILUSTRACJE MAGDALENA BURDZYŃSKA

Czwartek, 27 sierpnia. Resort zdrowia informuje o 887 nowych przypadkach zakażenia koronawirusem. W tym samym czasie minister edukacji Dariusz Piontkowski po kilkudniowym wahaniu ogłasza, że jednak nie nałoży na uczniów i nauczycieli obowiązku noszenia maseczek. Natomiast w sytuacji zwiększonego zagrożenia epidemicznego dyrektor „chyba powinien", jak wyraża się minister w Polskim Radiu, zalecić zasłanianie twarzy na korytarzach, klatkach schodowych czy w szatniach.

Z ulgą oddychają ci, którzy wiedzą, jak trudno jest wytrzymać w masce nawet podczas robienia zakupów, i nie chcieliby skazywać na to uczniów mających po osiem lekcji w źle wentylowanej szkole. Inni wskazują, że w walce z epidemią właśnie sami się rozbroiliśmy.

– Przez pół roku okazało się, że całkiem nieźle chronią nas najprostsze środki: maseczka, częsta dezynfekcja rąk i dystans społeczny – mówi dr hab. n. med. Wojciech Feleszko, pediatra, specjalista immunologii i chorób płuc z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. – Skoki zachorowań to efekt wesel czy dyskotek, gdzie zaniedbywano te zasady, oraz ogniska w kopalniach czy zakładach mięsnych. Uważam, że zastosowanie tych trzech zasad sanitarnych w szkołach pozwoliłoby nam bezpiecznie dotrwać do czasu wynalezienia i upowszechnienia szczepionki. Nie wyeliminowalibyśmy wirusa, ale przynajmniej zabezpieczylibyśmy się przed zalewem zachorowań, jakiego obawialiśmy się w marcu czy kwietniu.

Dr Feleszko uważa, że nauczyciele powinni pracować w maskach, tak jak lekarze: – Jeśli maski mieliby też uczniowie, przynajmniej ci starsi, i wszyscy trzymaliby dystans półtora metra, obie strony byłyby optymalnie chronione. Oczywiście nie ma się co łudzić, że zakażeń nie byłoby w ogóle, bo nic nie daje stuprocentowej ochrony.

Lekarze obawiają się jesiennego sezonu grypowego. Wprowadzenie w szkołach ścisłych zasad sanitarnych mogłoby ograniczyć także to ryzyko. Dr Feleszko podkreśla, że podczas wiosennego lockdownu nastąpił drastyczny spadek zachorowań na inne infekcje sezonowe.

– Jeśli zasady sanitarne wejdą nam w krew, będą sprzyjały zmniejszeniu wszystkich zakażeń.

W miarę możliwości

Tego samego dnia, gdy minister wykluczał obowiązek noszenia maseczek, krakowska kuratorka oświaty sprzeciwiła się inicjatywie zakopiańskiego samorządu (powiat „żółty"), by do 25 września lekcje prowadzono zdalnie. Aby przejść na nauczanie hybrydowe lub całkowicie zdalne, dyrektor szkoły musi mieć zgodę sanepidu – podkreśliła Barbara Nowak.

Takie reguły gry kształtowały się od początku sierpnia, kiedy to minister Piontkowski ogłosił, że 1 września uczniowie wrócą do szkół. Powoływał się na przykład funkcjonujących w okresie wakacji przedszkoli, którym na początku lipca pozwolono zwiększyć liczebność grup do 25 osób, a które nie stały się ogniskami zakażeń. To prawda, tylko że w wielu przedszkolach grupy były kilkuosobowe, nie stykały się ze sobą, a wychowawczynie wyprowadzały dzieci na powietrze. Tymczasem klasy szkolne nie zostały zmniejszone, a lekcje raczej nie będą się odbywać na placach zabaw.

MEN opublikował wypracowane wspólnie z Głównym Inspektoratem Sanitarnym wytyczne dla szkół. Nie wolno przyprowadzić dziecka z „objawami chorobowymi sugerującymi infekcję dróg oddechowych" (to nieprecyzyjne sformułowanie sprawiło, że w niektórych szkołach obecności dziecka na lekcjach nie wyklucza katar!). Przed wejściem uczeń musi zdezynfekować ręce, w szkole nie powinny przebywać osoby z zewnątrz. Uczniowie mają często myć ręce, nie mogą tłoczyć się na korytarzach. Sale mają być wietrzone przynajmniej raz na godzinę, sprzęt sportowy dezynfekowany. Przez wytyczne jak refren przewijają się jednak słowa „w miarę możliwości". Minister Piontkowski na zarzuty o ich ogólnikowość odpowiada, że każda szkoła jest inna, więc do dyrektora należy precyzyjne zastosowanie ich we własnej placówce.

Wiele jest punktów enigmatycznych, np. „zaleca się korzystanie przez uczniów z boiska szkolnego oraz pobyt na świeżym powietrzu na terenie szkoły, w tym w czasie przerw". Czy chodzi też o prowadzenie lekcji na zewnątrz? – Jeśli tak, to ciekawe, gdzie miałbym to zrobić w centrum miasta? – zwraca uwagę Rafał, nauczyciel historii w krakowskiej podstawówce. Nie chce podawać nazwiska, by nie narazić się dyrekcji ani kuratorium. – Interesujące też jest zalecenie, by otwierać okna. A co w sezonie grzewczym, kiedy smog nie pozwala oddychać?

ZNP promuje pomysł wyposażenia wszystkich sal w oczyszczacze powietrza. – To rozsądne – ocenia dr Feleszko. – Stosowane w nich nowoczesne filtry HEPA wychwytują cząstki kilkakrotnie mniejsze od wirusa. Ale to oczywiście nie musi oznaczać ochrony przed zakażeniem. Ostatnie stanowisko amerykańskiego CDC (Centers for Disease Control) mówi, że koronawirus jest przenoszony głównie przez kontakt między osobami i drogą kropelkową, stąd podstawowymi środkami zapobiegawczymi są te wspomniane wcześniej.

Według wytycznych każda szkoła ma mieć termometr bezdotykowy. Sęk w tym, że o ile dyrektor może nakazać mierzenie temperatury swoim pracownikom, to aby zmierzyć ją uczniom, potrzebuje zgody rodziców. Tymczasem postawy „denialistyczne", wyrażające się w zdaniu: „w Polsce nie ma epidemii", są powszechne.

Koszty zamknięcia, koszty otwarcia

Szkoły zamknięto w marcu razem z lotniskami, galeriami handlowymi i zakładami pracy. – Kierowano się tym, co wiedzieliśmy o grypie: że dzieci są jej rozsadnikiem, a umierają ludzie starsi – tłumaczy dr Feleszko. – Później okazało się, że dzieci chorują łagodnie. Pojawiły się pytania, na ile w ogóle roznoszą wirusa, i czy zamykanie szkół było potrzebne.

Według pediatry spowodowało ono więcej szkód niż pożytku. – Z punktu widzenia uczniów to wykluczenie edukacyjne, niemożność zrealizowania programu czy niezdane matury. Ale są też skutki mniej oczywiste – wskazuje lekarz. – W USA dzieci do 12. roku nie mogą zostać w domu same. W rezultacie do pracy nie mogło przyjść 17 proc. personelu medycznego ze szpitali i przychodni. Policzono, że brak tych lekarzy i pielęgniarek spowodował wzrost śmiertelności w jednostkach służby zdrowia o kilkanaście procent. Zamykając szkoły chronimy więc część społeczności, ale inną wystawiamy na zwiększone ryzyko.

Dziś nie ma jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, w jakim stopniu dzieci roznoszą SARS-CoV-2. Dr Feleszko: – Holendrzy otwarli szkoły jeszcze przed wakacjami, opierając się na doniesieniach epidemiologicznych, według których ↦

↦ dzieci nie są źródłem zakażenia, ponieważ produkują tak mało wirusa, że nie infekują dorosłych. Tymczasem badacze niemieccy wykazali, że w drogach oddechowych dzieci wirus jest obecny w podobnym stopniu, jak u dorosłych. Niektórzy naukowcy ekstrapolują wyniki badań pierwszego wirusa SARS, który spowodował epidemię w Azji w 2002-03 r. Wynikało z nich, że dzieci roznosiły chorobę w znacznie mniejszym stopniu. Podobnie jest – m.in. według pracy opublikowanej w „Lancet" – z SARS-CoV-2.

Eksperci z niepokojem patrzyli w maju na sytuację w Izraelu, a w sierpniu – w niektórych landach niemieckich. Otwarcie szkół spowodowało tam skokowy wzrost zachorowań i zgonów. Istnieją jednak przykłady komplikujące ten obraz. – W Korei Południowej szkół w ogóle nie zamknięto, przedłużono tylko o dwa tygodnie ferie zimowe – wskazuje dr Feleszko. – Koreańczycy, doświadczeni pierwszym SARS, byli dobrze przygotowani. Wprowadzili wszelkie środki bezpieczeństwa i zapewnili normalne funkcjonowanie szkół, utrzymując epidemię pod kontrolą. Uczniom mierzono temperaturę przy wejściu, w wielu miejscach umieszczono płyn dezynfekcyjny, rozgęszczono klasy. Jeśli w szkole doszło do dwóch przypadków zakażenia, zamykano placówkę na dwa tygodnie. Przy jednym uznawano, że to infekcja zawleczona, przy dwóch, że doszło do transmisji wewnętrznej.

Według dr. Feleszki można zorganizować naukę w szkole i nie wywołać nowej fali zachorowań. Załóżmy sytuację, że jeden z nauczycieli okazuje się zakażony. Poprzedniego dnia przed wynikiem testu miał lekcje z ośmioma różnymi klasami, przemieszczał się po korytarzach, był kilkakrotnie w pokoju nauczycielskim. Wiadomo, że sanepid wysyła na kwarantannę wszystkich „z kontaktu". Czy w takim przypadku trafiłaby na nią większość uczniów i nauczycieli tej placówki? – Niekoniecznie – mówi lekarz. – Wcale nie jest powiedziane, że jeden chory zakazi całą szkołę. Jeśliby chodził w masce i przestrzegał higieny oraz dystansu, wirus miałby ograniczoną możliwość transmisji. Choć nie w stu procentach ograniczoną: taką dałyby nam tylko przeciwpyłowe maski N94 i specjalne kombinezony. Z drugiej strony znam dziesiątki przypadków, kiedy nie wszyscy mieszkający pod jednym dachem się zainfekowali. Bywało, że u dzieci wykrywano koronawirusa, a rodzice byli nietknięci.

Zabójcza dawka autonomii

„W zakładzie pracy, urzędzie czy redakcji państwo maseczek nie noszą, ponieważ spotykają się jedną grupą osób – mówił w sierpniowym wywiadzie radiowym Dariusz Piontkowski. – Podobnie będzie w szkole. To będzie jedna, ta sama grupa uczniów". Tylko że wchodząca w drodze do szkoły w setki interakcji. Obecnie w tramwaju czy autobusie może przebywać (w powiatach „zielonych" i „żółtych") tyle osób, ile jest miejsc siedzących.

> Eksperci z niepokojem patrzyli w maju na sytuacje w Izraelu, a w sierpniu – w niektórych landach niemieckich.
> **Otwarcie szkół spowodowało tam skokowy wzrost zachorowań.**

W roku szkolnym to obostrzenie jest nie do utrzymania – nawet gdyby liczbę połączeń zwiększyć o drugie tyle. Wymarzone warunki dla koronawirusa.

Rafał, nauczyciel z Krakowa: – W lepszej sytuacji są małe placówki, gromadzące dzieci z niewielkiego terytorium. Nasi uczniowie są rozrzuceni po Krakowie, część przyjeżdża z obszaru od Krzeszowic po Wieliczkę. Podobnie nauczyciele: niektórzy tłuką się do pracy podmiejskimi busami. Siedzimy na epidemicznej bombie.

W sierpniu minister edukacji zdawał się być zaskoczony rozporządzeniem resortu zdrowia tworzącym mapę terenów szczególnie zagrożonych epidemią. „Decyzja o wprowadzeniu czerwonych i żółtych stref w powiatach o zwiększonej liczbie przypadków koronawirusa wiąże się z pewną modyfikacją działań dotyczących funkcjonowania szkół" – przyznał. Dodając zaraz, że nie oznacza to automatycznego zamykania placówek. „W sytuacjach wyjątkowych (...) będziemy chcieli wprowadzać model mieszany, polegający na tym, że rozrzedzimy klasy, część uczniów wyślemy na zdalne kształcenie (...) Gdyby sytuacja epidemiczna była groźna, pozostaje kształcenie na odległość" – mówił.

Każde słowo z tej wypowiedzi krzyczy o skonkretyzowanie. Dyrektorom najbardziej brakuje algorytmów postępowania w konkretnych sytuacjach – obecnych w państwowych wytycznych Francji, Holandii czy Szwajcarii.

Dopiero 28 sierpnia minister Piontkowski przedstawił pięć scenariuszy, według których działania w szkołach podejmie sanepid. Szkoła przechodziłaby na tryb zdalny przy czwartym (zakażenie uczniów kilku klas oraz nauczycieli) i piątym (wynik pozytywny u nauczyciela, który ma kontakt z pozostałymi nauczycielami).

Dyrektorzy, którzy od lat walczyli o zwiększenie autonomii względem MEN i kuratoriów, dostali ją w dawce zabójczej. Nie będąc epidemiologami, muszą ułożyć zasady funkcjonowania swoich placówek. Odebrano im jednak możliwość przejścia na tryb hybrydowy czy zdalny – samorządy nie robiłyby problemów, ale konieczne będzie zdobycie pozytywnej opinii sanepidu. A sanepidy w końcu sierpnia nie kryły, że takie wnioski odrzucą, o ile nie zaistnieją konkretne przyczyny. Dyrektorzy i tak wnioski składali. Tłumaczyli, że będą mieli dowód, iż starali się zapewnić bezpieczeństwo, kiedy jeszcze nie było za późno.

ZNP zwrócił z kolei uwagę, że szef sanepidu ma udzielać dyrekcjom konsultacji telefonicznych, a więc bez śladu na papierze. Odpowiedzialność za konkretne ruchy – przestrzega Związek – spadnie na dyrektora.

Kamerka w laptopie

Jakie narzędzia pozostawiono dyrektorom? Np. to kryjące się pod wieloznacznym hasłem „rozgęszczenie". Wiele klas, szczególnie w liceach, zatłoczonych po reformie minister Zalewskiej, liczy prawie 40 osób – postulat wydaje się więc oczywisty. Także w świetle MEN-owskich wytycznych o dystansie społecznym półtora metra.

Rozgęszczenie można osiągnąć na kilka sposobów. Jednym z proponowanych w Polsce, a stosowanych na Zachodzie jest zasada „jedna klasa w jednej sali". Uczniowie przez cały dzień nie zmieniają pomieszczenia, w którym mają lekcje – chemia nie musi odbywać się w pracowni

chemicznej itp. Przemieszczają się tylko nauczyciele; w klasach wyższych niż 1-3 (tu zajęcia prowadzi jeden nauczyciel) to nie do uniknięcia. – Tylko że u nas jest więcej klas niż sal – mówi historyk Rafał. – Może się nie obejść bez trybu zmianowego. Lekcje będą trwały od wczesnego rana do wieczora.

Inną formą rozgęszczenia jest podział istniejących klas na mniejsze oddziały. Tyle że w polskich warunkach to niewykonalne. Potrzeba do tego dodatkowych nauczycieli, a tych jest za mało nawet na obecne potrzeby. Brakuje też sal: na rozwiązanie stosowane w szkołach francuskich, wynajmujących pomieszczenia zwolnione tymczasowo przez korporacje, których pracownicy siedzą w *home office* – nie ma szans logistycznych, nie mówiąc o finansowych. Rozwiązanie włoskie, czyli zakup jednoosobowych ławek i zatrudnienie dodatkowych nauczycieli, też nie wchodzi w grę. Klasy będą dzieliły się na grupy jak dotąd tylko na wybranych lekcjach – informatyce, WF-ie czy językach obcych (choć i to niekoniecznie – przepisy mówią o obowiązku podziału na językowe grupy, gdy klasa przekracza 24 osoby).

Epidemiolodzy proponowali, by podzielić każdą klasę na pół – przez dwa tygodnie jedna miałaby lekcje, a druga łączyłaby się *online*. – To dobrze brzmi, niestety nie bardzo wiadomo, jak ten pomysł wprowadzić w życie – mówi Rafał. – W salach nie ma profesjonalnych kamer internetowych. Ale załóżmy, że uruchamiam tę w laptopie i kieruję ją na klasę. Wiadomo, jaka jest jakość przekazywanego obrazu. Prowadząc lekcję, przemieszczam się, rozmawiam z uczniami: jak mogliby z tego skorzystać uczniowie siedzący w domu? Jak miałbym skłonić ich do aktywności? Hybrydowo można prowadzić wykład akademicki, a nie lekcję.

Na tym wątpliwości się nie kończą. Ile szkół ma na tyle mocne łącze internetowe, by wytrzymało kilkanaście czy kilkadziesiąt jednoczesnych streamingów?

– Mówiąc o zasadzie „dwa tygodnie w szkole, dwa w domu" wszyscy biorą pod uwagę dzieci, a czy ktoś myśli o nauczycielach? – pyta krakowski historyk. – Od 7.30 do 8.15 miałbym prowadzić zwykłą lekcję, bo akurat ta klasa przyszła, ale od 8.20 do 9.05 kolejnej klasy nie ma, więc przechodzę na nauczanie zdalne? Efekt byłby taki, że dzieci uczyłyby się przez dwa tygodnie w miesiącu. Bo kto będzie prowadził zajęcia dla tych w domu? Nauczycielowi pomnożyłby się etat, bo ten sam materiał trzeba by przygotować dwukrotnie. Prowadząc lekcje *online* i w sali, sięgam po inne metody.

Całkowite przeniesienie szkoły do internetu to wizja dla części nauczycieli i rodziców atrakcyjna, bo bezpieczna, ale wymagająca wymyślenia całej edukacji od podstaw. Tego nie da się zrobić na zasadzie „kopiuj-wklej". – Siódmoklasista ma lekcje od 7.30 do 15. I on miałby spędzać codziennie tyle godzin przed ekranem? – pyta Rafał. – Niech każdy, kto uczestniczy w telekonferencjach, powie szczerze, po jakim czasie odczuwa senność. Z doświadczeń przedwakacyjnych widzę, że dziecko wytrzymuje najwyżej cztery lekcje *online*, i to półgodzinne.

W „zielonych" i „żółtych" powiatach w środkach transportu może przebywać tyle osób, ile jest miejsc siedzących.
W roku szkolnym to obostrzenie jest nie do utrzymania.

Krakowski nauczyciel obawia się chaosu, gdy pojawią się zakażenia: – Niektóre klasy mogą w całości lub częściowo trafić na kwarantannę, ci w domu nie będą mogli mieć kompletu lekcji, bo nie można posadzić dziecka na osiem godzin przed ekranem. Posypie się cały plan godzin.

Od szkoły do szkoły

Do wypełniania obowiązków ledwo starcza obecna kadra, która wkrótce może zostać uszczuplona przez SARS-CoV-2. Rezerw nie ma. Ściąganie do szkół emerytów byłoby wręcz nieetyczne. A młodzi, po studiach, nie szturmują podstawówek i liceów – trudno skusić absolwenta dwoma tysiącami złotych na rękę.

Likwidacja gimnazjów spowodowała problem, za który przyjdzie zapłacić wysoką cenę. Wielu nauczycielom gimnazjalnym wystarczało godzin etatowych w jednej szkole – po reformie musieli zacząć je zbierać w kilku placówkach. W szkole Rafała jest takich kilkunastu. Skutki mogą być opłakane: wystarczy wspomnieć, jakie były efekty pracy pielęgniarek w kilku szpitalach i DPS-ie. Rafał: – W normalnych warunkach jakoś to funkcjonuje, ale jest niewykonalne przy konieczności minimalizowania kontaktów. A nauczyciel nie może po prostu zrezygnować z części godzin, bo zostanie z głodową pensją. Poza tym w jakiejś szkole dzieci zostałyby bez lekcji, które prowadził.

Średnia wieku nauczycieli od lat rośnie, obecnie wynosi 44,1 roku. – W naszej szkole na 60-osobową kadrę, tylko 15 nie skończyło pięćdziesiątki, i to oni będą dyżurowali na przerwach – mówi Rafał.

W niektórych krajach zachodnich wprowadzono ścisły podział szkoły na strefy, w których mogą funkcjonować konkretne grupy uczniów i nauczycieli. Obejmują np. salę lekcyjną, drogę do łazienki i stołówki, szatnię. W Polsce padły na razie pomysły, by uczniowie nie opuszczali sali. I tu znowu system nie spina się na żadnym poziomie. Uczniów nie wolno zostawić samych, a nauczycieli nie ma tylu, żeby rozsadzić ich po wszystkich salach i korytarzach. Poza tym w starszych klasach pedagodzy muszą kursować miedzy salami, chyba że chemik miałby uczyć polskiego. Zakaz wychodzenia jest sprzeczny z nakazem częstego mycia rąk. A tu rodzi się kolejny problem: w jaki sposób kilkuset uczniów miałoby to zrobić na jednej przerwie, skoro są dwie-trzy umywalki na piętro? Minister odpowiedzialność przerzuca na samorządowców, zaniedbujących według niego finansowanie szkół.

Wystawieni

Rafał: – Kiedy zaczniemy pracę, będziemy musieli zamrozić kontakty z własnymi rodzicami, nie będziemy w stanie im pomagać. Moja mama ma 80 lat, spotkanie groziłoby jej życiu. Przed jeszcze trudniejszym dylematem stoją nauczyciele, którzy mieszkają ze starszymi rodzicami. Wielu bierze zwolnienia ZUS-owskie na opiekę.

– Idziemy pracować do najbardziej zagrożonego miejsca poza szpitalami – ocenia historyk. – Moim zdaniem prędzej czy później wrócimy do zdalnego nauczania. Tylko że wtedy nasze szeregi będą zdziesiątkowane.

©℗ MACIEJ MÜLLER

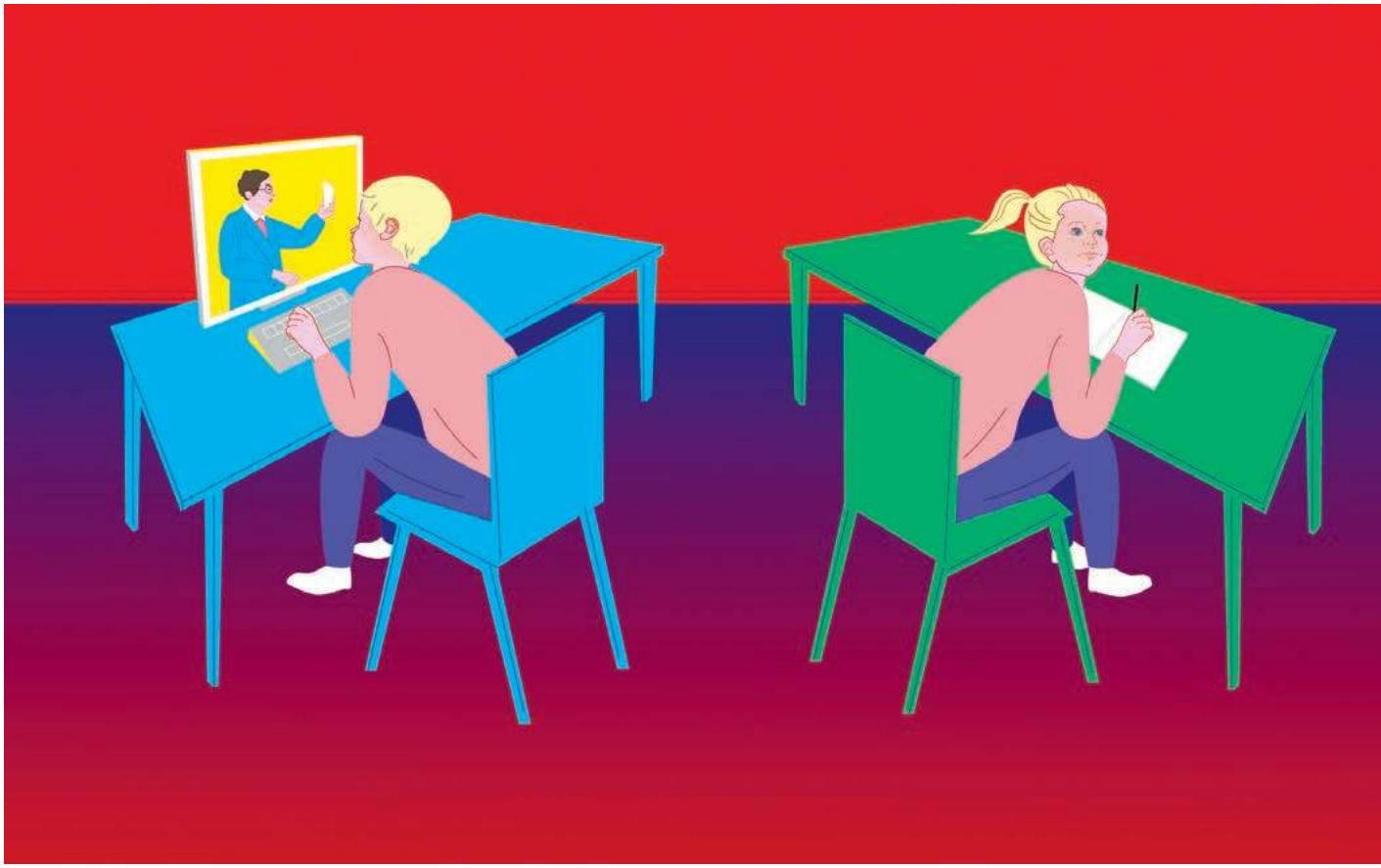

Wszyscy się boją

JAROSŁAW PYTLAK, PEDAGOG:

Problemem szkół nie będzie to, że w tysiącu z nich pojawi się 20 tys. zakażonych, tylko że w stu pojawi się po dwóch. To wystarczy, by nakręcić emocje.

ANNA DZIEWIT-MELLER: Czy pandemia i zdalna edukacja nauczyły nas czegoś dobrego?

JAROSŁAW PYTLAK: Nauczyły nas, że nie chcemy się uczyć zdalnie. To niestety pierwsza myśl, jaka mi przyszła do głowy. Ale jeśli mam odpowiedzieć choć trochę konstruktywnie, to oczywiście, dała nam pewne nowe rozwiązania – np. okazało się, jak wiele spraw można rozwiązać bez spotkań na żywo. Tego typu drobnych korzystnych doświadczeń jest sporo.

Ale niestety nie widzę w tym zwiastuna wielkiej rewolucji w edukacji – nie wierzę w rewolucję niewspomaganą systemowo. Polski system oświaty to jest ze 30 tysięcy szkół i 4,5 miliona uczniów. Entuzjaści w swoich placówkach mogą korzystać z okazji do zmian i wiem, że to robią. Ale jeśli chcemy być zadowoleni ze stanu ogólnopolskiej edukacji, nie możemy tego oprzeć na entuzjastach.

Rodzice pierwszy raz mieli tak głęboki wgląd w lekcje, w relacje w klasie, w podstawę programową. Może więc najważniejszą rzeczą, którą wyciągamy z pandemii, jest to, że rodzice nagle zobaczyli, czym jest szkoła? Wielu jest w szoku, jak wygląda źle.

Jest takie powiedzenie: jak lubisz kiełbasę, nie pytaj, jak jest produkowana. To daje się do pewnego stopnia zastosować także do systemu edukacji. Rodzic niestety zazwyczaj nie ma pojęcia o szerokim kontekście, w jakim funkcjonuje jego dziecko w klasie, wszak skąd miałby je mieć? Pandemia zaś spowodowała, że nagle rodzice znaleźli się w centrum systemu.

Czego wcale nie chcieli.

Zaczęli się rozglądać i okazało się, że mnóstwo rzeczy im się nie podoba. I ten nauczyciel, który nie bulwersował nas, kiedy dziecko raz na jakiś czas powiedziało coś o jego pracy, zaczął nas bulwersować, gdy zobaczyliśmy np., jakie zadania wysyła.

Z drugiej strony, rodzice wchodząc do systemu, mogli w końcu na własne oczy z bliska zobaczyć, jak ten system jest bezsensowny na wielu poziomach. Np. podstawa programowa, i to nie tylko dlatego, że jest zbyt obszerna. Młodzież nie uczy się dziś dużo więcej niż wtedy, gdy ja chodziłem do szkoły, ale dziś świat jest zu-

pełnie inaczej zorganizowany. U podłoża reformy, którą wprowadził rząd Zjednoczonej Prawicy, leży przekonanie, że straciliśmy coś ważnego: erudycję, solidne, ogólne wykształcenie. Ideolodzy tej reformy patrzą na to tak: jak mogliśmy zmarnować ten potencjał, my, nasze pokolenie, byliśmy po prostu dobrze wykształceni, a teraz? Sam pamiętam, jak się zdenerwowałem, że moje córki nie pamiętają daty bitwy pod Grunwaldem. Ale z drugiej strony – pomyślałem – one mają mnóstwo wiadomości, których ja nie mam. I lepiej obsługują współczesny świat. Coś za coś, po prostu.

Szanuję wiedzę, erudycję, ale jeżeli teraz do matury dochodzi ponad połowa społeczeństwa, a kiedyś dochodziło 5 proc., to siłą rzeczy wykształcenie musi być mniej warte, bo potencjał intelektualny ludzkości nie stał się wyższy niż sto lat temu. To nie obecne rządy zdeprecjonowały wykształcenie – uczyniło to przez ostatnie 20 lat kilka kolejnych politycznych rozdań. Przecież to Roman Giertych zrobił amnestię maturalną, co stanowiło ogromny wyłom w wartości wykształcenia. A teraz próbujemy na siłę przywrócić znaczenie solidnego, gruntownego, klasycznego, powiedziałbym, wykształcenia.

Te wysiłki wydają się absurdalne. Młodzi nie rozumieją sensu tych działań, bo mają pod ręką zasoby, z których jednak nie umieją korzystać, ponieważ tego ich nie uczymy. A teraz wracamy do szkoły, którą obserwowaliśmy, i jesteśmy jeszcze bardziej skołowani, zastanawiając się, jak sobie poradzimy z tą edukacją w warunkach kompletnego rozchwiania.

Nieprzypadkowo mówi pani w kontekście nauki swoich dzieci: „poradzimy sobie". To znak czasu. Problemem naszego systemu nie są wyłącznie złe podstawy, niezreformowani nauczyciele, ale również rodzice, którzy wykształcenie swoich dzieci traktują niezwykle osobiście. Jestem w stanie zaakceptować to, że rodzic po prostu troszczy się o swoje dzieci, a z drugiej strony, jak czytam w internecie te rozpaczliwe deklaracje rodziców, jak to oni całymi dniami uczyli się ze swoimi dziećmi, to pytam: po co się uczyliście? Dlaczego nie napisaliście do nauczyciela albo nie pozwoliliście dzieciom nie oddać pracy, choćby pod groźbą jedynki? Rodzice jako punkt honoru wyznaczają sobie, żeby to, co dziecko nauczycielowi odeśle, było idealne. Gdy jest idealne, wszyscy są zadowoleni, nauczyciel też, bo mało roboty. Tyle że nie ma żadnego pojęcia o tym, ile to dziecko faktycznie umie. Więc rodzice też strzelają sobie w kolano. Nie wiem, jak to zmienić, bo żadne argumenty zdroworozsądkowe na dużą skalę nie trafiają.

Wśród rodziców pojawiał się pomysł, by – biorąc pod uwagę iluzoryczność nauki online – zrezygnować z egzaminów.

Byłem za tym, by je sobie odpuścić. Ale z perspektywy czasu – a nie jestem życzliwy obecnej załodze MEN-u – chcę przyznać, że ten ich upór, by je przeprowadzić, miał sens. Fakt, że polityka informacyjna mogła być prowadzona inaczej, natomiast myślę, że rekrutacja do szkół średnich czy do wyższych odbywała się w znanych wszystkim ramach. Gdyby zaś te ramy trzeba było rzeźbić na nowo, nie wiem, czy szkody nie byłyby większe niż pożytki.

Egzaminy nie spowodowały wysypu zakażeń, więc akurat tutaj władza postąpiła rozsądnie. Nie wiem zatem, czy metodą na walkę z pandemią byłoby zupełne unieważnienie systemu, natomiast wiem, że ten system już przed pandemią ewoluował w kierunku ręcznego sterowania, opartego na obawie przed kontrolą, odpowiedzialnością. Brnęliśmy w to i bez koronawirusa. I – powiedzmy sobie jasno – to nie jest wymysł PiS-u. To robiły również poprzednie rządy. Wyliczanie liczby godzin, szczucie rodziców na nauczycieli. To zaczęło się wcześniej, a pani Zalewska zrobiła po prostu milowy krok w tym kierunku. I teraz mamy edukację, w której nikt nikogo nie lubi, nikt z nikogo nie jest zadowolony, wszyscy się z tym męczą.

Jestem pierwszy, który by zmienił podstawę programową. Ale to musiałoby być częścią dużej zmiany, jak ta, którą zrobiliśmy 20 lat temu, w ramach tzw. reformy Handkego. Politycy z wszystkich ekip pracowicie rozmontowywali ją zaś przez kolejne dwie dekady. Wie pani, można wyrzekać na tę wstrętną komunę, która różne brzydkie rzeczy robiła, ale miała chyba więcej szacunku dla wiedzy niż władza dziś.

Porozmawiajmy o początku roku. Nie nastąpiła żadna katastrofa po maturach, nie nastąpiła po egzaminach ósmoklasisty. Jak powinniśmy zachowywać się w rozpoczętym już roku szkolnym, by nie nastąpiła też teraz?

Wszystko zależy od definicji katastrofy. Śledzimy teraz pilnie doniesienia z Niemiec, gdzie w Nadrenii Północnej-Westfalii dzieci poszły do szkoły, i gdzie jest już prawie 30 placówek do zamknięcia, bo wykryto przypadki COVID-19. Problemem szkół nie będzie wcale to, że nagle w tysiącu z nich pojawi się 20 tys. zakażonych, tylko że w stu pojawi się po dwóch zakażonych. To wystarczy, by nakręcić emocje, pozamykać szkoły, no bo przecież z tych dwóch, jeżeli nic nie zrobimy, w ciągu tygodnia zrobi się dwudziestu. Problem COVID-19 w kontekście szkół jest przede wszystkim problemem psychologicznym. Wszyscy się boją: rodzice, nauczyciele, dzieci.

Rząd przyjął strategię: „idziemy do szkół i zobaczymy", ale może ona okaże się dobra? Jesteśmy czujni, wyłapujemy potencjalnie zakażonych, zamykamy szkołę na dwa tygodnie na kwarantannę, a potem wracamy. To jest opcja niewątpliwe tańsza niż kupowanie ↦

↦ pojedynczych ławek, chodzenie w maseczkach, już nie mówiąc o hybrydowym nauczaniu.

Choć oczywiście sam mam wiele wątpliwości. Moje obawy wiążą się z zajmowanym stanowiskiem.

Odpowiedzialność, zdaniem MEN, jest po Pana stronie.

Emocje rodziców, nauczycieli, dzieci też najpierw spłyną na mnie. Mogę najwyżej zrezygnować z funkcji, natomiast działam w takich realiach, jakie minister stworzy. To powoduje, że nie ma we mnie cienia entuzjazmu. Bo to kolejny ogólnonarodowy wyczyn: damy radę.

Jestem 30 lat dyrektorem szkoły, przez ten czas zrobiłem bardzo dużo fajnych rzeczy. Ale ostatnie pięć lat to jest jazda w dół. Wszystkie te dobre pomysły musiały ustąpić dostosowywaniu się do realiów, które są – nie zawaham się powiedzieć – coraz głupsze, nawet abstrahując od pandemii. Jestem zmęczony.

Rodzice pewnie też, zwłaszcza teraz. Co powinni zrobić, jeśli mają w domu kogoś z grupy ryzyka? Wielu z nich chciałoby mieć prawo wyboru, czy posłać dziecko do szkoły.

Ależ mają to prawo.

Owszem, ale jego dokonanie ma daleko idące konsekwencje. Edukacja domowa nie jest tym samym co lekcje zdalne.

Ale to wciąż możliwość wyboru. To niestety jest bardzo powszechna postawa:

ARCHIWUM PRYWATNE

JAROSŁAW PYTLAK jest pedagogiem, nauczycielem, kieruje zespołem szkół Społecznego Towarzystwa Oświatowego na warszawskim Bemowie. Twórca kwartalnika „Wokół Szkoły” i bloga wokolszkoly.edu.pl.

„Chcę mieć wybór, żeby mnie było dobrze”. Jak rodziców jest w szkole czterystu i każdy widzi tylko koniec swojego nosa, to do wszystkich innych kłopotów, jakie mam, dochodzi jeszcze konieczność wytłumaczenia każdemu, z jakiego powodu czegoś nie ma lub czegoś się nie da zrobić. Bo to nie jest, proszę państwa, Burger King i nie serwujemy tu hamburgerów! Jeżeli słyszę prośbę, której spełnienie jest osiągalne – nie ma problemu. A jeśli nie, to co ja poradzę, że komuś będzie niewygodnie? No na Boga, wszystkim jest niewygodnie!

Rodzice nie są zgodni w sprawie otwarcia szkół.

Proszę to wytłuścić w tekście: stary dyrektor zapewnia, że nie ma żadnej sprawy, w której rodzice byliby zgodni. Zawsze znajdzie się grupa, która będzie mieć zdanie przeciwne. To jest elementarz pracy w zarządzaniu oświatą: muszę słuchać, ale robić po swojemu. I kwestią mojej zręczności jest, czy zaspokoję znaczącą część oczekiwań, bo wszystkich zaspokoić się nie da. Rząd przyjął taką opcję, że wracamy do szkół. Moim zdaniem zaoferował za mało, ale sama decyzja mnie nie dziwi. Nie ma możliwości wyboru, że część uczy się zdalne, a część w szkole, bo ten system tego nie udźwignie. Może w szkole społecznej, a i to z trudem, ale na pewno nie w szkole publicznej. Mogę przekazać rodzicom przesłanie: drodzy państwo, będziecie często niezadowoleni. Już jesteście.

Jesteśmy. Ale Państwo też są. Czytałam wypowiedź Krystyny Starczewskiej, że trzeba patrzeć na dobro dzieci, które potrzebują powrotu do szkoły. Ale jej zdaniem ten powrót jest tak fatalnie przygotowany, że to się może skończyć ponownym zamknięciem szkół.

Proszę pani, naród uznał, że ta opcja polityczna rządzi dobrze. To niech naród się teraz odczepi. Tak – szkoły mogłyby być lepiej przygotowane. Atmosfera w szkołach mogłaby być lepsza. Rodzice mogliby być bardziej zadowoleni ze szkół. Dzieci mogłyby... I tak dalej, i tak dalej. Ale nie są. Pogódźmy się z tym.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@tTygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

A co my, rodzice, możemy zrobić, by w atmosferze ogólnego chaosu było wszystkim trochę lepiej?

To, co mógłbym zalecić, jest bardzo niepopularne w dzisiejszych czasach. Zalecałbym bowiem odrobinę pokory, gotowości do zrozumienia, że nie wszystko jest możliwe. Często zdarza się, że ktoś ze mną rozmawia na temat przeniesienia dziecka do mojej szkoły. Słyszę wtedy, że poprzednia placówka nie uczy albo nie ma warunków, by rozwinąć talenty dziecka. Jeden z ojców przyszedł do mnie kiedyś ponarzekać, że niepokoi się, bo jego syn nic się nie uczy, nie ma ambicji intelektualnych. Żeby podkreślić beznadziejność tej sytuacji, powiedział, że kupił synowi mikroskop. I że syn ten mikroskop obejrzał, a po piętnastu minutach odstawił w kąt.

Co Pan odpowiedział?

Zadałem pytanie, czy w ogóle pytał syna, czy chce ten mikroskop. Istnieją bowiem wyobrażenia rodziców, jak ma być, i oni je realizują, nie biorąc pod uwagę tego, że największą misją rodzicielską jest usamodzielnienie swoich dzieci.

Dzisiaj problemem społecznym jest to, że dzieci długo są przy rodzicach. Muszą wciąż inwestować w siebie, świat nigdy nie jest dostatecznie dobry na ich geniusz. Więc rada następująca: zostawcie w spokoju swoje dzieci. To, czego potrzebują najbardziej, to jasne ramy, w których postępują. Tymczasem w domu pojawia się kłopot: jeden rodzic potrafi wyznaczyć te ramy, drugi ulega.

Nie ma możliwości wyboru, że część uczy się zdalnie, a część w szkole, bo ten system tego nie udźwignie. Może w szkole społecznej, a i to z trudem, ale na pewno nie w szkole publicznej.

I jeszcze się wkurza, bo dziecko nie robi postępów, a „ten głupi nauczyciel" nie potrafi pomóc.

Fora rodzicielskie puchły od wyrażanych między sobą opinii, jakie kłopoty są z dziećmi, bo nie mogą się zorganizować. Ale czy ktokolwiek zadał pytanie: a co my źle robimy, że nasze dzieci są takie nieogarnięte? Jeżeli rodzic uznaje, że ponosi odpowiedzialność za efekty pracy swojego dziecka, no to ma problem. I to jest problem, który wykracza poza pandemię, wykracza nawet poza szkołę, bo to jest problem życiowy.

Od ludzi, którzy profesjonalnie zajmują się rekrutacją, wiem, że stopień samozachwytu młodych ludzi nad sobą jest kuriozalny, dużo większy niż kiedyś. Świat po prostu nie jest wystarczająco doskonały na ich doskonałość. To się bierze właśnie z tego, że w takiego młodego człowieka się inwestuje, nie wymagając od niego, że tak powiem, wkładu własnego.

Na koniec: czy ma Pan konkretne oczekiwania wobec ministerstwa?

Swoje oczekiwania wobec ministerstwa artykułuję publicznie od mniej więcej czterech lat. Żadne z nich nie zostało spełnione. Ten system się wali. Rewelacyjną metaforą tej sytuacji jest powieść „Paradyzja" Janusza A. Zajdla. Opisał planetę, którą zwiedza gość z Ziemi. Przy okazji tego zwiedzania orientuje się, że szkielet, na którym ona się opiera, jest kompletnie przerdzewiały. Są tam ekipy naprawcze, które coś spawają, coś próbują gorączkowo ratować, ale on ma refleksję: to musi runąć, jak nie jutro, to za miesiąc, ale musi. Polski system jest jak Paradyzja. Rozsadzi go niezadowolenie rodziców. Będą współwinni, bo nie mają poczucia realiów, ale też są jako jedyni siłą sprawczą, która może to wszystko rozsadzić.

Nie nauczyciele, którzy są często zainteresowani utrzymaniem *status quo*. Na razie w relacjach z władzą jesteśmy tylko petentem. Możemy się ucieszyć, że czegoś tam posłuchali, bo widzę po tamtej stronie brak gotowości do jakiegokolwiek dialogu. Więc po prostu czekam – nie wiem, czy pierwsza się rozpadnie edukacja, czy gospodarka, czy będziemy mieli mnóstwo szczęścia albo pecha, i nic się nie rozpadnie. Natomiast wiem, że dywagacje na temat uzdrowienia polskiej edukacji to mrzonka. Próbujemy utrzymać usta na powierzchni wody i tyle.

© Rozmawiała ANNA DZIEWIT-MELLER

REKLAMA

Sprzedaj używane książki w **Tezeuszu** – największym antykwariacie w Polsce!

Wszystko załatwimy za Ciebie

Szybka wycena książek

Miejsce na nowe książki

Recykling literatury

Działamy na terenie całego kraju! Bezpłatny dojazd i odbiór książek! Płatność gotówką przy odbiorze. Interesują nas także duże zbiory instytucjonalne, wycofywane z bibliotek. Mniejsze zbiory możesz sprzedać samodzielnie na **www.skupksiazek.pl**

tel. +48 539 915 890
kontakt@skupksiazek.pl
www.skup.tezeusz.pl

PAWEŁ

Śpiewak:
Obrzezanie: szósta próba

Przymierze z Bogiem zaczęło się tęczą. Ona była naturalnym znakiem. Obrzezanie Abrahama było w judaizmie pierwszym znakiem przymierza. Szło przeciw naturze. Inni powiadają: poprawiało czy uszlachetniało naturę. Wymagało dość głębokiej i bolesnej ingerencji w ciało. Od tego momentu ojciec wielu narodów, obdarzony nowym imieniem, po raz pierwszy otrzymał jasne pouczenie o tym, jak ma żyć, by sprostać Bożym nakazom. Te nauki trwają do dziś, a ich źródeł szukać należy w zaufaniu Abrahama i w prawach danych Mojżeszowi.

Nakaz obrzezania trwa tysiące lat i w zasadzie nigdy nie został przez Żydów zakwestionowany. Historycy twierdzą, że obowiązuje mniej więcej od 500 r. przed wspólną erą, ale najważniejsze: jest powszechnie przyjęty. Bywał trudny do zrealizowania – jak w czasach panowania Greków czy w Sowietach i innych demoludach – ale pozostał przemożnym symbolem łączności z przodkami i następnymi pokoleniami. Tylko w wyjątkowych okolicznościach obrzezanie może zostać odłożone lub wręcz wstrzymane (hemofilia). Przepisy talmudyczne są w tym względzie jasne.

Obrzezanie ma w życiu Abrahama jedno znaczenie. Bóg zmienia imiona 99-letniego Abrama, a także 90-letniej Saraj na Sara (księżniczka) i po wielu latach wspólnego życia Sara zachodzi w ciążę, a jak nakazał Bóg, syn otrzymuje imię Izaak – Śmiejący. Obrzezanie zmienia biologię prarodziców. Potęguje ich siły rozrodcze. Jakby została usunięta z ciała Abrahama jakaś istotna przeszkoda. Napletek ma takie właśnie znaczenie. Mojżesz tłumaczył Bogu, że jest niesprawny w mówieniu i nie może przemawiać do faraona. W oryginale mowa tu o napletku na języku (6, 30). W Księdze Powtórzonego Prawa Bóg wzywa Izraelitów: „Obrzeżcie więc nieobrzezkę waszego serca" (10, 16). Tylko oczyszczeni będą mogli służyć i kochać swojego Boga. W Księdze Jeremiasza czytamy: „Oto ich ucho jest nieobrzezane, więc nie mogą słuchać" (6, 10). Abraham, dokonując obrzezania, wskazuje na to, jak można połączyć się z przymierzem i jak wypełniać nakaz: mnóżcie się i rozradzajcie. Z perspektywy rabinicznej pojawiła się już inna interpretacja obrzezania: ten akt ma pomóc kontrolować grzeszne potrzeby. Znak wpisany trwale w ciało przypomina, skąd jesteśmy, jakie nakazy-micwy zostały nam dane. Jest jak mezuza w drzwiach czy frędzle-cycełe na szacie.

Jak ważne jest dla Żydów obrzezanie, poświadcza wielki Majmonides, pisząc, że obrzezanie swoją wagą równe jest całej Torze. Tora i obrzezanie są postaciami przymierza. Żyd w każdych okolicznościach znajdzie w sobie dość siły, by poddać się tej operacji. Tak jak Abraham, który krzemiennym nożem bez znieczulenia wypełnił wezwanie Boga. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Zawłaszczyć Boga

„Zgrzeszyć". Ten czasownik „rzadko pojawia się u synoptyków", czytamy w komentarzu do Ewangelii Mateusza autorstwa ks. Antoniego Paciorka. Tymczasem słowo „grzech" od dawna rządzi językiem kościelnym – i trywializuje samo pojęcie. Na półce opatrzonej tą etykietą ustawiamy obok siebie: odrzucenie uchodźców i kęs kiełbasy, defraudację pieniędzy publicznych i opuszczenie pacierza, zdradę małżeńską i młodzieńcze kłopoty z masturbacją, ludobójstwo i sprzeczkę rodzinną itd.

Słowo „grzech" najmocniej zagnieździło się w terminologii związanej z szóstym i dziewiątym przykazaniem, gdzie wszystko jest grzechem najcięższym z możliwych. Próbujemy więc te grzechy mierzyć i ważyć, co sprawia, że w skrajnych przypadkach wszystko staje się grzechem lub nic nim nie jest. Tymczasem Leszek Kołakowski przypomina: „Wyobrażenie, że zło jest we mnie, w tobie, w nim, w niej, jest godne pogardy i infantylne. (...) Wyznajmy to: taka jest nasza codzienna filozofia, filozofia całkowitej niewinności jednostki, odrzucenie osobistej odpowiedzialności, zanegowanie zła i grzechu, a ostatecznie zanegowanie człowieka poprzez zapomnienie Jezusa". W rezultacie to „zapomnienie Jezusa" doprowadza człowieka do zdiablenia Boga.

Dowód? W Agrygencie w 1993 r. Jan Paweł II mówił: „Żałujcie, nawróćcie się póki czas, bo pewnego dnia będzie miał miejsce Sąd Boży". To wezwanie było skierowane pod adresem sycylijskiej mafii. Po latach Franciszek dopowiedział: „Mafiosi nie są w komunii z Bogiem, są ekskomunikowani". Ostatnio przewodniczący Papieskiej Akademii Mariologicznej o. Stefano Cecchin, w odpowiedzi na list papieża z racji inauguracji nowo powstałego wydziału badającego zjawiska kryminalne i mafijne, powiedział o mafii: „To nie jest religia, to jest zabobon. Jest on tworzony przez przestępców, przez mafie. Religia jest przez nich rozumiana jako rzeczywistość, w której również Bóg się im podporządkowuje. Także Maryja poddaje się ich przywództwu, kłania się przed ich siedzibami, podporządkowuje się ich autorytetowi. Chcą oni za wszelką cenę wmówić ludziom, że Bóg jest po ich stronie, a więc także wykorzystać uczucia religijne, aby nie tyle ludzie stawali się wolnymi osobami, ale byli niewolnikami". Dlatego Franciszek stanowczo domaga się, żeby „uwolnić osobę Maryi od wpływu organizacji przestępczych".

To w Italii, a jak jest u nas? Też nie brak polityków, którzy uważają, że za ich zasługi wieże kościelne powinny im się kłaniać. „Niektórzy biskupi" zaś, zapominając o Soborze Trydenckim, „postępują z niegodnym uniżeniem wobec ministrów królewskich, zarządców i baronów, w kościele (...) nie tylko ustępują [im] miejsca, a nawet osobiście im usługują". ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Demokracja i Kościół

Z niedawnej Liturgii Słowa w święto św. Bartłomieja: „Anioł tak się do mnie odezwał: Chodź, ukażę ci Oblubienicę, Małżonkę Baranka. I uniósł mnie w zachwyceniu na górę wielką i wyniosłą, i ukazał mi Miasto Święte, Jeruzalem, zstępujące z nieba od Boga, mające chwałę Boga" (Ap 21, 9b-11a).

W dwóch zdaniach mamy dwa niezwykle pojemne obrazy Kościoła: jako „Oblubienicy-Małżonki" i „Miasta". Drugi obraz rzadko analizujemy, bliżej nam np. do myślenia o Kościele w kategoriach „Królestwa Bożego". Tymczasem miasto (gr. *pólis*) to nie tylko zorganizowana przestrzeń do życia (mury, bramy, siatka ulic, rynek), ale też konkretna forma ustrojowa. *Pólis* wyróżnia forma sprawowania władzy – z reguły demokratyczna; nawet jeśli miasto posiadało króla albo grupę oligarchów, najważniejsze decyzje należały do zgromadzenia obywateli. Być obywatelem miasta znaczyło mieć wpływ na jego losy i ponosić za nie odpowiedzialność. O tym pewnie myślał św. Paweł, kiedy pisał do Efezjan: „Nie jesteście już obcymi i przychodniami, ale jesteście współobywatelami świętych i domownikami Boga" (Ef 2, 19). To znaczy: współdecydujecie i wspólnie odpowiadacie za to Miasto, jakim jest Kościół.

Czytałem to Słowo podczas pieszych pielgrzymek z mojej łódzkiej diecezji i widziałem, jak się wypełnia. Pielgrzymka jest niezwykłym czasem obudzonej i przełożonej na konkret współodpowiedzialności za Kościół. Przykładowo: w pielgrzymce z Koluszek wędrowało ok. 90 osób. Jedna trzecia pełniła rozmaite posługi: medyczną (w tym roku ważniejszą niż kiedykolwiek), drogową, muzyczną, porządkową (w łódzkiej pielgrzymce klerycy czyścili i dezynfekowali toi toie), logistyczną itd. Co więcej: zaangażowanie owej trzydziestki automatycznie wręcz pobudzało poczucie odpowiedzialności pozostałych: ktoś chciał nieść krzyż, ktoś inny nagłośnienie, ktoś rozdawał wodę...

Gdyby się tylko udało – myślałem – przenieść ten model w codzienność każdej parafii. W trzytysięcznej parafii tysiąc zaangażowanych osób. Marzenie.

Czy tylko? Czy jednak nie również zobowiązanie? Jan mówi wszak o „Mieście" jako rzeczywistości „zstępującej z nieba", a więc podarowanej przez Boga, a nie jedynie wygenerowanej przez demokratycznie uformowanych ludzi. Ostatecznie to „z nieba" otrzymujemy duchowe dary i wyposażenie: charyzmaty, działania i posługi (por. 1 Kor 12, 4-6). Powierzając je nam, Pan liczy na nasze zaangażowanie i odpowiedzialność. Zadaje nam Kościół-Miasto. Warto w tym kontekście sięgnąć do Franciszkowej adhortacji „Evangelii gaudium" i przeczytać numery 72-75 poświęcone miastu w procesie ewangelizacji. Zadanie domowe? ©

Wszyscy, którzy poszukują Ostatecznej Tajemnicy, Sensu Rzeczywistości – poprzez praktykowanie religii, miłość natury, naukę, sztukę, służbę innym, głęboką przyjaźń – są zjednoczeni w tym samym poszukiwaniu.

THOMAS KEATING OCSO

Rzeczywista Prawda jest jedna. Mędrcy różnie ją określają.

RIGWEDA

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (6 – 13 IX)

23. niedziela zwykła: Ez 33, 7-9; Ps 95; Rz 13, 8-10; Mt 18, 15-20;
Poniedziałek: 1 Kor 5, 1-8; Ps 5; Łk 6, 6-11;
Wtorek: Mi 5, 1-4a; Ps 13; Rz 8, 28-30; Mt 1, 1-16. 18-23;
Środa: 1 Kor 7, 25-31; Ps 45; Łk 6, 20-26;
Czwartek: 1 Kor 8, 1b-7. 10-13; Ps 139; Łk 6, 27-38;
Piątek: 1 Kor 9, 16-19. 22-27; Ps 84; Łk 6, 39-42;
Sobota: 1 Kor 10, 14-22; Ps 116B; Łk 6, 43-49;
24. niedziela zwykła: Syr 27, 30 – 28, 7; Ps 103; Rz 14, 7-9; Mt 18, 21-35.

MIASTA KROK W TYŁ

Samorządy wpadły w kryzys i oszczędzają, na czym się da. Mieszkańcy boleśnie odczują to dopiero w przyszłym roku.

BARTOSZ JÓZEFIAK

Kraków zgasił światło 14 kwietnia. Latarnie w całym mieście przez kilka tygodni wyłączano na cztery nocne godziny. W ślad poszły Wałbrzych, Suwałki, Sandomierz. Ponad miesiąc później Łódź wypowiedziała układ zbiorowy pracownikom szkół, którzy nie są nauczycielami. Władza uzasadniała: w ten sposób odbieramy woźnym i sprzątaczkom przywileje rodem z minionej epoki, np. prawo do darmowej herbaty czy mydła, ale też 20-procentową premię wypłacaną nawet, gdy żadnej pracy nie mają. Zapomniała dodać, że nawet z premią pensja woźnych to okolice minimalnej krajowej.

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Zarząd Zieleni Miejskiej zachęca do zachowania dystansu społecznego, Bulwary Wiślane, Kraków, maj 2020 r.

To pierwsze sposoby prezydentów miast na oszczędności w pandemii. Niestety, nie jedyne.

Kultura do kości

I bez pandemii ten rok byłby ciężki. Po kieszeni samorządy uderzyła obniżka PIT dla młodych, czyli wyborcza obietnica rządu. Zamknięcie gospodarki i życia publicznego dobiło gminy. Biedniejące firmy i mieszkańcy płacili mniejsze podatki. Zamknięte aquaparki, baseny, stadiony i teatry nie generowały zysków. Dochody z biletów komunikacji miejskiej szorowały po dnie, bo w lockdownie nikt nigdzie nie jeździł. Samorządy wprowadzały pakiety wsparcia dla biznesu, kupowały maseczki dla pracowników, dezynfekowały na potęgę. Związek Miast Polskich szacuje, że gminy mają budżety średnio o 13 proc. mniejsze od przewidywań z początku roku.

Urzędy zamroziły nabory nowych pracowników, przestały wypłacać premie i delegacje, nie przedłużały umów. Kosiarki wyjeżdżały rzadziej, krzywe chodniki pozostawały krzywe. Szybko wyłoniło się kilka podstawowych strategii przetrwania, przyjmowanych w magistratach, jak Polska długa i szeroka.

Po pierwsze, budżety obywatelskie. Prezydenci najchętniej zrezygnowaliby z nich w ogóle (prezydent Łodzi nawet zdążyła to zapowiedzieć), ale miastom na prawach powiatu nie pozwala na to ustawa. Dlatego zostawiły tylko ustawowe 0,5 proc. wydatków na obywatelskie projekty. Ciekawą strategię przyjęły władze Zielonej Góry, które po prostu nie organizują głosowania. Zagadywany przez dziennikarzy prezydent milczy lub półgębkiem wspomina, że w tym roku budżet obywatelski nie ma sensu. Nie podzielił się jednak wiedzą, jak zamierza ominąć ustawę.

Po drugie, wydatki wydziałów kultury i promocji ścinane są do kości. Dni miast to tylko miłe wspomnienie. Toruński Skyway Festival przeszedł na wersję oszczędną: widzowie będą podziwiać świetlne instalacje, nie wysiadając z samochodów. Gwiazdy światowego rysunku na łódzkim Festiwalu Komiksu i Gier połączą się z fanami jedynie *online*.

Iława z imprez nie rezygnuje, ale zmniejsza ich wielkość. Odwołano festiwal Soundlake, koncerty Kayah i Afromental, zamiast tego postawiono na mniejsze imprezy, po 600 osób. I tak do miasta udało się sprowadzić Czesława Mozila, rapera KęKę, Luxtorpedę czy Renatę Przemyk. Burmistrz Dawid Kopaczewski stawiał jednak gwiazdom ultimatum. Urzędu nie stać na taki sprzęt, do jakiego muzycy są przyzwyczajeni: muszą grać na tańszym nagłośnieniu z miejscowego centrum kultury. O dziwo, artyści się zgadzali. Burmistrz ma teorię, że obniżone oczekiwania to efekt kryzysu, który nawet gwiazdy uderzył po kieszeni. W ten sposób budżet na kulturę udało się ściąć o 400 tysięcy. A czy w kryzysie i pandemii koncerty w ogóle są potrzebne?

– Mamy masę turystów w Iławie, a mieszkańcy są przyzwyczajeni do oferty kulturalnej. Do kultury zawsze się dokłada, na tym ciężko jest zarobić, zresztą nie taka nasza rola. Jeżeli nie będziemy mieli oferty sportowej, kulturalnej, to miasto się wykrwawi, bo młodzi wyjadą do Olsztyna, Torunia, Gdańska. To walka o kolejne lata funkcjonowania miasta – twardo stoi przy swoim burmistrz Kopaczewski.

Za nami już tylko ściana

Zasada numer trzy: na edukacji oszczędzaj, gdzie możesz. Budżety szkół już i tak były wydrenowane, więc szukanie tu oszczędności to sport ekstremalny. Stąd właśnie zabranie w Łodzi przywilejów woźnym. W Białymstoku pracę potraciły pomoce w przedszkolach. Nauczycielki muszą sobie radzić same z dwudziestką dzieciaków w grupie. W zespole szkolno-przedszkolnym nr 2 w Legionowie rady pedagogiczne przeprowadza się *online*, co pozwala oszczędzić na kawie i herbacie. Pracę straciły dwie sprzątaczki.

Zasada numer cztery: ograniczaj komunikację. W czasie lockdownu autobusami i tramwajami i tak nikt nie jeździł. Ale wiele miast nie wróci do starych rozkładów. W Łodzi w szczycie autobusy i tramwaje będą jeździły co 7,5 minuty. Częściej niż w wakacje, ale jednak rzadziej niż przed pandemią. Przewodniczący rady miejskiej Marcin Gołaszewski jest świadom, że to przepis na odpływ pasażerów i większe korki. – Ale nie mamy wyjścia. Nie mamy sytuacji, gdzie możemy się cofnąć, bo za nami jest już tylko ściana, bankructwo – wyjaśnia. ↦

↦ Kraków obciął połączenia o 15 proc., na dokładkę podniósł ceny biletów. Łukasz Franek z Zarządu Transportu Publicznego przekonuje, że pasażerów i tak jest mniej, bo wielu pracowników korporacji zostało w domach: – Mieliśmy bardzo dobrą ofertę przewozową, spadamy więc z wysokiego konia. Po lockdownie mamy raptem 50 proc. pasażerów. A bilet miesięczny mieliśmy najtańszy w Europie, kosztował 69 zł. Podnosimy do poziomu innych miast w Polsce, nie więcej. Nawet po podwyżce to najtańszy środek transportu, do pracy czy szkoły dojedziemy za 3,70 zł dziennie – mówi.

Jesienią Kraków będzie zwiększał częstotliwość kursów, docelowo władze chcą osiągnąć siatkę połączeń zbliżoną do tej sprzed pandemii. Nie wszyscy stosują się do tej reguły. We Wrocławiu siatka zostaje taka sama jak przed pandemią. – Komunikacja zbiorowa to priorytet – zapewnia Przemysław Gałecki z magistratu. Wrocław kontynuuje budowę dwóch linii tramwajowych za 600 mln zł. Oszczędności trzeba było szukać gdzie indziej, bo w sześciomiliardowym budżecie zieje już dziura wielkości pół miliarda. Na półkę odłożono więc plan budowy nowej zajezdni.

Michał Wolański z Instytutu Infrastruktury Transportu i Mobilności SGH krzywym okiem patrzy na to majstrowanie przy rozkładach jazdy. – To najprostsza metoda na odpływ pasażerów. Niby jest ich mniej przez COVID-19, ale zarazem przez pandemiczne ograniczenia do tramwajów i autobusów może wsiąść mniej osób. Jeśli chcemy uniknąć tłoku, powinniśmy zostawić połączenia jak sprzed pandemii. Tym bardziej że pasażer, który porzuci komunikację miejską, zwykle już do niej nie wróci, nawet jeśli oferta znowu się poprawi. Jak ktoś raz kupi samochód, to już będzie nim jeździł.

Rząd się nie podzieli

W kolejnej już tarczy rząd poluzował reguły budżetowe, pozwalając samorządom bardziej się zadłużać. Premier Morawiecki w kampanii rozdawał fikcyjne czeki z nieistniejącego jeszcze wtedy Funduszu Inwestycji Samorządowych. Podczas uroczystości wręczania taktownie przemilczał, że także z winy rządu gminy są w fatalnej sytuacji. To PiS dokłada im obowiązków w oświacie, zapominając o przekazaniu stosownych środków. Wspomniane podatki dla młodych wpędziły samorządy w kłopoty jeszcze przed pandemią.

Fundusz w końcu powstał, a do gmin popłynie 12 mld zł. Wystarczy?

– Fundusz oceniam pozytywnie. Dostaliśmy ponad 39 mln, pomoże nam to dokończyć duże inwestycje drogowe. Ale co będzie za rok, dwa? Potrzebujemy systemowego wsparcia. Domagamy się, żeby nasze straty zostały zrekompensowane w zwiększonych udziałach w PIT albo udziałem w podatku VAT. To zresztą nasze postulaty od lat – mówi Tadeusz Truskolaski, prezydent Białegostoku i szef Unii Metropolii Polskich.

– Od początku powstania samorządów planowano, że ich udział w podatku PIT i VAT będzie się zwiększał. To się nigdy nie stało, bo żaden z rządów nie chciał się dzielić z gminami – mówi prof. Ryszard Cichocki z UAM w Poznaniu, socjolog i ekspert od samorządności. – Żeby to się jednak stało, władza centralna musiałaby mieć zasoby, żeby móc coś dzielić. I musiałaby widzieć tego sens. Dziś żaden z tych warunków nie jest spełniony.

Czy stadion ma sens?

Wiadomo już, na czym samorządy oszczędzać nie chcą. Włodarze powtarzają: inwestycji nie zmniejszamy. Dotyczy to także tych projektów, które już przed kryzysem wzbudzały wątpliwości.

I tak Zielona Góra nie rezygnuje z budowy parkingów wielopoziomowych w centrum, m.in. przy Palmiarni, pod nosem urzędników. Inwestycja ma kosztować kilkanaście milionów, ale jest na wczesnym etapie, można się z niej wycofać. Przed podjęciem ostatecznej decyzji włodarze miasta mogliby zapytać kolegów z Łodzi, w jaki sposób parking podziemny w centrum rozwiązał problem parkowania w okolicy. Podpowiedź: nie rozwiązał, po prostu więcej osób wjeżdża do miasta autami, a obiekt na tysiąc miejsc natychmiast się wypełnił.

Białystok nie rezygnuje z budowy hali widowiskowo-sportowej za 200 mln. – Chcę, żeby to był wielofunkcyjny obiekt. Inwestycja ma określone cele gospodarcze, bo takiego obiektu w mieście brakuje. Liczę, że uda się ją zrealizować w partnerstwie z prywatnym inwestorem, więc nie wszystkie koszty spadną na nas i zostaną rozłożone na wiele lat – przekonuje Truskolaski.

Z kolei Kraków przymierza się do modernizacji stadionu Wisły za 20 mln i do budowy parkingu za 60 mln. Inwestycja to konieczność, jeśli miasto chce być gospodarzem igrzysk europejskich w 2023 r.

– Część robót ma związek z bezpieczeństwem, trzeba je wykonać. Czekamy też na decyzję, czy dostaniemy rządowe dofinansowanie. Dopiero wtedy zapadnie decyzja o kształcie inwestycji. Moim zdaniem warto to robić. Impreza spowodowałaby powrót turystów, wpłynie pozytywnie na koniunkturę gospodarczą. Zakładamy, że do 2023 r. świat upora się z pandemią, ludzie będą chcieli złapać oddech, bawić się, wrócić do sportu – zapewnia przewodniczący rady miejskiej Dominik Jaśkowiec.

Słysząc te argumenty Krzysztof Kwarciak, aktywista i radny osiedlowy, puka się w głowę.

– Robić inwestycję za wiele milionów tylko pod jedną imprezę to fatalny pomysł. Tym bardziej że poprzednie edycje imprezy w Azerbejdżanie i na Białorusi nie cieszyły się wielką popularnością. Poza tym stadion jest świetnie skomunikowany, można dojechać tramwajem, po co tam jeszcze większy parking?

Te przykłady to część większej debaty pod tytułem: na co powinny wydawać miasta? Nie ma tu zgody między prezydentami a społecznikami.

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim, w sprawie I Ns 87/20 toczy się postępowanie z wniosku Elżbiety Listoś i Stanisława Listosia o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości położonej w miejscowości Bełżyce stanowiącej działkę oznaczoną w ewidencji gruntów numerem 1238 o powierzchni 0,0077 ha, nieruchomości położonej w miejscowości Podole I stanowiącej działkę oznaczoną w ewidencji gruntów numerem 80 o powierzchni 0,43 ha i numerem 385/2 o powierzchni 0,4631 ha.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych do wylegitymowania praw do ww. nieruchomości w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia. Jeżeli w tym terminie nikt się nie zgłosi, albo zgłosiwszy się własności nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

– Miasta oszczędzają na kulturze, transporcie, a nie oszczędzają na megalomańskich budowach. W Łodzi mamy już trzy stadiony, budujemy podziemną ulicę za 85 milionów, stawiamy Orientarium za 260 mln. Jakby władze wierzyły, że *prosperity* będzie trwała non stop. Pandemii nie dało się przewidzieć, ale kryzys albo spowolnienie już tak. Przeinwestowaliśmy. Wielkimi projektami wpędziliśmy się w koszty, z których trudno nam teraz wyjść – wyrokuje Hubert Barański z Fundacji Fenomen, działacz miejski.

Politycy przekonują: inwestycje, także te wielkie, to koło zamachowe gospodarki.

– Odejście od inwestycji to byłby ogromny błąd, który pociągnąłby za sobą bankructwo firm, także lokalnych. Poza tym musimy myśleć w wieloletniej perspektywie. 85 mln na drogę to dziś dużo, ale jeśli nie będziemy rozbudowywali terenu wokół dworca i Nowego Centrum Łodzi, to za parę lat może się okazać, że rejon jest niewydolny infrastrukturalnie – kontruje radny Marcin Gołaszewski.

Wygląda jednak na to, że samorządy nie będą miały wyjścia i będą musiały zejść z wielkich projektów.

– Często realizacja wielkich projektów jest nieracjonalna, jest politycznym budowaniem pozycji, wójt czy prezydent chce pokazać, jakim to jest świetnym gospodarzem, inwestorem. Samorządy patrzą, na co są w stanie pozyskać środki zewnętrzne. Nie myślą o tym, za co będą później utrzymywać te inwestycje – mówi dr Ewa Boryczka z Katedry Gospodarki Regionalnej i Środowiska Uniwersytetu Łódzkiego. – W kryzysie nie będzie miejsca na takie wydatki.

Nie było odzewu w radzie

Wiadomo też, że decydenci niechętnie oszczędzają na sobie. Bo owszem, w krakowskim magistracie zwolni się sto etatów, głównie po osobach, które pójdą na emeryturę albo nie będą miały przedłużonych umów. Ale zarazem, jak zauważa aktywista Krzysztof Kwarciak, w urzędzie w ciągu dwóch lat przybyło 46 dyrektorów i kierowników. Czy kryzys zetnie też kadrę kierowniczą?

W pandemii w samorządach rośnie zapotrzebowanie na menadżerów. Parę dni temu Łódź powołała pełnomocnika do spraw czystości. Z pensją 5 tys. brutto został nim były poseł Platformy. Poznański MPK powołał nowego członka zarządu – mimo że innym pracownikom obniżono pensje. Nowe stanowisko w zarządzie znalazło się też w Zarządzie Miejskich Zasobów Lokalowych.

Obcinamy nie tylko budżety obywatelskie

czy pieniądze na kulturę i promocję, ale też wydatki na edukację i transport publiczny.

Aktywiści chętnie zobaczyliby oszczędności w spółkach miejskich, które są eldorado dla polityków w stanie spoczynku i zasłużonych działaczy. A zarobki tam, jak na warunki samorządowe, są bajeczne. Prezes Łódzkiej Spółki Infrastrukturalnej w zeszłym roku zarobił 420 tys. zł. To były asystent pani prezydent. Rekordzista w białostockiej spółce zarabia 22 tys. zł miesięcznie. Ale prezydenci rozkładają bezradnie ręce: pensje prezesów określa ustawa kominowa, obniżki nie wchodzą w grę.

A może politycy, w ramach solidarności z mieszkańcami, obniżyliby swoje dochody? Prezydent Poznania, zapytany o to przez lokalnych dziennikarzy, obruszył się. Przecież zarabia raptem 7 tys. na rękę, a ma na utrzymaniu nastoletniego syna, i jeszcze te koszty pralni chemicznej...

– Jestem przeciwnikiem pustych gestów. Już nam Kaczyński zmniejszył pensje o dwa tysiące [kiedy wyszły na jaw premie przyznawane przez rząd Beaty Szydło, prezes PiS zarządził obniżki uposażenia posłów. Rykoszetem dostali też prezydenci miast – red.]. Jestem 38. na liście płac w Białymstoku – mówi Tadeusz Truskolaski, prezydent miasta.

Przewodniczący rady miejskiej Krakowa Dominik Jaśkowiec zaproponował kolegom zmniejszenie diet. Ale pozytywnego odzewu nie było. – Nie ma zawodowych radnych, każdy gdzieś pracuje, dużo z nas to przedsiębiorcy, którzy też dostali obuchem przez pandemię, mają problemy finansowe. Było wśród nich oczekiwanie, żeby diet nie ruszać. Obciąłem za to koszty funkcjonowania rady. *Catering* na sesjach, wyjazdy do miast partnerskich, udział w obchodach – tego wszystkiego nie ma. Oszczędziliśmy 160 tys. zł.

Przykładem dla kolegów z samorządu może być Roman Szełemej, prezydent Wałbrzycha. Przez trzy miesiące przeznaczał jedną trzecią swoich zarobków na wsparcie niezamożnych dzieci albo instytucji kultury. Namówił prezesów miejskich spółek, żeby dobrowolnie obniżyli pensje. Rekordzistka ścięła zarobki o 45 proc. – Skoro mamy kryzys, pracownicy muszą zacisnąć pasa, niektórzy stracili pracę, więc taki gest solidarności był potrzebny. Ja to zrobiłem tak z serca. Należy zawsze pamiętać o tych, którym się w życiu gorzej powiodło. Ale może mnie jest łatwiej, bo mam jeszcze etat w szpitalu. Kolegom z samorządów nie będę mówił, co mają robić – mówi Szełemej.

Odroczone skutki

Co czeka polskie miasta w dalszej przyszłości? Eksperci są zgodni: to dopiero początek kryzysu.

– Prawdziwy spadek wpływów z podatków zobaczymy w przyszłym roku. Tak samo było w kryzysie roku 2008, gdzie straty i problemy samorządów ujawniły się dopiero w kolejnych latach – mówi dr Boryczka.

Tym bardziej, że czeka nas jeszcze jeden cios – podwyżki cen wywozu śmieci.

– Gospodarka odpadami pogrąży samorządy jeszcze bardziej. Budżety będą ograniczone do dwóch pozycji: edukacji i śmieci. Na inwestycje, kulturę i wiele innych wydatków zabraknie środków – prognozuje ekspertka.

A to nie koniec kłopotów. – Spodziewam się, że rząd będzie przerzucał kolejne obowiązki na samorządy, takie jak podwyżki dla nauczycieli, ale nie pójdą za tym pieniądze. W końcu budżet centralny też będzie się kurczył – prognozuje prof. Cichocki. – Rząd będzie chciał większej centralizacji, a tym samym wasalizacji samorządów. Najłatwiej to osiągnąć przez finansowanie samorządów z bezpośrednich dotacji zamiast dopuszczenia ich do większego udziału w podatkach. Samorządy będą się bronić, ale nie mają właściwie jak. Jako mieszkańcy nie odczujemy skutków natychmiast, tylko z czasem, kiedy zabraknie nowych dróg czy torów tramwajowych. Polskie miasta przeszły w ostatnich latach ogromny skok cywilizacyjny. Ale to już przeszłość.

© BARTOSZ JÓZEFIAK

ŁUKASZ DEJNAROWICZ / FORUM

Premier Mateusz Morawiecki na inauguracji programu Mieszkanie Plus, Gdynia, lipiec 2017 r.

Bajka o reprywatyzacji

ANDRZEJ SMOSARSKI, DZIAŁACZ RUCHÓW LOKATORSKICH:

Nie wystarczy cofnąć największe krzywdy. Trzeba wymusić rozmowę o odbudowie polityki komunalnej, czyli przywróceniu mieszkania jako usługi publicznej.

RAFAŁ WOŚ: Sejm uchwalił zakaz zwrotów w naturze kamienic z lokatorami. Zgodnie z nowym prawem miasto Warszawa nie będzie mogło blokować wypłaty rekompensat przyznanych ofiarom dzikiej reprywatyzacji przez komisję weryfikacyjną. To chyba sukces ruchów lokatorskich?

ANDRZEJ SMOSARSKI: Cieszę się, że będą wreszcie odszkodowania dla lokatorów. To, czego przez lata doświadczali, było często nagą i brutalną przemocą. Miała wiele twarzy: wyzysk, włamywanie się, poniżanie, odbieranie godności, ignorowanie praw obywatelskich, straszenie, bezkarne korzystanie z przewagi w statusie ekonomicznym, eksmisje wprost na ulice. Wiele było tego nieszczęścia i to dobrze, że krzywda będzie wynagrodzona. Ale z drugiej strony jako jeden z inicjatorów ruchu lokatorskiego w Polsce mam poczucie porażki.

Dlaczego?

Chodzi o odpowiedź na pytanie, o co właściwie była i jest ta walka? Gdy o tym pomyślę, robi mi się smutno.

Co to znaczy?

Musimy cofnąć się w przeszłość. Do 1945 r. Jak wyglądały wtedy polskie miasta? A zwłaszcza Warszawa?

Wiadomo jak. Gruzy i zgliszcza.

No właśnie. A teraz wyobraźmy sobie, że w warunkach tych 70-80 proc. zniszczeń tkanki mieszkaniowej władze próbują prowadzić dzisiejszą politykę. To znaczy mówią obywatelom, że mieszkanie to jest twoja, człowieku, prywatna sprawa i jakoś sobie ten towar na rynku zorganizuj. Proszę tylko pomyśleć, jaki byłby poziom czynszów? Skoro dziś w takim mieście jak Warszawa wynajem mieszkania to koszt w granicach płacy minimalnej. A dzieje się to przecież przy wielokrotnie większej podaży mieszkań.

Dodajmy do tego, że popyt na mieszkania jest sztywny. To znaczy nie da się z niego zrezygnować, tak jak rezygnuje się z wakacji czy jedzenia na mieście, gdy stają się zbyt drogie.

To by się przecież zakończyło powszechną bezdomnością i zamarzaniem ludzi w ruinach spalonego miasta. Na szczęście władza ówczesna tak nie postąpiła. Dokonała mieszkaniowej rewolucji. Moim zdaniem uzasadnionej.

Czy ja dobrze rozumiem, że Pan broni tzw. dekretu Bieruta, czyli prawa z roku 1945 o uspołecznieniu gruntów w granicach przedwojennej Warszawy? Tego samego dekretu, którego podważanie rozpoczęło w latach 90. proces dzikiej reprywatyzacji w stolicy?

Tak, dokładnie to chcę powiedzieć. Nie bronię systemu komunistycznego jako całości. Uważam jednak, że tamta decyzja powojennych władz była największą zdobyczą socjalną w Polsce od czasu zniesienia pańszczyzny. Przebija, moim zdaniem, zdobycze socjalne pierwszych lat II RP, czyli ustawodawstwo pracy oraz stworzenie systemu ubezpieczeń społecznych. Tamte osiągnięcia też były ważne, ale ich oddziaływanie było ograniczone. Praktycznie nie obejmowały przecież np. robotników rolnych. W ślad za dekretem Bieruta i podobnymi aktami uspołeczniającymi zasób mieszkaniowy poszło bowiem stworzenie nowej fundamentalnej usługi publicznej. To znaczy mieszkalnictwa komunalnego. Mieszkanie przestało być towarem – którym jest dziś i którym było wcześniej. Mieszkanie stało się prawem.

Z jego realizacją bywało różnie w zależności od miejsca zamieszkania czy historycznego momentu. PRL nigdy się z obietnicy godnego mieszkania dla wszystkich do końca nie wywiązał. Dodajmy na jego obronę, że było to zadanie trudne, bo odbywało się w warunkach większego niż dziś przyrostu ludności oraz wojennych zniszczeń.

Ale to było prawo, którego można się było domagać. Państwo co do zasady go nie kwestionowało. Dziś towar zwany mieszkaniem trzeba sobie kupić na rynku. Jak cię stać, to świetnie. A jak nie? No to twój problem.

Elity polityczne III RP nigdy tego stanowiska nie podzielały. Nawet jak rządzili postkomuniści.

Tzw. lewica do dziś woli bronić emerytur dla esbeków, niż powiedzieć, że dekret Bieruta i inne podobne akty prawne nie były żadnym zamachem na świętą własność prywatną, lecz normalnym aktem sprawiedliwości dziejowej, którego trzeba bronić. Przecież do tego nie trzeba być komunistą. Mieliśmy ostry konflikt dwóch wartości: prawa własności i prawa do mieszkania. Ówcześni decydenci stanęli po stronie tego drugiego. Po roku 1989 odwrotnie: prymat wzięła własność nad prawem do mieszkania. Nawet w obecnej polskiej konstytucji chronione są obie te wartości. Tylko że ogromna część elit politycznych i medialnych bierze z konstytucji tylko to, co jest dla nich wygodne.

Ale jak to się ma do dzisiejszej ustawy?

Związek jest bezpośredni. Ta najnowsza ustawa to kolejne podejście do tematu tzw. ustawy reprywatyzacyjnej.

Nigdy po 1989 r. nieuchwalonej.

Różnice pomiędzy projektami polegały tylko na tym, że w jednym odszkodowanie dla byłych właścicieli miało wynosić 100 proc. rynkowej wartości, a w innym wariancie 50 proc. Podobnie obecna ustawa: zabrania oddawania w naturze nieruchomości, w których mieszkają ludzie, ale nie kwestionuje samego oddawania. Przeciwnie: pośrednio potwierdza, że uspołecznienie zasobu mieszkaniowego po roku 1945 było „okradaniem obywateli z ich świętego prawa własności". Prawo do odszkodowań dla właścicieli jest uznaniem, że państwo zabrało niesłusznie, nie ze względu na sytuację powojenną czy po prostu dla rozwiązania problemu bezdomności. Podważa więc możliwość mocnej interwencji państwa dla realizacji podstawowego prawa człowieka.

I co w tym złego?

To trochę tak, jakby dyskutować, czy likwidacja niewolnictwa powinna się odbywać za odszkodowaniem 100 proc., czy może 20-30 proc. wartości niewolnika. No bo przecież niewolnik był kiedyś własnością swojego pana, więc jego zniknięcie wyrządziło temu panu wymierną ekonomiczną stratę.

Wielu się obruszy, że to nie jest trafna analogia.

Czyżby? A mnie się wydaje, że moralne prawo spadkobierców do przedwojennej własności ich dziadków lub pradziadków jest dużo bardziej wątpliwe. Zważywszy na nakłady poniesione w międzyczasie przez wspólnotę na odbudowę tych nieruchomości lub rozwój towarzyszącej im infrastruktury, co bezpośrednio stanowi o ich dzisiejszej wartości. Podsumowując: rozumiem, że ruchy lokatorskie cieszą się, że będą jakieś odszkodowania, bo one się ludziom należą. Ale jest dla mnie rozczarowaniem poparcie dla samej idei „ustawy reprywatyzacyjnej". Ja tu widzę zmarnowaną szansę.

Szansę na co?

Na utrzymanie i rozwinięcie zapoczątkowanej po II wojnie światowej usługi publicznej o nazwie mieszkalnictwo. Komunalny zasób mieszkaniowy należało zabezpieczyć prawnie. To znaczy powiedzieć, że żadnych reprywatyzacji ani odszkodowań nie będzie. Bo to nie jest majątek ukradziony na potrzeby komunistycznej elity, tylko przekazany obywatelom do użytkowania.

Może zadośćuczynienie powinno być symboliczne. Np. w formie honorowego dyplomu od władz RP, głoszącego: „Jesteśmy świadomi, że pana rodzina utraciła własność, ale nie można starych krzywd wynagradzać krzywdami nowymi".

Dopiero na oczyszczonym terenie można zacząć budować nową usługę publiczną, o której mówię. Zawsze chciałem, żeby to był kierunek rozumowania ruchów lokatorskich. Żeby to było nasze „o to walczymy!".

Z tego, co Pan mówi, wynika, że się nie udało. Dlaczego?

Na obronę ruchów lokatorskich mam to, że nie mieliśmy nic. Dosłownie. Ani pieniędzy, ani doświadczenia, ani wzorów, ani nawet świadomości, o co toczy się ta gra.

Skąd się w ogóle w Polsce wzięły ruchy lokatorskie?

Najważniejsze wcale nie były pierwsze decyzje o zwrotach przedwojennej własności. Bomba została podłożona w roku 1994.

Co to znaczy?

Rząd SLD uchwalił wtedy nie tylko niesławną ustawę pozwalającą na eksmisję na bruk, ale rozpoczął też proces znoszenia kontroli czynszów w lokalach komunalnych. Po dziesięciu latach – argumentowali pomysłodawcy – taka kontrola nie będzie już potrzebna, bo rynek mieszkaniowy się rozwinie i stworzy ofertę dla każdego. Dziś trudno w to uwierzyć, ale takim językiem mówili też urzędnicy. Oni wręcz czekali, kiedy będą się mogli pozbyć tej masy upadłościowej, za jaką uważali tzw. komunalny zasób mieszkaniowy.

A ludzie?

Była nas garstka. Ktoś w Krakowie, starsza pani w Warszawie. Dołączył Piotr Ikonowicz, ale on zaczął się specjalizować w blokowaniu eksmisji. Blokowanie eksmisji to faktycznie jest mocna i potrzebna rzecz. Zazwyczaj robi się to po to, żeby komornik miał alibi do odstąpienia od wykonania egzekucji. Ale mnie to nigdy nie wystarczało.

Czemu?

To nieefektywna droga, bo tylko odsuwa problem w czasie. A mnie jednak chodziło o coś więcej. Chciałem, żeby ruch lokatorski proponował rozwiązania systemowe, które sprawią, że nie trzeba będzie działać od blokady do blokady.

I co było dalej?

Z początku ludzie w ogóle nie wiedzieli, o co nam chodzi. Dobrze pamiętam tamten okres – koniec lat 90., a my tłumaczymy, że już niedługo ich życie może zostać wywrócone do góry nogami, bo zaczynają zwracać miejskie nieruchomości różnym prywatnym właścicielom, którzy ich urządzą po swojemu. Był jeszcze czas, żeby się bronić, ale ludziom nie mieściło się to w głowie: ciągle ufali, że państwo ma wobec nich pewne zobowiązania.

Gdy SLD doszedł do władzy po raz drugi, to premiera Millera naszły jeszcze wątpliwości i próbował uwolnienie czynszów opóźnić. Proces domknął jednak ostatecznie gabinet Belki, także z powodu presji międzynarodowej. ↦

↦ Politycznie tłumaczono to wówczas na dwa sposoby: koniecznością dopasowania się do wymagań systemu wolnorynkowego oraz ustawodawstwem europejskim. Były pozwy przeciwko Polsce. Gdy regulacja czynszów została podważona, ludzie zaczęli odczuwać na własnej skórze to, co im tłumaczyliśmy w teorii. I wtedy faktycznie niektórzy zaczęli działać. To był mniej więcej rok 2006, kiedy dołączyli do nas tacy ludzie, jak rodzina Baranków czy Jolanta Brzeska.

Zamordowana kilka lat później w Lesie Kabackim.

Wtedy właśnie powstało Warszawskie Stowarzyszenie Lokatorów. To było ciekawe środowisko ludzi, którzy mieli stosunkowo duże kompetencje do walki o swoje. Brzeska była urzędniczką, Baranek drobnym przedsiębiorcą. Umieli orientować się w papierach. Nie mieli pokory przed urzędnikami. Oczywiście spoiwem tej grupy był wspólny wróg, czyli znany już teraz skupiciel roszczeń Marek Mossakowski. Powstał Komitet Obrony Lokatorów, koncentrujący działania na warszawskiej Pradze. Zaczęły powstawać ruchy w innych miastach. Skończyła się robota teoretyczna, a zaczęła praktyczna. Człowiek stanął wobec przypadków, które może wymyślić tylko życie.

Jakiś przykład?

Proszę bardzo. W tamtych czasach połowa eksmisji odbywała się bez zapewnienia lokalu socjalnego. Czyli na tzw. bruk. To wołało o pomstę do nieba i czasem ktoś – np. media albo polityk – się zainteresował. Ale co się działo z drugą połową eksmisji?

Sam Pan powiedział: kierowano ludzi do lokali socjalnych.

W teorii tak. Ale teraz taki przykład. Rodzina trafia do lokalu, który też jest w kamienicy objętej roszczeniem. W międzyczasie kamienica zostaje zreprywatyzowana. Przychodzi nowy właściciel i podwyższa ludziom czynsz. Miasto zaś umywa ręce, bo mówi, że ono ustawowy obowiązek wykonało, ponieważ podpisało umowę na lokal socjalny. A co dalej, to już nie jego sprawa. I komu ma ten człowiek płacić czynsz? I jaki?

W pewnym momencie przestał Pan aktywnie działać w ruchu lokatorskim. Dlaczego?

Prawo do odszkodowań dla właścicieli

jest uznaniem, że państwo zabrało niesłusznie. Podważa więc możliwość mocnej jego interwencji dla realizacji podstawowego prawa człowieka.

Chodziło o kierunek, w którym ten ruch zaczął iść. Wbrew moim nadziejom nie zaczęliśmy generować rozwiązań systemowych. Byliśmy jak sanitariusze, którzy opatrują kolejne otwierające się rany. Brakowało namysłu nad przyczynami choroby.

Liczył Pan, że można naprawić coś w skali makro?

Mnie chodziło o to, żeby nie robić wiecznie akcji na zasadzie: grupa ludzi, których dotknęło nieszczęście reprywatyzacji, zaczyna się bronić. Chciałem, żeby pojawiła się nowa tożsamość: lokatora. Liczyłem, że gdy ruch zrobi się odpowiednio duży, zacznie wymuszać rozmowę o odbudowie polityki komunalnej. Czyli przywrócenia mieszkania jako usługi publicznej. Realizowanej oczywiście indywidualnie, ale jednak publicznej. Mam wrażenie, że wiele ruchów lokatorskich tego do dziś nie rozumie. Niektórzy myślą o lokalu komunalnym jako o formie własności. Jest np. oczekiwanie, by taki lokal dało się dziedziczyć – jakby przez zasiedzenie. Dla mnie to absurdalne. Ja jestem teraz bezrobotny. Ale nie uważam, że im dłużej pobieram zasiłek, tym bardziej mi się on należy. Zasiłek mi się należy ze względu na sytuację, w jakiej się znalazłem. Podobnie z mieszkaniem.

Zawsze też brakowało mi w ruchach lokatorskich próby wyjścia do reszty społeczeństwa. To jest fundamentalne, bo to by była rozmowa z tymi, co model komunalny *de facto* utrzymują, choć z niego nie korzystają. Jak sprawić, żeby byli za podtrzymaniem i rozbudową tego modelu? Jak ich do nas przekonać? Jak pokonać negatywne stereotypy? To były pytania, które mnie interesowały. Ale nie udało mi się skłonić innych do uznania, że są kluczowe.

A jak Pan zareagował na wydarzenia z lat 2015-16, gdy reprywatyzacja stała się pierwszoplanowym tematem polskiej polityki?

Przewidywałem, że partie i media głównego nurtu odkryją w końcu temat i jego potencjał. Nie sądziłem jednak, że zdarzy się to tak szybko. Z jednej strony to dobrze, bo wielu ludziom działania komisji wersyfikacyjnej bez wątpienia pomogły. Ale z drugiej strony mam ten sam ból, co z ustawą, od której zaczęliśmy rozmowę.

Na czym polega?

System został złapany za rękę. Dziś nikt już nie ma wątpliwości, że wokół reprywatyzacji wydarzyło się coś złego. Jednak łatwość, z jaką publika uwierzyła w bajkę o „złych typach spod ciemnej gwiazdy, którzy są wszystkiemu winni", jest przerażająca.

Ale to nie oni wymyślili ten system. Reprywatyzacja to świadoma decyzja polityczna, odpowiedzialni są politycy i ich decyzje od początku okresu transformacji. Można było kupić roszczenia za 500 złotych, a sprzedać potem kamienicę za milion, bo był to tylko towar. Jedyną szansą, by takich ludzi i sytuacji było mniej, jest więcej mieszkalnictwa komunalnego. Ale nikt dziś w tę stronę nie ciągnie.

Kto nie ciągnie? Media? Politycy?

Największy żal mam do nas, czyli do ruchów lokatorskich. Ostatnie lata to czas, by położyć na stole propozycje systemowe. Polityczny mainstream na pewno wchłonąłby część z nich. Nie zrobiono tego. Skupiano się na konkretnych osobistych krzywdach. To ważne. Ale w szerszym horyzoncie jakaś szansa została zmarnowana. Mam nadzieję, że to jeszcze nie koniec. © Rozmawiał RAFAŁ WOŚ

SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AG

ANDRZEJ SMOSARSKI *jest anarchosyndykalistą, aktywistą społecznym i politycznym. Organizował pierwsze w kraju demonstracje przeciw planowi Balcerowicza. W latach 1997–2010 zaangażowany w działania Lewicowej Alternatywy, organizacji nastawionej na integrację środowisk lewicowych wokół działań o charakterze oddolnym. Animator i działacz stołecznego ruchu lokatorskiego do roku 2010.*

JAKUB KAMIŃSKI / EAST NEWS

Spotkanie ministra Mariusza Błaszczaka (w tle) z żołnierzami odbywającymi szkolenie w ramach służby przygotowawczej, Warszawa-Wesoła, 23 lipca 2020 r.

Armia w wersji demo

MARIUSZ SEPIOŁO

Szeregowi i podoficerowie są niedoszkoleni, uczą się na starym sprzęcie, a w jednostkach szkoleniowych brakuje kadr.

Od czego zacząć? Może od wódy? A może od lęków, stanów depresyjnych? Lepiej od tego, jak w wojsku wygląda dowodzenie. A wygląda tak, że dobrzy ludzie szybko stamtąd uciekają, zostają miernoty. Zaczyna się darcie mordy, poniżanie, szeregowy ma wykonać, nieważne: dobrze czy źle. A może zacząć od nepotyzmu?

My, szeregowi, czujemy się w wojsku jak piąte kołu u wozu. Jak słyszę w telewizji wojskową przysięgę, przełączam kanał.

Stary sprzęt, stare standardy

Opublikowany w maju raport Najwyżej Izby Kontroli o szkoleniu zawodowych szeregowych i podoficerów to kolejny akapit wciąż tej samej, ciągnącej się od lat historii. Polskie wojsko jest jak służba zdrowia: każdy, kto spróbuje podnieść je z kolan, polegnie na polu walki. Mimo wielkich planów i okrągłych słów kolejnych ministrów, dumnych defilad 15 sierpnia, rzeczywistość na najniższych szczeblach armii jest mniej reprezentacyjna.

Raport NIK, oparty na kontroli prowadzonej w latach 2016-18, dotyczy właśnie ich – żołnierzy najniższych rangą, a jednocześnie najbardziej potrzebnych. Według kontrolerów NIK jednostki szkoleniowe nie są w stanie przeszkolić aż jednej trzeciej osób, które by tego wymagały. Pozostałe dwie trzecie żołnierzy i podoficerów ćwiczy „na przestarzałym sprzęcie, przy braku podstawowych środków bojowych i przy niedoborach kadry szkolącej".

Technologia i wiedza pędzą do przodu, ale polski szeregowy stoi w miejscu i mocuje się z zacinającym się karabinem. „Dlatego szkolenie żołnierzy powinno być dostosowane do nowych technologii wprowadzanych do Sił Zbrojnych RP, a jednocześnie specjalności zanikające powinny być utrzymywane na minimalnym poziomie, zaś skuteczność szkolenia sprawdzana" – piszą kontrolerzy.

Jeśli sprzęt jest, to bywa, że nieużywany pokrywa się kurzem w magazynach. W pewnej jednostce za skomplikowane wyposażenie zapłacono 7,5 mln zł, po czym nie zainstalowano pięciu jego kluczowych części. W innej wiek używanego do szkoleń sprzętu to ponad 30 lat. Na porządku dziennym są niedobory ślepej amunicji strzeleckiej, lontu prochowego, petard czy ręcznych granatów dymnych.

Były lata, gdy nawet ponad połowa zgłoszonych na szkolenie żołnierzy nie mogła uczestniczyć w kursach. Przykładów jest kilka: w 2017 r. w Centrum Szkolenia Wojsk Inżynieryjnych i Chemicznych we Wrocławiu przeszkolono 43 proc. żołnierzy, w Centrum Szkolenia Marynarki Wojennej w Ustce 45 proc., a w Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych w Poznaniu tylko 48 proc.

System szkolenia cierpi na braki kadrowe. Najpoważniej Szkoła Podoficerska Marynarki Wojennej w Ustce, gdzie trzy lata z rzędu brakowało aż 66 proc. instruktorów. Jednocześnie największą część kadry instruktorskiej i dydaktycznej stanowili żołnierze o długim stażu w służbie wojskowej, czyli ponad 21 lat. ↦

↦ Dlaczego ambitni młodzi oficerowie odpływają – jak odnotowali kontrolerzy NIK – z jednostek szkoleniowych? Według kontrolerów głównym powodem jest „brak systemu motywacyjnego zachęcającego żołnierzy do służby w jednostkach szkolnictwa wojskowego", słowem: marne pieniądze.

Do wyników kontroli odniósł się minister Mariusz Błaszczak. „Jest to wycinek całości; całość przedstawia się zupełnie inaczej. Wojsko Polskie rozwija się liczebnie. Kiedy w 2015 roku rząd PiS obejmował władzę, było 95 tysięcy, a teraz jest 107 tysięcy żołnierzy zawodowych, 24 tysięcy żołnierzy WOT" – mówił w Polskim Radiu. Zasugerował też dwuznaczną rolę – skonfliktowanego z PiS-em – prezesa NIK Mariana Banasia w powstaniu raportu: „Wojsko się rozwija, a że ktoś ma tam jakiś cel polityczny, żeby uderzyć; cóż, w takim świecie żyjemy".

Dobrzy odchodzą

MACIEJ: – Pytasz, jak zweryfikowało się moje wyobrażenie o wojsku, kiedy do niego wstąpiłem? To jest tak, jak z wersją demo gry komputerowej i jej wersją pełną. Wersja demo wygląda super, ale po kupieniu pełnej okazuje się, że dostałeś bubel.

Spędziłem w wojsku ładnych parę lat i wiem, że problemem jest beton i złe dowodzenie. Moim zdaniem problemem nie jest to, że buty są za ciężkie, a karabinek szturmowy ma swoje lata. Problemem jest negatywna weryfikacja. Dobrzy ludzie odchodzą, bo nie wytrzymują. Potem dorwie się taki jeden z drugim do dowodzenia, dzięki znajomemu na górze dostanie awans, ale że nie umie zarządzać ludźmi, to tylko poniża, wydaje bezsensowne rozkazy, niczego nie potrafi odpowiednio wytłumaczyć. Jeśli coś poszło nie tak, to jest to tylko twoja wina, bo nie zrozumiałeś.

Sam miałem nad sobą takiego podporucznika, że jakbym nie odszedł, to pewnie w końcu wziąłbym go z zaskoczenia. W kawałki i do czarnego worka.

JACEK: – Jak wygląda szkolenie szeregowych? Powiem w skrócie: nie wygląda. Moja kuzynka po 60 godzinach kursu w Legii Akademickiej dostała kaprala i może dowodzić mną, starszym szeregowym z 10-letnim doświadczeniem i służbą na misji zagranicznej [Legia Akademicka to utworzony przez MON w 2017 r. program dla studentów, po którym można zostać oficerem lub podoficerem – red.].

Sprzęt? Wysyłają do remontu honkery [przestarzałe auta terenowe – red.], płacą nie wiadomo komu po 100 tys., po czym sprzęt wraca pomalowany i tyle. Przy czym na portalu aukcyjnym można znaleźć takie same honkery po 10 tys. za sztukę. Albo wpisz w Google: „trampki wojskowe". To takie niebieskie, szmaciane trampki. Ich cena wynosi 220 zł. Kamizelka kosztuje 700 zł, chodzi w niej całe wojsko, a do niczego się to nie nadaje, to najgorsza konstrukcja na świecie. Bluza? Po 100 zł, co roku wydają na głowę po dwie, ale przez 10 lat służby nie mogłem jej założyć ani razu. Jednocześnie moja jednostka jest w wojsku uważana za „elitę". Tyle że Wojska Obrony Terytorialnej mają tysiąc razy lepszy sprzęt niż my.

MACIEJ: – Czego nauczyłem się na wojskowych szkoleniach? Jak parować skarpety i prawidłowo je składać. To faktycznie było pilnowane. Jak coś nie było idealnie, to całe łóżko na podłogę i zaczynaj od nowa.

Mieliśmy przedmioty ogólnowojskowe i politechniczne. Strzelnicę raz na dwa tygodnie, czyli dość często; rozkładanie i składanie karabinka w nocy, na czas. Raz na dwa tygodnie był poligon. Niewiele się tam nauczyliśmy, poza zabawami w czołganie się przez kilometr albo ubieranie maski filtracyjnej w gazie łzawiąco-drażniącym. Byliśmy na elektronice i telekomunikacji. Była matematyka i szukanie prawdopodobieństwa znalezienia elektronu za pomocą równań Schrödingera. Poziom był wysoki: matma, matma i jeszcze raz półprzewodniki. Ale mnie szybko przestało to interesować, bo szkolenie ogólnowojskowe nie było zsynchronizowane z politechnicznym. Żeby się na obie rzeczy przygotować, to się czasem nie spało całe noce. W końcu byliśmy tak dojechani, że wszystko robiliśmy po najmniejszej linii oporu. Trzeba było wiedzieć, co można olać jako pierwsze.

Należy pamiętać, że na jednego żołnierza, który strzela, przypada wielu, którzy dbają o zaopatrzenie itp. Mogliby jakimś cudem przygotować mnie do dowodzenia radiostacją. Mówię „cudem", bo było więcej teorii niż praktyki. Radiostację na bazie samochodu ciężarowego widziałem tylko raz. Tylko po co? Można to zrobić normalniej. Rekrutować z cywila ludzi po studiach, wysłać na roczny kurs specjalistyczny i po sprawie. Korpus podoficerów – dobrych sierżantów i chorążych – może niedługo przestać istnieć. Odchodzą na emeryturę i zabierają ze sobą wiedzę i doświadczenie. Kształci się za to oficerów, którzy mają wojować papierem i długopisem.

Na marginesie

Sytuacja szeregowych wpisuje się w szerszy kontekst. Politycy zapowiadają wielkie inwestycje i na konferencjach prasowych ogłaszają z dumą zakupy drogiego sprzętu. Jednocześnie realnie wspierają Wojska Obrony Terytorialnej, mające być łącznikiem między obywatelami a zawodową armią.

Jednak od zawodowych żołnierzy słyszę, że podczas gdy terytorialsi są traktowani jak oczko w głowie władzy, oni czują się ignorowani. Powtarzają: „Czujemy się jak mięso armatnie". Mają pretensje, że służą jako tło dla medialnych wydarzeń, jako narzędzie do uprawiania politycznego PR-u.

Podwyższeniu morale nie sprzyja polityka kadrowa. Wśród żołnierzy dominuje zmęczenie ciągłymi zmianami w dowodzeniu. Pierwsza czystka dotknęła armię po 2015 r., gdy ministerstwo objął Antoni Macierewicz. Ale na tym się nie skończyło. Wśród żołnierzy krąży dowcip, że polityka kadrowa ministrów Macierewicza i Błaszczaka różni się tylko jednym: kolorem kopert, w których wręczane są wypowiedzenia.

Jak prawdziwy żołnierz

GRZEGORZ: – Jestem w służbie od 2008 r. W moim pułku człowiek nie nauczy się niczego. Grunt, żeby wykuć na pamięć kilka punktów z regulaminu i musztry, i już można pełnić służbę.

Kiedy przychodziłem, odbywał się właśnie duży nabór. Obiecywali, że jak się zostanie, to będzie się zarabiało więcej niż w cywilu, zrobi się kursy, uprawnienia, studia nawet. Już w 2009 r. zostałem przeniesiony do służby nadterminowej. Pełniłem też służbę wartowniczą i czasem na kuchni, ale mycie garów mi nie odpowiadało.

Na wartach czułem się chociaż jak żołnierz. Broń, amunicja, posterunek – wszystko naprawdę, nie tak jak na śmiesznych ćwiczeniach ze ślepakami, gdzie miałem udawać, że kogoś widzę i strzelać. Tak to ja się bawię z moim małym synkiem pistoletem na kulki.

Jeszcze przed służbą byłem zapisany na kurs prawa jazdy typu C. Dzięki dobremu szefowi kompanii mogłem go kontynuować w wojsku. Jazdy po mieście uczył nas cywil. Normą był zjazd do lasu, żeby facet sobie spuścił paliwo z wozu.

Już na etacie zajmowałem się obsługą instalacji służącej do usuwania skażeń chemicznych i szkoliłem się do obsługi radiostacji. Zbiórka raz w miesiącu i coś tam nam próbowali wytłumaczyć. Ale było nas za dużo, więc jak któryś się znał, to wykonywał ćwiczenie za całą grupę i było zaliczone. I do zobaczenia za miesiąc.

Wiedza z „Czterech pancernych"

Paweł Szramka jest posłem Kukiz'15 z województwa kujawsko-pomorskiego. Kiedy pięć lat temu dostał się do Sejmu, odszedł ze służby wojskowej. Jest zastępcą przewodniczącego sejmowej komisji obrony narodowej i podkomisji stałej ds. społecznych w wojsku. Jego zdaniem problemy, które dotykają żołnierzy najniższych rangą, zaczynają się od najwyższych szczebli drabiny.

– Ryba psuje się od głowy – mówi Paweł Szramka. – Jeśli mamy sytuację, że ministrami obrony są ludzie, którzy nie mają ani wykształcenia, ani doświadczenia, a wojsko znają chyba tylko z „Czterech pancernych", to nie może być dobrze. Wojsko powinno być apolityczne, a tak nie jest. Dziś awanse często zależą od tego, czy dany oficer jest przychylny partii rządzącej.

Szramka podkreśla, że zna wielu, jak mówi, sensownych oficerów będących blisko MON-u, którzy mają trafne obserwacje, ale których argumenty nie są zbieżne z interesem partii politycznych. Na czym ten interes polega? – Dzisiaj duże zakupy dla wojska robi się chyba tylko po to, by z pompą to ogłosić, a nie pod kątem tego, co jest nam potrzebne i co nam się opłaca – mówi poseł. – Dlaczego od lat się to nie zmienia? Bo za obronność odpowiadają ludzie, którzy jej nie rozumieją, którzy jej nie czują.

Jakich żołnierzy „produkuje" armia zarządzana w nieudolny sposób? – Patologie we własnym środowisku demotywują i powodują, że ludziom się po prostu nie chce – mówi Paweł Szramka. – Armia traci na jakości, a my wszyscy tracimy bezpieczeństwo. Sprzęt można mieć najlepszy pod słońcem, a i tak najważniejsi są ludzie. Jeśli będą dobrze wyszkoleni i zmotywowani do podnoszenia umiejętności, będziemy silni.

Tymczasem wielu żołnierzy rozpoczynających karierę w wojsku traci energię i wiarę w sens służby. – Jeśli ktoś się stara, a nie jest doceniany, nie ma możliwości awansu i szkoli się na przestarzałym sprzęcie, szybko się demotywuje. W pewnym momencie może to doprowadzić do trudnych sytuacji. Sam pamiętam, że kiedy o 15.30 wychodziłem z jednostki, myślałem sobie: „Jeśli nie wykonałbym tej pracy, którą wykonałem w ciągu dnia, nic by się nie zmieniło".

W trampkach na poligon

MACIEJ: – W końcu siadło mi zdrowie. Zwyrodnienie kolan, które leczyłem latami. Ale komisja lekarska takie rzeczy ma gdzieś. Na YouTubie jest filmik o żołnierzu, któremu siadło kolano, więc dowódca wysłał go do psychiatry. Dlaczego? Bo jeśli żołnierz dozna urazu podczas szkolenia, to trzeba dać odszkodowanie. Łatwiej zrobić „psychiatrię represyjną". Lekarz potwierdził, że wariat, i się chłopaka z wojska pozbyli. Kiedy mnie bolały nogi, lekarz wojskowy w rozpoznaniu napisał, że mogę biegać, ale w trampkach.

Kiedy zrezygnowałem ze szkolenia, kazali mi oddać kasę. To też jest ciekawy wątek. Poszedłem na studia, bo dzięki temu można było to rozłożyć na raty. Z pomocą rodziny spłaciliśmy ok. 14 tys. zł, resztę umorzono. Oczywiście na samym początku musiałem się sądzić z własną uczelnią w sądzie administracyjnym.

JACEK: – W polskim wojsku nie ma logiki. Wynika to z lat kolesiostwa i zapychania wakatów idiotami bez pojęcia. Oczywiście, nie wszyscy są źli. Ludzie ambitni są tłamszeni. Jest podział na tych ze służbą stałą i kontraktowych. Ci drudzy się boją i siedzą cicho. Gdyby ktoś z tych pierwszych przyszedł do roboty pijany, i tak sprawa zostałaby zamieciona pod dywan.

MACIEJ: – Jeśli się jest „plecakiem", to ma się luz. Być „plecakiem" oznacza „posiadać plecy". Najłatwiejsze kierunki są zaklepane na początku rekrutacji przez tatusia, który później w razie problemów też pomoże. Jak głosi stare porzekadło: „Wojsko to nie góry, z plecakiem łatwiej".

Dlaczego odszedłem? Stany depresyjne, lęki, w pracy zapierdziel od 5 rano do 22, a czasem do północy. Więc w weekend alkohol, żeby odreagować. Dzisiaj taniej jest komuś wmówić, że powinien się cieszyć z kolejnych odznaczeń, niż zapewnić mu to, czego potrzebuje, żeby dobrze pracować. Dlatego cała ta gadka o służbie dla ojczyzny to dla mnie bzdura.

© MARIUSZ SEPIOŁO

Imiona żołnierzy zostały zmienione.

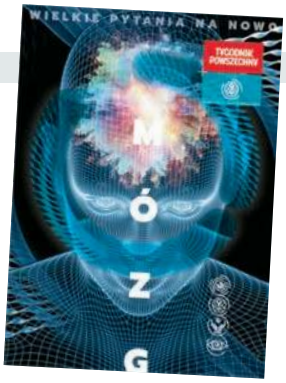

W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" DODATEK

Wielkie Pytania na nowo: Mózg

A w nim między innymi:
- jak inteligentne są tak naprawdę owady i co kryje się w ich mózgach,
- co mogą dać medycynie substancje psychoaktywne,
- czy można mieć pół albo ćwierć świadomości,
- co mówią nam o mózgu dreszcze odczuwane przy słuchaniu muzyki,
- czy neuromarketing, neuroekonomia albo neurodydaktyka naprawdę działają?

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

POŻEGNANIE

ŻYCIE SPEŁNIONE

Była świetną publicystką,
angażowała się w politykę,
nade wszystko była jednak specjalistką od spraw ludzkich.

ANDRZEJ BRZEZIECKI, ARTUR SPORNIAK

Wyglądało to tak. W umówiony dzień ten, kto spisywał (dla Klubów „Tygodnika" robiła to Katarzyna Morstin, a dla miesięcznika „Znak" Ilona Klimek), przychodził na Smoluchowskiego 8, otwierał laptop, a Józefa Hennelowa dyktowała z pamięci gotowy tekst. Zawsze samodzielna, musiała teraz polegać na pomocy innych. Ostatnia miniatura na stronie Klubów nosi datę 3 marca 2020 r. Ostatni felieton z serii „Coraz bliżej albo coraz mniej" ukazał się w grudniowym „Znaku".

Katarzyna Morstin, wieloletnia sekretarka „Tygodnika Powszechnego", która Hennelową stale odwiedzała, mówi o jej lekturach: – Regularnie czytałyśmy „Tygodnik Powszechny", „Politykę", sobotnią i poniedziałkową „Wyborczą", miesięcznik „Znak", także „Gościa Niedzielnego". Ciekawa była nawet gazetki parafialnej.

„Tygodnik" zaczynała od rubryki Lektora. Czekała na felieton Bonowicza i bardzo lubiła Stasiuka – duże wrażenie zrobił na niej jego „List" adresowany do Boga. Interesował ją Obraz Tygodnia i teksty o Kościele, zwłaszcza pisane przez ks. Tomáša Halíka. Nigdy nie opuściła artykułów ks. Michała Hellera. Z książek słuchała „Kisielewskich" i „Stommowiska"; „Oślica Balaama" siostry Małgorzaty Borkowskiej czekała na swoją kolej.

Bez cienia skargi mówiła o starości i o stopniowej utracie dostępu do świata. O skrzypcach, na których grała od dziecka: „Ręce zestarzały się... Tak traci się muzykę. Zostaje tylko słuchanie, pod warunkiem, że bliźni będzie obok i pokaże, jak włożyć płytę do odtwarzacza" (w ostatnich miesiącach słuchała przede wszystkim Beethovena). O pasji czytania: „Wystarczy choroba oczu, aby stopniowo coś jak zachód słońca zaczęło obejmować półki z książkami". Głód rzeczywistości jednak pozostał.

Powroty do przeszłości

Urodziła się w 1925 r. w Wilnie. Jej matka zmarła dwa lata po porodzie, po którym nigdy już nie odzyskała zdrowia. Ten fakt wpłynie na wrażliwość Józefy, dla której temat trudnego macierzyństwa będzie wyjątkowo ważny. Wilno kojarzyć jej się będzie z wielokulturowością, zabytkowymi świątyniami, pięknem liturgicznego śpiewu i ubogim Kościołem, któremu mogła się przyglądać z bliska dzięki pracy ojca – krawca szyjącego sutanny.

W 1946 r. zamieszkała w Krakowie z siostrą Teresą i ojcem. Przyjazd do Polski to był pomysł jej i siostry – obie chciały studiować (Józefa dostanie się na polonistykę na UJ), co byłoby utrudnione w sowieckim już Wilnie. Ale o krainie dzieciństwa nigdy nie zapomni.

Do „Tygodnika" trafiła dzięki Stanisławowi Stommie, który w Wilnie przygotowywał ją do matury na tajnych kompletach. Jerzy Turowicz przyjął Józefę, wówczas Golmontównę, do pracy w 1948 r. Najpierw była adiustatorką i korektorką, szybko okazała się także zdolną publicystką. Pierwszy tekst (o rozkwicie życia parafialnego w Belgii na podstawie francuskojęzycznego czasopisma) napisała w 1949 r. i Turowicz postanowił dać go jako wstępniak. „Chodziłam dumna jak paw – przyznawała, zaraz dodając: – Los, a konkretnie cenzura, szybko ukarał moją pychę". Tekst spadł w całości z łamów.

Potem będzie z bliska obserwować zmagania redakcji o utrzymanie pisma – i dyskusje o tym, jak daleko można iść na kompromis z władzą. Tą granicą staje się w 1953 r. wymóg wydrukowania odredakcyjnego tekstu po śmierci Stalina. Redakcja odmawia, cenzura skreśla w całości kolejne numery, w końcu władza odbiera pismo i przekazuje uległemu PAX-owi.

Po zamknięciu „Tygodnika" Józefa Golmont znajduje pracę w nowo powstałym Instytucie Badań Jądrowych, gdzie poznaje przyszłego męża, fizyka Jacka Hennela (będą mieli trójkę dzieci: Agnieszkę, Teresę i Franciszka). Potem trafia do krakowskiego oddziału Ossolineum.

Po reaktywacji pisma na fali odwilży 1956 r. wraca do redakcji. Publikuje recenzje książkowe i teatralne, w przyszłości także sprawozdania z krakowskich festiwali filmów krótkometrażowych, przede wszystkim jednak stanie się specjalistką od spraw ludzkich. Angażuje się w redakcyjne ankiety na temat ↦

KRZYSZTOF KAROLCZYK / AGENCJA GAZETA

↦ wychowania, rodziny, zmagania się ze starością, istoty wiary. Z ankiet powstaną książki „Nas dwoje" (1965), „Kim dla mnie jest Jezus Chrystus" (1975), „...i dzień się już nachylił" (1980), „Powołanie i przygoda. Rodzice i wychowawcy o sobie" (1983). Redaguje tom „Tygodnikowych" tekstów Karola Wojtyły „Aby Chrystus się nami posługiwał". Przyszły papież jest jej bliski – Jacek Hennel należał do wychowanków pierwszego duszpasterstwa ks. Wojtyły w parafii św. Floriana w Krakowie. Po roku 2000 wydaje kolejne tomy publicystyki, ukazuje się też wywiad rzeka Romana Graczyka „Bo jestem z Wilna..." (2001).

Na łamach „Tygodnika" prowadzi cykle: „Rubryka rodzinna", „Na co dzień i od święta", „Widziane z domu", „Z domu i nie tylko", „Votum separatum", „Na marginesie" i „Listy do redakcji". Tytuły wskazują na coraz większy dystans wobec reformującej „Tygodnik" redakcji. W 2012 r. przestaje pisać felietony (najbardziej poróżni ją z kolegami podejście do lustracji), ale nadal będzie gościć na tych łamach (niektóre jej teksty przypominamy obok).

Na sali rozpraw

W ostatnim minifelietonie na portalu Klubów, z marca 2020 r., Józefa Hennelowa wspomina Krzysztofa Kozłowskiego. Akurat radni Krakowa postanowili jedno z rond w mieście nazwać jego imieniem. Krzysztof był jej bliski – razem przez wiele lat byli zastępcami naczelnego (Hennelowa do 2008 r.), razem dzielili pokój w redakcji, razem też w 1989 r. weszli do polityki.

W czasach PRL Hennelowa raczej krytycznie patrzyła na polityczne zaangażowanie kolegów z sejmowego koła Znak. Rozumiała, że za obecnością ludzi z jej środowiska w Sejmie stoją ważne racje, ale uważała, że praca dla pisma, i w ogóle praca intelektualna, jest o wiele ważniejsza.

Z czasem, gdy z koła znikali ludzie pokroju Stefana Kisielewskiego, Jerzego Zawieyskiego czy Tadeusza Mazowieckiego, a Stanisław Stomma stawał się coraz bardziej osamotniony, Hennelowa straciła resztki złudzeń. Oznajmiła nawet raz Stommie, bądź co bądź jej nauczycielowi z Wilna, że skreśli go w czasie wyborów. Argumentowała to logicznie: „Stachu, nie gniewaj się. Wybrać i tak cię wybiorą, natomiast dlaczego ja mam się do tego przyczyniać?". Wkrótce zresztą Stomma po głosowaniu nad poprawkami do konstytucji, w którym wstrzymał się od głosu, zakończył parlamentarną karierę.

„Opowiadać się za dobrem bez przymusu i hipokryzji to w życiu publicznym zadanie najważniejsze i nigdy najważniejsze być nie przestanie".

Narodziny Solidarności sprawiły, że Hennelowa zaczęła się angażować z pełnym przekonaniem w kwestie publiczne. Politykę postrzegała nie jako walkę „kto kogo", ale jako sposób na rozwiązywanie problemów. Była też bardziej radykalna w poglądach niż jej redakcyjni koledzy – gdy Solidarność na I Zjeździe jesienią 1981 r. ogłosiła „Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej", uważane za niebezpieczne wyzwanie rzucone Moskwie, przyjęła je z radością i uznała za „najważniejszy krok polskiej polityki od czasu listu biskupów polskich do biskupów niemieckich".

Gdy 13 grudnia 1981 r. wprowadzono stan wojenny, zaczęła się pojawiać na procesach działaczy opozycji. Ceniła gesty solidarności. Lata 80. to także czas licznych odczytów w kościołach i salach katechetycznych. Hennelowa jeździ po Polsce, styka się z ludźmi z różnych środowisk, rozmawia, dyskutuje, poznaje zaangażowanych w popieranie Solidarności duchownych i sama staje się osobą rozpoznawalną, wręcz popularną. To był zresztą złoty czas dla „Tygodnika", który – wznowiony po kilkumiesięcznym zawieszeniu w stanie wojennym – wychodzi ze zmienioną, żałobną winietą i jest rozchwytywany przez czytelników.

Gdy po zabójstwie ks. Jerzego Popiełuszki rusza proces jego zabójców, Hennelowa jest na sali rozpraw w Toruniu. Cenzura nie pozwoli jej opublikować sprawozdania w „Tygodniku", ale po pierwsze Hennelowa uważa samą obecność na procesie za ważną, a po drugie będzie mogła zdawać relację podczas kolejnych spotkań z ludźmi.

Dekada kończy się rozmowami władzy i opozycji przy Okrągłym Stole, które otwierało m.in. przemówienie Jerzego Turowicza. Wkrótce zaczyna się kampania wyborcza do Sejmu kontraktowego. Krzysztof Kozłowski kandyduje do Senatu, Józefa Hennelowa do Sejmu.

„Moją kandydaturę chyba wymyślił właśnie Krzysztof, a było to m.in. spowodowane faktem, że w pracy redakcyjnej najbliższe były mi sprawy społeczne... Z tej racji sama uznałam kandydowanie do parlamentu za właściwą drogę. Dziś dodam: a może Krzysztof uważał kandydowanie kobiety za bardziej wskazane?" – mówiła niedawno w wywiadzie dla „Znaku". 4 czerwca 1989 r. na Hennelową głosuje ponad 170 tysięcy ludzi.

Wiatr przemian

Hennelowa i Kozłowski stają się polityczną reprezentacją środowiska – on jest bardziej od „czystej polityki", ona od spraw społecznych. Prace Sejmu kontraktowego dają jej olbrzymią satysfakcję. Przyjmowanie każdej ustawy i każdego przepisu demontującego stare porządki postrzega jak odrzucanie głazów blokujących drogę do demokracji. Hennelowa ma wówczas 64 lata, ale „wiatr przemian" sprawia, że nie czuje zmęczenia, nawet gdy trzeba pracować po nocach.

„Tygodnik" popiera rząd Tadeusza Mazowieckiego, Kozłowski zostaje szefem MSW, a gdy premier decyduje się na start w wyborach prezydenckich, pismo opowiada się po jego stronie. Jerzy Turowicz angażuje się w „wojnę na górze" inicjując spotkania, które później doprowadzą do powstania Unii Demokratycznej, późniejszej Unii Wolności. Z tymi ugrupowaniami zwiąże się także Hennelowa. Polityczne zaangażowanie powoduje utratę części czytelników.

Sama Hennelowa mówiła po latach: „Wtedy wydawało mi się oczywiste i naturalne, że jesteśmy i tu, i tu, czyli w redakcji i w polityce, ale teraz wiem, że to była pomyłka. Może działał tu pewien mechanizm przekory, bo owszem, często atakowano nas za to, ale w sposób mało wyszukany. Zachowałam całą teczkę zatytułowaną »Wymyślania« – ludzie pisali do mnie listy pełne pretensji i wymyślań. Były to agresywne głosy, tak agresywne, że nie brałam ich na serio uważając, że to część politycznej nagonki. Jakiś folklor. W efekcie nie zdawałam sobie sprawy, jak nasza obecność w polityce rzutuje na ogólną opinię o »Tygodniku« także ludzi, powiedzmy, umiarkowanych".

DANUTA WĘGIEL DLA „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Józefa Hennelowa z Krzysztofem Kozłowskim, redakcja „Tygodnika Powszechnego", 2006 r.

Jako posłanka angażuje się też w popieranie niepodległościowych aspiracji narodów Europy Wschodniej – przede wszystkim Litwy.

Kościół w państwie

Jeszcze w Sejmie kontraktowym, a już w pełnym wymiarze w następnym Sejmie I kadencji dochodzi do dezintegracji „obozu posierpniowego". Podziały stają się coraz głębsze. Prawicowe partie chciałyby Polsce narzucić niemalże charakter państwa wyznaniowego. Zaczyna się od żądań, by w godle Polski umieścić krzyż (przeciw czemu Hennelowa protestuje z sejmowej mównicy), później prawica domaga się wprowadzania „wartości chrześcijańskich" niemal w każdej dziedzinie życia.

Polemiki Hennelowej z prawicowym politykiem Markiem Jurkiem staną się stałym elementem polskiego życia publicznego. Najostrzejszy spór dotyczy kwestii aborcji. Najbardziej radykalne projekty zakładają penalizację kobiet decydujących się na zabieg, z drugiej strony lewica postuluje pełną legalizację aborcji. Środowisko polityczne Hennelowej próbuje szukać rozwiązania, które pozwoliłoby kobietom dokonywać w pełni świadomego wyboru – ale prawica i Kościół nie chcą słyszeć o żadnym kompromisie, dla nich istotne jest „opowiedzenie się za życiem", niezależnie, czy prawo takie będzie respektowane, czy nie.

Hennelowa, osoba głębokiej wiary, która uważa, że aborcja jest złem, ale która postrzega ją także jako dramat kobiety, okrzyknięta zostaje zwolenniczką zabijania dzieci. Prawicowa prasa atakuje ją bezpardonowo, przychodzą listy z pretensjami, a nawet kilka kaset z nagranym biciem serca płodu, paulini z Jasnej Góry odmawiają jej prawa do wygłoszenia tam referatu na spotkaniu KIK-ów.

Podobne spory towarzyszą uchwalaniu ustawy o radiofonii i telewizji. Znów radykałowie domagają się zapisania „wartości chrześcijańskich" jako fundamentu działalności mediów publicznych – Hennelowa uważa takie zapisy za puste deklaracje: „Wartości chrześcijańskie są po to, żeby nimi żyć, a nie po to, żeby je deklarować".

Przy innej okazji mówi: „Dobro nigdy nie dzieje się jako przymus, lecz jako wolny wybór, a z drugiej strony w prawdziwej kulturze człowieka nie jest przecież »wszystko jedno«, tylko dobro i zło są czymś wyrazistym. Pogodzić to tak, by opowiadać się za dobrem bez przymusu i hipokryzji, to w życiu publicznym zadanie najważniejsze i nigdy najważniejsze być nie przestanie, choćbyśmy mieli piękne sukcesy ekonomiczne".

Kłótnie w „obozie posierpniowym" doprowadziły do upadku rządu Hanny Suchockiej i rozwiązania parlamentu. W kolejnych wyborach Hennelowa już nie startowała, ale pozostała w Unii Demokratycznej, zasiadała także we władzach Unii Wolności, konsekwentnie opowiadając się za programem proreformatorskim i proeuropejskim. Jako posłanka, a potem już po prostu jako osoba publiczna, bez przerwy angażowała się w pomoc różnym środowiskom i poszczególnym ludziom – chodziło nieraz o sprawy drobne, lokalowe czy bytowe.

Na swoją działalność polityczną potrafiła spojrzeć krytycznie – jak mówiła, mandat poselski sprawił, że sama troszkę uniosła się ponad ziemię, że wobec prawicowych radykałów przyjmowała postawę zbyt konfrontacyjną. Jednocześnie to ona potrafiła w Sejmie z opłatkiem podejść do posłów ZChN – ale żaden się do niej nie odwrócił.

Polityką interesowała się do końca, zawsze była na bieżąco. Ze smutkiem mówiła o demontowaniu państwa prawa po 2015 r. W jednym z ostatnich wywiadów przypominała powinności otwartych katolików: „W tej chwili najważniejsza jest obrona demokracji. Trzeba ↦

↦ się opowiedzieć, pokazać, jak się widzi swój świat wartości. Chyba mamy czego bronić".

Zapytana niedawno o obecne przymierze państwa i Kościoła, odpowiedziała po namyśle: – W nocy najczęściej myślę o tym, jak się mam sama rozliczyć z życiem, ale czasem zastanawiam się, czego chciał Jan Paweł II. Czy naprawdę tego chciał?

Jest inaczej

Do końca zdumiewała rozległość jej zainteresowań. W rozmowie dla „Znaku" z okazji Światowych Dni Młodzieży w Krakowie w 2016 r. 91-letnia wówczas Hennelowa zastanawiała się nad diagnozą sytuacji, by móc znaleźć fundament nadziei: „Otóż dzisiaj nie sposób takiej diagnozy uczciwie przeprowadzić – zauważała – bo wszystko zmienia się zbyt gwałtownie. Otwarte są kwestie dalszego istnienia Unii Europejskiej, rozwiązania problemu uchodźców czy terrorystycznego islamu. A mamy jeszcze skomplikowaną sytuację w Chinach, autorytarną władzę w olbrzymiej Rosji, wiele napięć w ciągle niespokojnej i nierozumianej przez nas Afryce. Czy znajdziemy odpowiedź na te wszystkie wyzwania? W tak niepewnym świecie i o nadzieję niełatwo".

Pesymizm co do przyszłości świata pogłębił się wraz z nastaniem pandemii. – Powiedziała mi pewnego razu – mówi Katarzyna Morstin – że pandemia przypomina jej pierwsze dni wojny: „Wtedy myśleliśmy, że to się skończy po dwóch tygodniach, bo przecież »nie oddamy ani guzika«, a to się potoczyło zupełnie inaczej. Straszniej. Teraz też może się potoczyć inaczej".

Przede wszystkim jednak pandemia oddzieliła ją od rodziny za granicą – dzieci, wnuków i prawnuków. Obawa, że już prawdopodobnie nigdy ich nie zobaczy, nie dodawała jej sił. Zmarła 22 sierpnia w swoim mieszkaniu przy Smoluchowskiego 8.

Rok wcześniej przeżywała śmierć swojej rówieśniczki – razem zdawały maturę na tajnych kompletach w Wilnie podczas okupacji (nad biurkiem w jej mieszkaniu wisi zdjęcie pięciu maturzystek wraz z nauczycielem, Stanisławem Stommą). Kiedy odwiedziła przyjaciółkę ostatni raz, była ona w takim stanie, że nie miała ochoty rozmawiać. Hennelowa powiedziała wówczas Katarzynie Morstin: „Jeżeli człowiek traci ochotę na rozmowę, to już chyba nie warto wtedy żyć".

Józefa Hennelowa przez całe życie była człowiekiem dialogu. Jeżeli czegoś pod koniec żałowała – wspomina o tym w ostatnich felietonach – to tego, że z jakimś swoim oponentem nie spróbowała porozmawiać jeszcze raz.

Gdy czyta się jej teksty, uderza trafność i samodzielność myśli – była mistrzynią krytycznego myślenia – a jednocześnie niezwykły dar formułowania sądów w taki sposób, by nikt nie poczuł się dotknięty. To bardzo wileńskie cechy, i bardzo chrześcijańskie.

©℗ ANDRZEJ BRZEZIECKI
ARTUR SPORNIAK

POŻEGNANIE

Z żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Ś.†P.

Józefy Hennelowej

Osoby Wielkiego Serca, Wielkiego Rozumu i Wielkiej Wrażliwości.

Na zawsze zachowamy dla Niej wdzięczność za pomoc,
jakiej przed laty udzieliła naszemu choremu synkowi.

Cześć Jej pamięci!

KATARZYNA I MACIEJ MIEZIANOWIE – RODZICE MIKOŁAJA

Ulica Zamkowa, numer 8

JÓZEFA HENNELOWA

Oto obraz pokonanego państwa: na ulicy wiatr zamiata papiery urzędowe ciśnięte przez rabujących obywateli, którym może potrzebne będą jeszcze jakieś sprzęty z bezpańskiego lokalu, ale już nie druki.

ŚWIAT, JAKI DO 1939 R. STANOWIŁO KRESOWE Wilno, dla jego mieszkańców rozpadał się równie spektakularnie, ale aż w pięciu odsłonach dramatu, przez sześć i pół roku. Działo się to równolegle z upartym nurtem trwania, wciąż na nowo nabierającym życia po zniszczeniach, żywiącym nas wszystkich na przekór grozie i śmierci. I do dziś budzącym podziw i wzruszenie, gdy próbuje się wracać pamięcią do tamtych lat.

Byłam uczestnikiem tych spraw na swoją małą miarę pojedynczego, niedorosłego mieszkańca rodzinnego miasta. Jako tytuł daję adres, pod którym mieszkałam sporo lat przed wojną i na którym kończy się moja historia wileńska, choć z papierami ewakuacyjnymi, a więc już jako obca, spędziłam w Wilnie jeszcze sporo miesięcy. Nasze mieszkanie w centrum starego miasta, w sąsiedztwie katedry i uniwersytetu, w cieniu najpiękniejszych zabytków, mieszkanie w oficynie kurii biskupiej, bez wygód, ale z pięknymi widokami z okien, wydaje się dobrą soczewką do oglądania przeszłości tak bardzo własnej. Fakt, że w każdym przewodniku po Wilnie ten fragment mojej ulicy (z bramą domu na Zamkowej 8) jest utrwalony, utwierdza mnie w tym wyborze.

Kronikarze zanotowali na użytek historyków kolejne rozdziały unicestwiania przedwojennego Wilna. Oto daty: 19 września 1939 r. (wejście Armii Czer-

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Wilno, ulica Zamkowa. W tle kościół św. Jana, bliżej kolektura loterii państwowej i galanteria F. Frliczki, czerwiec 1935 r.

wonej); 28 października 1939 r. (odstąpienie Wilna i Ziemi Wileńskiej ówczesnemu państwu litewskiemu); 15 czerwca 1940 r. (Armia Czerwona ponownie zajmuje Litwę; od 3 sierpnia wchodzi ona w skład ZSRR); 23 czerwca 1941 r. (Niemcy hitlerowskie zajmują Wilno); 4 lipca 1944 r. (rozpoczęcie walk o Wilno przez armię sowiecką i AK; obie formacje wkraczają do miasta 13 lipca, a 15 lipca następuje aresztowanie dowództwa AK i wycofanie się polskich oddziałów do lasu). Wreszcie, od grudnia 1944 do sierpnia 1946 r. transporty polskiej ludności „na zachód" (wtedy nazywa się to „repatriacją").

PO WYBUCHU WOJNY prawie trzy tygodnie miasto było jeszcze polskie. Pamiętam uroczystą mszę w katedrze w niedzielę 17 września: gazety doniosły już o wkroczeniu Sowietów, a myśmy śpiewali „Ojczyznę wolną pobłogosław, Panie", jakbyśmy chcieli zakląć nadciągający lęk. W mieście pełno przybyszów z Polski centralnej, zajmowanej przez Niemców. Potem gazety przynosiły opisy drastycznych wysiedleń „w kwadrans" z terenów włączonych do Reichu. A u nas – szkoły i teatry czynne, kawiarnie pełne, tyle że handel zaczyna być coraz bardziej wymienny, bo wieś reaguje nieufnością do „papierków".

Moja szkoła – prywatne gimnazjum sióstr benedyktynek – ostanie się nawet w zawierusze pierwszych okupantów: Sowietów, potem Litwinów. Zniknie już w grudniu Uniwersytet Stefana Batorego, brutalnie likwidowany. Wiele szkół przestanie istnieć. Nasza objęta będzie tylko nakazem nauczania litewskiego i zjawi się ksiądz Białorusin uczący go nieagresywnie, ale nudno i bez skutku, bo co chwila wybuchają strajki szkolne – kogóż w tych warunkach może to bawić? W Dzień Zaduszny wielka manifestacja od płyty Marszałka na Rossie, pierwsze aresztowania. Utarczki w kościołach, gdzie organizacje litewskie trenują demonstracyjne zakłócanie nabożeństw śpiewaniem swoich patriotycznych pieśni, w tym hymnu (ma piękny tekst, ale któż by go rozumiał i w imię czego?).

To jeszcze jest nie prawdziwa groza, ale jakaś gorzka groteska. Bo realizacja idei litewskiej, że trzeba przywrócić „spolszczonej" stolicy jej dawny charakter, nie może znaleźć cienia zrozumienia. Nam, 14-latkom „od benedyktynek", atmosferę łagodzi fakt wynikły z sytuacji wojennej: dwóch młodych benedyktynów wojna zatrzymała w odwiedzanym klasztorze i teraz uczą religii, wnosząc atmosferę niekonwencjonalnej dydaktyki (dotąd religia była jednym z najnudniejszych przedmiotów).

U nas na Zamkowej pojawia się sublokator: Józef Święcicki będzie od listopada wydawać „Kuriera Wileńskiego" (obok „Gazety Codziennej" Józefa Mackiewicza). Będziemy mieć obie gazety aż do czerwca 1940 r. Jedną z największych atrakcji stanie się – od chwili wybuchu wojny sowiecko-fińskiej w listopadzie 1939 r. – śledzenie komunikatów z frontu, gdzie Armia Czerwona trafia na niewzruszony opór małego kraju, któremu kibicujemy.

Gazety zlikwiduje dopiero przywrócona latem władza sowiecka. Ale będzie trwać, aż do okupacji niemieckiej, ożywione życie artystyczne: Wilno ma teraz sześć teatrów, grają aktorzy przybyli z centralnej Polski, miejscowi, gra Teatr na Pohulance, Lutnia, teatr żydowski, oglądamy ze szkołą „Rejtana" Kazimierza Brończyka, śpiewa Ordonówna, w kronikach zostanie zapamiętany entuzjazm wybuchający na „Krakowiakach i Góralach".

LATO 1940 R. jest cudownie słoneczne i równocześnie ponure: kończy się groteska, wkracza noc śmiertelnie poważna. Patrzymy na upokorzenie Litwy, której cudze bagnety każą inscenizować „prośbę" o wchłonięcie przez potwora. Wiece, ciężarówki z czerwonymi transparentami, „radość ze spełnienia prośby". To widzimy, to jest godne politowania, w tym nie bierzemy udziału, odpędzając myśl, że ten gniot zacznie toczyć się po nas wszystkich.

Starsi to wiedzą. Już w ciągu kilku jesiennych tygodni 1939 r. zniknęło wielu znanych ludzi, aresztowanych albo deportowanych. Ale teraz to jeszcze czas przyszły. Spędzam trochę czasu na Litwie kowieńskiej, na malutkiej fermie babci i ciotki (mama nie żyje od 1927 r.). Okolica czysto polska, ale spostrzegam, że los Polski najechanej przez Niemców, zdruzgotanej, to tutaj coś odległego. Na zabawie w okolicy odmowa zatańczenia (bo „mamy żałobę narodową") wywołuje zdumienie i obrazę. Tak już zostanie.

A potem powrót do Wilna i zaskoczenie: są nowe szkoły po polsku. Benedyktynki już nie istnieją, nie istnieje dotychczasowy system szkolny. Będą w Wilnie dwie szkoły średnie z polskim językiem nauczania. IX Szkoła to ta, do której się zgłoszę z wieloma dawnymi koleżankami. Mieści się w dawnym gimnazjum jezuitów, wsławionym wspaniałym umundurowaniem i ekskluzywnym charakterem. Teraz jest koedukacja, ale w klasie wielu dawnych uczniów, a z dziewcząt wiele z elitarnego żeńskiego gimnazjum nazaretanek. ↦

↦ I nagle okazuje się, że tacy uczniowie i część przedwojennych nauczycieli – to wystarczy, byśmy czuli się wolni. Mamy co prawda przedmiot, który nazywa się „konstytucja" i jest agitką, mamy rosyjski i litewski, na którym nauczycielka traktuje nasze nazwiska tak, jak każe „duch języka" (z litewskimi końcówkami). Nie ma podręczników, tylko notatki. Wychowawcą jest biolog, Żyd, nieukrywający żarliwego komunizmu („Niech wam się nie zdaje, że wasza pańska Polska wróci"). Dlaczego mimo to nie stajemy mu okoniem? Nie tylko dlatego, że wykłada ciekawie. Przede wszystkim: bierze klasę i każdego z nas w obronę przed władzami szkoły (prócz dyrekcji jest jeszcze inspektor od dyscypliny). Wiele lat po wojnie przeczytam, że Maks Chejfec był pracownikiem naukowym USB. Nigdy się nie dowiem, czy przeżył wojnę. Wspominając tamten rok (bo przyjaźnie się zachowały, a z klasy „wyszło" potem parę dobrych małżeństw), powiemy sobie, że gdyby on uczył nas jeszcze parę lat, może by nas nawet „nawrócił" na swoje...

Na rewolucję październikową jest akademia i spektakl z tańcami, z wierszami Majakowskiego. Czterech chłopców deklamuje „Lewą marsz" i nagle jeden słabnie, pada, deklamacja się przerywa. Umyślnie to zrobił? Tego się nie dowiem. Na koniec śpiewa się „Międzynarodówkę", ale można nie wydobywać głosu, markować. Ta aula budzi wspomnienie jasełek przed wojną, pełnych kolęd; na frontowej ścianie był herb Polski, teraz przykryły go dekoracje. Z historii uczymy się dziejów Rusi, nieprawdopodobnie szczegółowo.

Na historię polską i religię kilkoro z nas wędruje po lekcjach dyskretnie do zakrystii sąsiedniego kościoła św. Kazimierza albo do zakamarków dawnego klasztoru, gdzie przycupnął ojciec Wacław Sęk, jezuita, o którym mówimy „Staszek". To on nas uczy. Zada mi referat o hetmanie Żółkiewskim, pożyczywszy w tym celu potężną monografię. Chyba zdążyłam z tą pracą, nim władze zakonne wysłały go nagle na Białoruś. Opłakaliśmy tę stratę, pisał do nas parokrotnie. W liście znalazłam zdanie: „Za mnie szczerze się pomódl, bo mam wiele kłopotów i roboty". Dopiero wiele lat po wojnie, gdy przeczytałam jego pośmiertnie wydane wspomnienia, zrozumiałam, jakie to były „kłopoty": poniewierka, groza, nędza, zagrożenie życia (spotkałam go jeszcze po wojnie, w Szczecinie).

Szkoła i tajne spotkania pochłaniają czas, w domu jestem gościem. A w domu znowu ciaśniej, mieszka u nas w przydzielonym urzędowo pokoju kapitan Armii Czerwonej z Kazania, z żoną i czteroletnią Ninoczką. Matka pilnuje małej, by nie rozgadywała się o realiach ich wcześniejszego życia (*Mama, idi w oczeredź, po rańsze*). Czterolatka jest agresywna i często nam grozi. Jej ojciec uwielbia puszczać płyty na swoim patefonie i nieraz słyszę melodyjną piosenkę: „*Pomnim my atamany, pomnim polskije pany*" (ale tak w ogóle to jest spokojny).

Może to oficerski sublokator nas chroni, a może nasz status skromnej rodziny krawca nie jest tym, co władza uznałaby za wraże. Bo kolejne paroksyzmy deportacji, coraz groźniejsze, nie zawadzają o nas. Ale koleżanki znikają, razem z rodzinami. Tak przychodzi czerwiec 1941 r., kiedy na miasto spada groza powszechna: wielka deportacja. Ciężarówki krążą, zbierają ludzi. Zajeżdżają i na nasze podwórze, wiem po kogo, odbywa się to tak cicho, jakby wszyscy owładnięci byli paraliżem. W ciężarówce siedzą też zakonnice. Wszyscy milczą. To czas bez przyszłości. „Żyjemy z dnia na dzień, z godziny na godzinę" – napisze ktoś później.

KAPITAN Z RODZINĄ nie wraca z urlopu. Zostaną po nim niezabrane rzeczy, albumy ze zdjęciami. Albumy przechowają się zresztą. Na razie jest nagłe uderzenie, bomby, noc rozjarzona flarami, od których w pokoju znika najmniejszy cień. Jedna noc, jeden dzień – i na ulicach inne mundury, inny, gardłowy wrzask komend. 23 czerwca miasto oddycha: deportacji więcej nie będzie. Przez chwilę – coś jakby ulga. Przez chwilę. Prasa będzie zamieszczać zdjęcia pomordowanych przez NKWD podczas odwrotu Armii Czerwonej (potem na tych samych

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Wilno. Na pierwszym planie kościół św. Jana, 1935 r.

polskojęzycznych stronach pojawią się raporty z odkrywanych grobów katyńskich).

Kilka dni po wkroczeniu Niemców czekałam w jakiejś kolejce, co wtedy było zajęciem normalnym. Przede mną stała kobieta, która się czymś niepokoiła. Nie pamiętam, o co chodziło. Ale w pewnym momencie, jakby się tłumacząc, powiedziała do mnie: „Bo ja, proszę pani, jestem Izraelitka". To mnie uderzyło, nikt tak nie mówił. A ona patrzyła na umundurowanych ludzi rojących się na ulicach i już nie miała złudzeń. Wspomnienie tego głosu do dziś nakłada mi się na oglądany niedługo potem powolny, milczący korowód Żydów spędzanych do getta. Niebawem „pracować" zaczęły Ponary, o których opowiadano ze zgrozą. W Wilnie nie było egzekucji ulicznych, ale rozlepiane ogłoszenia o rozstrzelanych zakładnikach, powtarzane nazwiska, coraz nowe listy ofiar z Ponar. „Cóż, żyjemy w czasach, gdy rękę diabła widać gołym okiem" – powiedział wtedy do Stanisława Stommy prof. Konrad Górski.

Siostry zakonne w tym czasie chodziły już po cywilnemu, przytajone. Ale nasz szkolny kościół żył. Ojciec Piotr nie przeżył przejścia frontu, zabity odłamkiem bomby. Ale ojciec Jacek objął św. Katarzynę tak, jakby to była niezawłaszczona przez okupanta duchowa ojczyzna. Tu byliśmy wolni: czytając Pismo Święte po polsku, śpiewając psalmy po łacinie, poznając śpiew gregoriański, recytując mszę i nieszpory, płacząc przy pieśni „Słuchaj, Jezu, jak Cię błaga lud". Wspólnota chóru i wspólnota kościoła – to były małe miejsca niepodległe. Przecież myśmy nawet wiersze czytali, śpiewali na dróżkach kalwaryjskich, przymierzali się do teatru religijnego, robili przekłady. Choć każde z nas miało swoje życie w kilku postaciach naraz: zarabianie (które uchroni przed wywózką na roboty), konspiracja, harcerstwo, tajne komplety szkoły średniej, a później uniwersytetu.

Dopiero po wojnie dowiedziałam się, że należałam do tych kompletów, które organizował Uniwersytecki Ośrodek Polskiego Szkolnictwa Tajnego w Wilnie. Prof. Dziewulskiego, szefa, wtedy nie znałam, ale matematyki uczył nas jego zastępca Ananiasz Rajecki, Karaim. Mieliśmy świetnych nauczycieli. To były właściwie uniwersyteckie seminaria. Co za łacina, co za niemiecki, chemia, biologia... Zostały z tamtych lat przyjaźnie. I zawsze to samo uczucie: życie gnębiło – mrozem, niedożywieniem, opresją okupanta (nawet w kościelnej zakrystii spotykało się kapelanów wojsk chcących gościnnie odprawić mszę, co nas gorszyło). Na kompletach (w ogromnej większości u nas w domu) miało się kawałek ojczyzny, nienaruszoną prawdę, wolność. To biegło równolegle. Podobne przeżycie niosły zbiórki harcerskie i nieporadne przygotowania do chwili, gdy trzeba będzie „bić się o Wilno". Przyjaciółka z kościoła św. Katarzyny, młoda lekarka Halina Sawicka, uczyła służby sanitarnej u siebie w szpitalu.

Chodziłam na tajną katechezę do ks. Józefa Wojtukiewicza w kościele św. Ducha (że był też wydawcą tajnej gazetki, o tym przeczytam po wojnie). Ale gdy uroczyście i chwalebnie razem z trzema innymi dziewczynami zdałam tajną maturę, zaproponowano mi uczenie dzieci z klasy pierwszej – i okazało się, że ks. Józef założył ośrodek dydaktyczny z nowymi metodami uczenia czytania i pisania (tajny oczywiście). Prowadziłam taką „klasę": czworo dzieci.

W ramach tych kompletów z maluchami wystawiliśmy nawet jasełka, mojego pióra zresztą, z kostiumami (jednym z trzech króli był Sobieski, wyklejałam mu zbroję husarską). Sama chodziłam (tylko jeden trymestr) na tajną polonistykę; wtedy poznałam prof. Konrada Górskiego. Lataliśmy nawet na randki na Karolinki i na siatkówkę na Zakręt. Mieliśmy koncerty w filharmonii, grał Stanisław Szpinalski.

Pytam dawną koleżankę o jej brata, w którym się wcześniej podkochiwałam. „Wacek? Nie żyje". Nie mam odwagi spytać: gdzie, kiedy. To przecież jest ten świat o pół kroku od moich ulic, którymi ciągle krążę z takim zaufaniem, nawet jadąc do babci pod Kowno tymi samymi pociągami, pod które podkłada się miny. Bronka straciła w ten sposób obie stopy: rozszarpało podłogę wagonu (potem z Anglii, od rodziny, przyjdą protezy). ↦

ŻYJE W NAS WSZYSTKICH ta sama myśl: będzie taki dzień, kiedy odzyskamy Wilno. Na razie Niemcy są górą i gdy przepędzają słaniających się z głodu jeńców sowieckich przez moją ulicę, najmniejszy odruch pomocy wywołuje wściekłość (córka znajomej sklepikarki po rzuceniu jabłka zdoła się wykupić od więzienia za wielką łapówkę). Jeszcze w 1942 r. zdążą internować z naszego domu arcybiskupa Romualda Jałbrzykowskiego. Ale 1943 r. to już klęska Stalingradu, o której nie można pisać w prasie. I już jest lipiec 1944. Słoneczny, bezchmurny. Cisza przed burzą.

2 lipca to niedziela. Postanowiłam zobaczyć ojca Jacka albo kogoś ze wspólnoty. Nasz zastęp nie dostał rozkazów, gdzie mamy się zgłosić jako sanitariuszki. Bałyśmy się, że zostaniemy z boku wydarzeń. Bo front był tuż. Szłam przez miasto, ulicami, na których w letnie południe nie było żywego ducha. W klasztorze też nie było nikogo. Wróciłam na Zamkową. Nazajutrz rano odezwała się bateria dział usytuowanych obok katedry. Zaczął się szturm na miasto. Trwał do 13 lipca. Bomby, pożary w sąsiedztwie, na ulicy gwizd kul. Kilka dni w piwnicy. Siostra szarytka z sąsiedztwa ciągle inicjowała różaniec. Uczyłam (bez skutku) Antosia, przygodne zabłąkane dziecko, pierwszych liter.

Gdy się skończyło, zobaczyliśmy naszych chłopców: uzbrojonych, z biało-czerwonymi opaskami. To wtedy „Wilk" (gen. Aleksander Krzyżanowski, dowódca operacji „Burza") zdążył donieść Londynowi: „Polskość miasta bije w oczy". Dzień później był już aresztowany, a myśmy w zastępie próbowały załatwić naszym rannym ze szpitali jakieś dokumenty, żeby uciekli w porę.

To wtedy nadzieja została wystawiona na największą próbę. Konspiracja umierała: w kilka miesięcy wszyscy znaleźli się w więzieniach i na zsyłce (chyba że w porę uciekli do lasu). Od jesieni 1944 r. już ciągle mówi się, że chyba jednak tu nie zostaniemy. Już wiadomo, jak skończyło się powstanie warszawskie. Profesorowie, artyści – oni są teraz najbardziej zagrożeni.

W grudniu 1944 r. ruszają pierwsze transporty. W lutym wyjeżdżają artyści, potem transport uniwersytecki (jedzie do Torunia). Ubywa przyjaciół. W maju znikają moje siostry benedyktynki i ojciec Jacek: on wraca do Tyńca, one dostają klasztor w Żarnowcu. Heroiczni starzy księża jeszcze duszpasterzują. Ale przecież tu już nie będzie Polski. Sowiecka noc nad nami coraz wyrazistsza, dokładniejsza. Selekcjonowanie obywateli na swoich i wrogów ludu. Według tego udzielanie lub odmawianie pozwolenia na ewakuację, która zwie się „repatriacją". Po latach tę atmosferę odnajdę w świetnej książce Zbigniewa Żakiewicza „Wilio, w głębokościach morza" (na prowincji siła sowieckiego gniotu była bez porównania dotkliwsza).

TAK KOŃCZY SIĘ dla nas adres na Zamkowej 8. Z frontu wraca kapitan ze zdobycznymi dobrami. Odebrał z podziękowaniem albumy. Kilku innych oficerów zajęło mieszkanie, dla nas została kuchnia. Gdy wracali pijani, nieraz mylili drzwi, awanturując się, że wejść nie mogą.

A gdy wreszcie, po miesiącach rozterki, złożyliśmy wniosek o wyjazd, dowiedzieliśmy się, że niezależnie od terminu transportu mieszkanie musimy opuścić zaraz. Parę dni gnieździliśmy się w dawnej introligatorni. Potem gospodyni nieobecnego księdza z kościoła bernardynów przygarnęła nas do jego mieszkania. To był ostatni dziwny rok w Wilnie, zawieszony w powietrzu. Byliśmy już „obcy" i nikt nic od nas nie chciał – ale dalej chodziłam do miejscowego konserwatorium. Muzyka – to była najskuteczniejsza ucieczka. Pakowanie się – jak bardzo szkoda książek. Cały dom tworzył wspólnotę – ale jakby zawieszoną na innej planecie. Bo Wilno stawało się nie tylko sowieckie – także litewskie jednocześnie. Choć to, co najgorsze – zamykanie kościołów – przyszło już po naszym wyjeździe.

Nasz transport odszedł z Wilna 6 lipca 1946 r. Nie wiedziałam, że był jednym z ostatnich. Nie spotkała mnie też żadna z przygód opisanych tak dramatycznie u Żakiewicza; nikt się nie krył, nikogo nie zawrócono za karę z drogi. Wyjeżdżaliśmy nieomal „normalnie".

Tylko nadzieja nie oglądała się już wstecz. Ani na mgnienie.

©℗ JÓZEFA HENNELOWA

„TP" 22/2006

Są wśród nas

JÓZEFA HENNELOWA

W kręgu moich świętych pozostają zmarli, których nigdy nie pytałam o to, czy podzielają moją wiarę, ale którzy w praktyce uczyli mnie, jak się służy człowiekowi na miarę Kazania na Górze.

DLACZEGO NAJBARDZIEJ POPULARNE święto liturgiczne, obchodzone 1 listopada, już od dawna stanowi tylko pierwszy z dni obchodów pamięci zmarłych, którym kiedyś poświęcony był osobny dzień – Dzień Zaduszny? To w wolną od pracy uroczystość Wszystkich Świętych miliony ludzi w Polsce wędrują na cmentarze, by tam czcić pamięć bliskich zmarłych – o wiele mniej we mszach i modlitwie niż w strojeniu grobów, które na naszych cmentarzach przybierają coraz bardziej wygląd inwestycji, bogatych w marmury i dekoracje kwiatowe, eksponowane z olbrzymim nakładem troski. Drugą funkcją pamięci tego dnia, szczególnie wyrazistą, jest pamięć symboliczna, związana z historią albo ideologią, i wtedy groby stają się ośrodkiem zbiorowego manifestowania tych przekonań albo uczuć.

Tymczasem, gdy sięgnąć po prostu do liturgii święta kościelnego, jakim jest uroczystość Wszystkich Świętych, wskazówką zrozumiałą dosłownie dla każdego stanie się tekst Ewangelii wybrany przez Kościół – jeden z najpiękniejszych i najlepiej wprowadzających w samo serce wiary: Kazanie na Górze, zawierające osiem błogosławieństw. Jeżeli na Wszystkich Świętych Kościół przypomina, za co i kto nazwany jest przez Chrystusa błogosławionym, mamy klucz do tajemnicy święta, w którym mieszczą się wszyscy spełniający te słowa.

ZASTANAWIAĆ MUSI, że w Katechizmie Kościoła Katolickiego nie istnieje w ogóle

ARCHIWUM RODZINNE / ARCHIWUM „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Józefa Golmont (Hennelowa) w szkole sióstr benedyktynek, Wilno 1932 r. Na zdjęciu zaznaczona czerwonym krzyżykiem.

w indeksie pojęć i określeń to, które w Składzie Apostolskim stanowi określenie dogmatu wymienianego razem z innymi: „Wierzę w Ducha Świętego, święty Kościół powszechny, świętych obcowanie...". To właśnie ten zwrot, dziś rzadko używany, najdobitniej i najwszechstronniej wyraża całość naszej relacji, którą w swoim Katechizmie Kościół określa jako „komunię świętych". To w pojęciu „obcowanie" zawiera się wszystko: prawdziwa więź, niezależna od czasu i miejsca, zaufanie, oczekiwanie dobra, bliskość, prawo do przyjaźni sięgającej najbardziej ludzkich i osobistych spraw. Bo takie właśnie prawo jest nam dane wobec świata świętości i świętych, który istnieje w Kościele, odkąd powstał, po dziś dzień i aż do końca świata.

To wszyscy wiemy: kult świętych w Polsce jest od najdawniejszych czasów bardzo żywy i różnorodny. Wielu z nich stało się patronami od różnych zjawisk społecznych, a nawet politycznych, przede wszystkim zaś bytowych, jako ci, którzy stanowią wzór upragnionych zachowań, a także jako patroni strzegący dobra, na którym ludziom zależało. Rozmaite figurki i symbole wciąż strzegą uprawy pól albo niebezpiecznych kiedyś przejść czy murów obronnych.

Wielu świętych to jakby obywatele lokalnych społeczności, utrwaleni np. we wnętrzu kościoła albo w nazwach jako patroni. Ten rodzaj kultu przeniknął do historii, do sztuki, do literatury, do tradycji w sposób niesłychanie trwały. Nie można ukryć, że nieraz w tym właśnie kulcie dokonywały się spłycenia skutkujące nawet nieporozumieniami sięgającymi samego przekazu wartości. Wystarczą dwa przykłady z różnych epok. Osoba ks. Jerzego Popiełuszki, męczennika stanu wojennego, którego posłannictwo najprawdziwiej zawiera się w testamencie ostatniego przedśmiertnego kazania „Zło dobrem zwyciężaj", pozostaje pretekstem do emocjonalnych zgromadzeń i wezwań, w których chęć rozliczania się z dawnymi winowajcami dominuje nad wszystkimi innymi refleksjami i pobudkami.

Drugim symbolem, bardzo chętnie dziś używanym w retoryce politycznej, jest ksiądz Piotr Skarga i jego modlitwa za Ojczyznę, stanowiąca element wielu manifestacji politycznych, tak jak samo jego imię przyznawane w zapale ideologicznym najdziwniejszym zachowaniom polityków.

DLATEGO KATECHIZM I ŚWIĘTO przypominają nam wspólnie, że „świętych obcowanie" to przede wszystkim niesłychana, gdy się nad nią zamyślić, a równocześnie wspaniała więź z żywymi ludźmi uczestniczącymi w całym dobru, które jest udziałem zmarłych nazywanych przez nas świętymi. Do tego dobra wszyscy mamy dostęp i prawo oczekiwania, że oni się z nami podzielą teraz, kiedy my sami staramy się je realizować, z powodzeniem albo nie.

Życiorysy ludzi pozostających nam bliskimi, chociaż są już poza czasem i materią, pozwalają wielokrotnie na zwyczajne zaprzyjaźnienie się z kimś, kto zrealizował jakieś powołanie, które chcielibyśmy powtórzyć. Wtedy zwyczajna prośba skierowana bez ostentacji w trakcie najbardziej szarej codzienności: „Liczę, że mi pomożesz, zrób tak, żebym potrafił", jest właśnie urzeczywistnieniem tego, co w teologicznym języku Katechizmu nazwane zostało „komunią", a stanowi sedno święta Wszystkich Świętych rozciągniętego na całe życie Kościoła.

Zostało nam również przypomniane, że ta wymiana dobra działa nie tylko w jedną stronę. Że tutaj każdy może być także dającym, bo wszystko nabiera wartości w wymiarze życia duchowego. Dlatego najbardziej kruchy akt oddania swojego cierpienia czy niepowodzenia w intencji pomocy innym staje się realną szansą budującą nadzieję na rozumienie sensu tego, co się przeżywa. Tutaj nie ma ludzi wykluczonych i nikomu niepotrzebnych.

I JESZCZE JEDNA SPRAWA. W naszej pamięci, jeśli tylko mamy dobrą wolę, pozostają wszyscy budujący dobro na ziemi, poświęcający się dla bliźnich, obrońcy najgłębszych wartości, skądkolwiek by przychodzili i na cokolwiek się powoływali – o ich świWętości, w najszerszym sensie tego słowa, czyli o udziale w dobru i prawdzie, decyduje ich życie, a nie słowa, których może nam brakuje.

Dlatego nie dziwię się ani trochę prośbie, o której kiedyś przeczytałam – żeby Janusz Korczak został beatyfikowany, chociaż był podobno niewierzący. Nie dziwię się potrzebie włączania w krąg przyjaźni ze świętymi ofiar prześladowań obrońców człowieka z każdego wymiaru kultury. Dla mnie samej w tym kręgu też pozostają zmarli, których nigdy nie pytałam, czy podzielają moją wiarę i miejsce w Kościele, ale którzy uczyli mnie, jak się służy człowiekowi na miarę Kazania na Górze.

W tym sensie najgłębszą prawdę zawiera przypomnienie Benedykta XVI: „Kto wierzy, nigdy nie jest sam". ©℗

▪ „TP" nr 45/2012

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Ś.† P.

Pani
Józefy Hennelowej

W jednym ze swoich felietonów, opublikowanym 3 kwietnia 2013 r. na portalu KlubTygodnika.pl, napisała: „Dziękuję już czysto prywatnie za życzenia pod moim adresem; to naprawdę pocieszające poczuć się w Klubie »Tygodnika Powszechnego« jak w domu przyjaciół”.
Dziękujemy, Pani Ziuto, za lata życzliwości i wsparcia.

Dziękujemy za wszystkie teksty publikowane przez kilkadziesiąt lat na łamach „Tygodnika”, z których wielu z nas czerpało garściami, które tak często były podpowiedzią w codziennych rozterkach, motywacją do pracy, otuchą w trudnych chwilach.

Dziękujemy za służbę dla Polski i dla Kościoła.

Dziękujemy za troskę o drugiego Człowieka.

Rodzinie, bliskim, wszystkim pogrążonym w żałobie składamy wyrazy współczucia.

Członkowie Klubów
„Tygodnika Powszechnego”

W imieniu Wydawnictwa WAM
serdecznie dziękujemy

Ś.† P.

Józefie Hennelowej

za wspaniałą współpracę
pełną kultury osobistej
i pogody ducha.

Jesteśmy wdzięczni za jej niezależność
w myśleniu i pisaniu.

Budzi nasze sumienia,
gdy autocenzura skłania
do omijania ważkich tematów.

Dyrekcja Wydawnictwa WAM

Fundacja Polcul
im. Jerzego Bonieckiego
żegna ze smutkiem

Ś.† P.

redaktor
Józefę Hennelową

która przez wiele lat
z oddaniem brała udział
w pracach Kapituły Fundacji.

Najbliższym Zmarłej
składamy
wyrazy współczucia.

Zarząd Fundacji Polcul

Z głębokim smutkiem i żalem przyjąłem wiadomość o śmierci

Ś.† P.

Józefy Hennelowej

znakomitej dziennikarki, felietonistki, publicystki,
przez wiele lat związanej z redakcją krakowskiego „Tygodnika Powszechnego”,
autorki licznych publikacji i opracowań,
ważnej postaci życia politycznego i społecznego Polski,
posłanki na Sejm X kadencji w latach 1989–1991 oraz posłanki na Sejm I kadencji 1991–1993.
Józefa Hennelowa walczyła o wolną i demokratyczną Polskę.
Była członkinią Rady Założycielskiej Ruchu Obywatelskiego Akcja Demokratyczna oraz Unii Demokratycznej.
Nigdy nie ustawała w swoich dążeniach do zmiany życia politycznego i społecznego.
Działała w wielu organizacjach i stowarzyszeniach,
była współzałożycielką Klubu Inteligencji Katolickiej w Krakowie,
należała do Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa
oraz Amnesty International.
Za wybitne zasługi w dziedzinie kultury oraz polityki została odznaczona m.in.
Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi,
Orderem Świętego Grzegorza Wielkiego oraz Medalem „Zasłużony dla Tolerancji”.
Za zasługi dla Krakowa została uhonorowana odznaką Honoris Gratia w 2007 r.

Rodzinie i Bliskim śp. Józefy Hennelowej
składam wyrazy głębokiego współczucia

Jacek Majchrowski
Prezydent Miasta Krakowa

Z ogromnym żalem i poczuciem straty
nie do zastąpienia przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Ś.† P.

Józefy Hennelowej

ostatniej spośród redaktorów „pierwszego” „Tygodnika Powszechnego” i „Znaku”,
publicystki do końca długiego życia wiernej swemu pisarskiemu powołaniu,
zaangażowanej członkini Kościoła, który był jej domem, radością i źródłem bólu,
współzałożycielki ROAD-u i Unii Demokratycznej, posłanki w Sejmie kontraktowym i w Sejmie I kadencji,
działaczki społecznej czynnej w wielu organizacjach, osoby głęboko wrażliwej na ludzkie biedy,
zawsze gotowej do wsparcia i pomocy potrzebującym.

Wdzięczni za mądrość jej ostatnich refleksji,
którymi nas obdarzała w cyklu „Coraz bliżej albo coraz mniej”,
ufamy, że dziś stanęła twarzą w twarz w obliczu Pełni.

Agnieszce, Teresie, Franciszkowi i wnukom
wyrażamy głębokie i serdeczne współczucie

Przyjaciele z wydawnictwa
i z miesięcznika ZNAK

WIARA

BOJÓWKI RÓŻAŃCOWE

Żołnierze Chrystusa wkładają wiele wysiłku, by tworzyć wrażenie zdyscyplinowanych, groźnych i... pobożnych. To nowy zestaw w polskim Kościele.

ZUZANNA RADZIK

„Chcę tylko sprawować się w sposób godny Ewangelii Chrystusowej i dlatego pragnę wziąć udział w trudach i przeciwnościach jako dobry żołnierz Chrystusa" – brzmią słowa przysięgi podczas ślubowania pierwszych Żołnierzy Chrystusa w stulecie Cudu nad Wisłą.

Jest wieczór 15 sierpnia. Przy sanktuarium Jana Pawła II w Radzyminie, które stanowić ma wotum za bitwę warszawską, odprawiana jest msza, po której nastąpi nocne czuwanie. Następnego dnia odbędzie się tu msza z ordynariuszem warszawsko-praskim, teraz odprawia na zaproszenie proboszcza łowicki biskup pomocniczy Wojciech Osial. Żołnierze Chrystusa (i kilka Żołnierek) powtarzają za swoim duszpasterzem słowa przysięgi:

„Pragnę walczyć z tym, aby z jednej strony nie ulegać tendencjom tak zwanego Kościoła otwartego, który głosi fałszywe miłosierdzie, potrzebę pogodzenia się ze współczesną kulturą i uznania wszelkiego rodzaju ideologii na froncie walki z duchem tego świata. Pragnę walczyć ze złem, które zostało uznane za coś oczywistego w mojej rodzinie. Pragnę walczyć z błędnymi przekonaniami moich przyjaciół i znajomych. Pragnę walczyć o to, aby nie godzić się, że coś jest normalne, skoro to tak jest uznane w środkach społecznościowych. Pragnę walczyć z tym, co nie pozwala na zachowanie czujności i trwania na modlitwie. Aby nie dać się zaskoczyć niespodziewanym atakom demona przez tak zwaną okazję".

Pod kościelnym radarem

Po kolei podchodzą do stopni polowego prezbiterium: pasowanie szablą, ucałowanie relikwiarza, zawieszenie na szyi różańca. Pierwszy jest założyciel grupy Paweł Jaworski i potem to on pasuje szablą kolejnych. Duszpasterz uczestniczący w tym rytuale ma na sobie stułę z logotypem grupy. To zastanawiające, bo na stule powinno się umieszczać jedynie symbole krzyża, zdobienia motywami eucharystycznymi czy ewentualnie wizerunki świętych lub symbole zakonów. Logotyp nieformalnej wspólnoty umieszczony na szatach liturgicznych jest nadużyciem.

Dowódca kończy uroczystość wyprowadzeniem od ołtarza dwóch chorągwi, jednej z czerwonym krzyżem na białym tle, a drugiej z białym krzyżem na błękitnym tle, obu z logotypem wpisanym w centrum krzyża. „Boża Husaria" – widać napis na plecach koszulki jednego z wymaszerowujących, na nagraniu zrobionym przez obecnego na miejscu dziennikarza OKO.press.

Kilka dni później próbuję ustalić, kto jest autorem tekstu przysięgi i czemu takie zaprzysiężenie zostało włączone w liturgię.

Biskup Osial tłumaczy, że tylko odprawiał mszę: – Byłem tam jako gość, zupełnie poza tym.

Proboszcz i kustosz sanktuarium w Radzyminie, ks. Krzysztof Ziółkowski, wyjaśnia, że Żołnierze Chrystusa i inne męskie grupy zgłosili się sami, a jemu przydała się pomoc w przygotowaniu uroczystości, organizacji parkingów i procesji. Czy sprawdzał, co to za grupy? Wie, że mają w duchowości odmawianie różańca i walkę duchową, walkę ze swoją słabością, dbanie o rodziny, o czym mówi z aprobatą. Wie też, że chodzą w Marszu Niepodległości. Na sugestię, że to nacjonalistyczna impreza, rzuca słuchawką.

O pomoc w ustaleniu, kim jest tajemniczy duszpasterz, kto napisał przysięgę i kto umieścił ją w kontekście liturgicznym, proszę biuro prasowe kurii warszawsko-praskiej. Dostaję kontakt do przyjmującego przysięgę o. Wojciecha Ciaka oraz szefującego Żołnierzom Chrystusa Pawła Jaworskiego. Wciąż jednak nie jest łatwo coś ustalić. Ojciec Ciak, karmelita bosy z warszawskiego klasztoru na Solcu, słysząc, że dzwonię z „Tygodnika Powszechnego", rozłącza się. Paweł Jaworski długo nie odpowiada na maila z pytaniami, a potem prosi o kontakt telefoniczny, lecz znowu długo nie odbiera.

↦

JAN BIELECKI / EAST NEWS

ŻOŁNIERZE CHRYSTUSA
ŻOŁNIERZE
AVE
MARIA
CHRYSTUSA

↦ Na pytanie, jakie zasady przyjmują diecezja i parafie w podejmowaniu współpracy z grupami nieformalnymi deklarującymi się jako katolickie ruchy religijne, dostaję odpowiedź rzecznika prasowego, Jakuba Troszyńskiego: „Nadrzędną i jedyną zasadą w podejmowaniu działań duszpasterskich z jakimikolwiek ruchami czy grupami formacyjnymi w diecezji warszawsko-praskiej jest dobro duchowe wiernych, ich wzrost w świętości i łasce Bożej oraz budowanie Królestwa Bożego zgodnie z wolą Jezusa Chrystusa. Każda grupa, która prosi o opiekę duszpasterską, powinna otrzymać takie wsparcie, nie być pozostawiona sama sobie. Kiedy pojawiają się wątpliwości co do działalności danej grupy, należy prowadzić dalszą formację w celu kształtowania właściwych postaw. Żołnierze Chrystusa jako grupa wiernych o charakterze religijnym funkcjonują w ramach działalności duszpasterskiej naszej diecezji na takich samych zasadach jak wszyscy wierni. Korzystają z sakramentów i angażują się w życie poszczególnych parafii po uzgodnieniu form tego zaangażowania z księdzem proboszczem. Aktualnie prowadzone są prace, nadzorowane przez Kurię, mające na celu zredagowanie statutu tej grupy".

Jeśli chodzi o uczestnictwo różnych grup religijnych w uroczystościach kościelnych, ks. Paweł Śliwiński, rzecznik kurii warszawskiej, na której terenie Żołnierze Chrystusa brali udział w liturgii, różańcowym marszu oraz odmawiali różaniec na schodach kościoła św. Krzyża, odpowiada: – To na gospodarzach kościołów, proboszczach i rektorach spoczywa obowiązek weryfikacji danej grupy wtedy, gdy chodzi o liturgię w danym kościele. Często mamy do czynienia w archidiecezji warszawskiej z próbami „legitymowania się" w taki sposób różnych grup wzbudzających w rzeczywistości duże wątpliwości, właśnie poprzez liturgię w znanym kościele, dlatego czujność duszpasterzy jest bardzo potrzebna.

I dodaje: – Często mamy do czynienia ze zjawiskiem powstawania nowych, początkowo nieformalnych grup, a weryfikacja, by poznać ich owoce, wymaga czasu. Odpowiedzialność za to spoczywa również, rzecz jasna, na biskupach miejsca bądź ordynariuszach (czyli np. przełożonych zakonnych), w zależności od tego, czy ksiądz prowadzący grupę jest księdzem diecezjalnym, czy też zakonnym.

YOUTUBE / ROBERT KOWALSKI / KAMERA OKO.PRESS

Ślubowanie Żołnierzy Chrystusa, Radzymin, 15 sierpnia 2020 r.

Wygląda na to, że na razie Żołnierze Chrystusa przechodzą miękko pod kościelnym radarem. W istocie nikt takich niezależnych inicjatyw świeckich nie sprawdza dokładnie. Warto się im jednak przyjrzeć, bo rośnie nam różańcowa bojówka.

Tylko dla mężczyzn

Zanim Żołnierze Chrystusa zwrócili na siebie uwagę przysięgą składaną podczas obchodów setnej rocznicy bitwy warszawskiej, dali się zapamiętać ze schodów kościoła św. Krzyża, gdzie stanęli z różańcami kilka dni po zamieszkach z udziałem demonstrantów i policji podczas aresztowania Margot. Jeszcze wcześniej z innymi ruchami męskimi zrzeszonymi w tzw. Męskim Różańcu szli procesją z katedry św. Jana do figurki Matki Bożej Pasawskiej na Krakowskim Przedmieściu. Te nabożeństwa odbywają się w pierwszą sobotę miesiąca.

Wśród męskich grup, które gromadzą się z tej okazji, wyróżniają ich koszulki z napisami „Żołnierze Chrystusa", „Niewolnicy Maryi", czasem „Armia Boga", innym razem z logotypem.

Żołnierze Chrystusa – to brzmi dumnie. Niestety samego zainteresowanego nie można zapytać, czy życzyłby sobie powstania takiej formacji. Można na nich spojrzeć jak na część zjawiska, które widoczne jest od lat. Oto katolickie grupy skierowane do mężczyzn przybierają nazwy paramilitarne. Można pójść w styl bardziej retro, prezentowany przez Rycerzy Maryi (płaszcze), a można w nowocześniejszą stylówkę właśnie wspomnianych Żołnierzy Chrystusa. Są też Mężczyźni Jana Pawła II i kilka podobnych grup. Wszyscy razem nazywają siebie Wojownikami Maryi.

Zdobywcy, odkrywcy, rycerze, a teraz żołnierze – tak w Kościele próbujemy trafić do mężczyzn. Duszpasterstwo stanowe w poetyce macho-rekonstrukcji. Te środowiska spotykają się na Oblężeniu Jasnej Góry – pielgrzymce mężczyzn i męskich grup.

Można się zżymać, ale przy umiarkowanym zaangażowaniu mężczyzn w Kościele grupy spod szyldu „tylko dla mężczyzn" (only4men.pl to adres strony internetowej Wojowników Maryi) muszą budzić entuzjazm duszpasterzy.

Imaginarium

Pobożność Żołnierzy Chrystusa jest mocno maryjna, ale też podkręcona patriotycznie. Jest Matka Boska od cudu nad Wisłą i pokonania bolszewików, a kto jest współczesnym bolszewikiem, to już chyba nie trzeba tłumaczyć. Jest wiedeńska wiktoria (ochrona Europy przed islamem), Matka Boska zatem jest też hetmanką husarii, a Polska ma być już wyspą chrześcijańską w morzu islamu u swoich granic. Są żołnierze wyklęci, powstańcy. Ale też antyszczepionkowość i niewiara w pandemię. Straszenie nie tylko LGBT, ale też genderem i ateizmem.

Tę gonitwę motywów widać w identyfikacji wizualnej. Najnowszy logotyp widoczny na koszulkach Żołnierzy Chrystusa w Raszynie to zły sen grafika. Mieści się w nim krzyż św. Benedykta (z egzorcyzmem), godło Polski, pieta Michała Anioła z bazyliki św. Piotra, motyw witraża z gołębicą z tej samej bazy-

liki, biało-czerwona błyskawica. I napisy: „Żołnierze Chrystusa", „Ave Maria", ale też „Służby Specjalne św. Michała Archanioła". Całość kompozycji przypomina trochę czaszkę, a trochę głowę szturmowca z filmu *science fiction*.

Problem jednak nie tylko w duchowości oblężonej twierdzy oraz dziwnym imaginarium. Wśród symboli i gadżetów Żołnierzy Chrystusa znajduję różaniec z inną wersją ich logotypu: ten sam kształt głowy szturmowca (który kojarzy się nieprzyjemnie), z wpisanymi weń literami Alfa i Omega oraz... celtyckim krzyżem. Symbolem dominacji białej rasy.

Lider

Czy szef Żołnierzy Chrystusa mógł nie wiedzieć, czym dekoruje różaniec? Ponieważ celtyk jest powszechnie używany w środowiskach narodowych, z którymi Paweł Jaworski zdaje się związany, to trudno uwierzyć, by trafił tu przypadkiem.

Jaworski na ich stronie pisze o sobie: „Założyciel i lider słynnej chrześcijańskiej wspólnoty Żołnierze Chrystusa, pragnie łączyć wszystkie wspólnoty chrześcijańskie w Polsce i na świecie". To być może jedyne inkluzywne przesłanie w defensywnym z reguły podejściu, jakie prezentują. Przedstawiający się jako raper Jawor (rapuje od niedawna) i działacz społeczny, jest również komendantem organizacji Wolność i Niezawisłość Inspektorat Warszawa (jest to stowarzyszenie zarejestrowane w 2018 r. z kombatantem WiN jako przewodniczącym i grupą młodszych działaczy). Nawrócony parę lat temu, zaczął angażować się patriotycznie i tworzyć swoją wspólnotę.

Sądząc po profilu, WiN Inspektorat Warszawa stwarza wrażenie grupy dość enigmatycznej, promującej a to tradycje żołnierzy wyklętych, a to inne wydarzenia historyczne i treści patriotyczne. Zobaczymy zdjęcia z treningów strzeleckich oraz komendanta i jego ludzi w mundurach z bronią w lesie. Rekonstrukcja partyzantki? Niezupełnie, występują we współczesnych mundurach, Jaworski w berecie z orzełkiem, gwiazdkami i naszywką WiN.

Obie grupy łączy postać szefa, obie wymiennie biorą udział w patriotycznych i narodowych imprezach. Na przykład na Marszu Powstania Warszawskiego Jaworski staje na Rondzie Dmowskiego na scenie Roty Niepodległości z hasłem

Pobożność Żołnierzy Chrystusa jest mocno maryjna, ale też podkręcona patriotycznie. Jest Matka Boska od cudu nad Wisłą i pokonania bolszewików.

„Normalna rodzina – silna Polska". Rota Niepodległości to wyłamana z ruchu narodowego grupa Roberta Bąkiewicza. Jaworski przemawia jako komendant WiN: „Bóg mnie dotknął od momentu, gdy zaczęła napływać fala islamu do Europy. Obserwuję ten proces od czterech-pięciu lat. Wróg przybrał teraz zupełnie inną formę. Nasi bohaterowie walczyli z widzialnym wrogiem, walczyli z czołgami, karabinami. Teraz jest inna wojna. Ta przelana męczeńska krew wylewa teraz owoc, my jesteśmy owocem. Musimy walczyć o przyszłe pokolenia. Jest teraz atak. O te wartości, za które przelali krew nasi bohaterowie. Za Boga, za honor i za ojczyznę. W nas jest teraz jedyna nadzieja, przyszłe pokolenia są bardzo zagrożone".

Wypomina zgromadzonym podziały, które powodują słabość u walecznych potomków najlepszej jazdy na świecie, husarii. „Musimy stanąć pod sztandarem, sztandarem biało-czerwonym. Sztandarem Boga, z Chrystusem na ustach musimy ratować Polskę. Musimy bronić wartości narodowych. (...) Prawdziwe męstwo to jest się upokorzyć. Zrozumieć, że nie ja tu rządzę. Ta pycha nas dzieli. Musimy się zjednoczyć, bracia, przyszłe pokolenia są w wielkim niebezpieczeństwie: LBGT [wymawia: elbiegete – ZR]. Co to się dzieje w naszej ojczyźnie? Kilka lat temu to było nie do pomyślenia, a teraz pozwalamy na to. Nie możemy, bracia, musimy się zjednoczyć i walczyć. Musimy się zjednoczyć i iść razem w prawą stronę. Z okrzykiem Chrystusa i Maryi na ustach, któż jak Bóg. Amen".

Osoba szefa łączy też inne środowiska. Jaworski nagrywa teledyski razem ze Stopą (raperem oskarżanym o teksty antyukraińskie i antysemickie) i Karatem (raperem i trenerem boksu). Prowadzi również program „Za Boga i Ojczyznę" w prawicowej internetowej telewizji wRealu24.

W swoim programie Jaworski występuje na tle oszalowanego deskami okopu, a gości prezentuje w swoich kanałach społecznych, łatwo więc stwierdzić, kto u niego bywa: abp Jan Paweł Lenga, Grzegorz Braun, Wojciech Cejrowski, Tymoteusz Zych z Ordo Iuris (sąsiad z budynku Pasty, z którego nadaje telewizja), Robert Bąkiewicz, Michał Krajski, Marcin Dybowski (ten od przeniesionej do internetu Księgarni Patriotycznej Antyk, działającej wcześniej w piwnicach kościoła Wszystkich Świętych w Warszawie i prowadzącej tam wydawnictwa antysemickie – „TP" pisał o niej już w 2003 r.). Ta lista sporo mówi o profilu programu. W najbliższym czasie wystąpi znany z ostrych felietonów w katolickim tygodniku „Idziemy" i na tradycjonalistycznej platformie PCh24.pl jezuita o. Dariusz Kowalczyk.

WNIOSEK JEST TAKI, że w Kościele wolno wszystko. Wystarczy wydrukować koszulki z grafiką i wyglądać schludnie. Zaplanować duchowe praktyki, maszerować w centrum miasta, klęczeć, bywać w katedrze. Nazwać się ruchem religijnym. I być mężczyzną odwołującym się do tradycji. Nikogo nie zastanowią związki z ruchem narodowym ani dziwaczna paramilitarność. Na nikim nie zrobią wrażenia niedawne słowa papieża: „Bóg nie potrzebuje być przez nikogo broniony i nie chce, aby Jego imię było używane do terroryzowania ludzi. Proszę wszystkich, by przestali wykorzystywać religię do wzniecania nienawiści, przemocy, ekstremizmu i ślepego fanatyzmu".

Pytanie, czy to tylko wolna partyzantka człowieka nawróconego na miłość Boga i ojczyzny? Czy jednak za Żołnierzami Chrystusa stoi coś bardziej brunatnego?

© ZUZANNA RADZIK

RDC POLSKIE RADIO

ZUZANNA RADZIK opowie o swoim tekście Grzegorzowi Chlaście w środę 2 września o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.

| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

Maszyna do nadużyć

MASSIMO FAGGIOLI

Brak precyzyjnych reguł awansu w Kościele sprawia, że rządzą nim mechanizmy protekcji, których efektem jest nieformalna sieć powiązań poza wszelką kontrolą.

PABLO MARTINEZ MONSVAIS / AP / EAST NEWS

Prezydent George W. Bush, kard. Theodore McCarrick, arcybiskup Waszyngtonu, i John Roberts, prezes Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, po mszy św. na rozpoczęcie sesji Sądu Najwyższego. Waszyngton, 2 października 2005 r.

Theodore McCarrick był kardynałem, biskupem Waszyngtonu, jednym z najbardziej prominentnych hierarchów, doradcą prezydentów USA i papieży, licząc od Jana Pawła II. Oskarżony w 2018 r. o molestowanie seksualne kleryków oraz osób nieletnich, został usunięty z kolegium kardynałów, suspendowany i przeniesiony do stanu świeckiego. Od jego sprawy zaczął się nowy etap historii amerykańskiego Kościoła: stało się jasne, że spora część amerykańskich biskupów musiała wiedzieć wcześniej o krążących od lat oskarżeniach. Posypały się doniesienia, prasa informowała o kolejnych biskupach oskarżonych i ukaranych za tuszowanie przestępstw księży. Wiadomo, że informacje o podwójnym życiu McCarricka docierały też do Watykanu. Można więc rzec, że część odpowiedzialności za postępowanie, a nawet przestępstwa, wysoko postawionych dostojników kościelnych spada także na papieży.

Oczywiście nadużycia seksualne to problem nie tylko katolickich duchownych – do przestępstw dochodziło również w Kościołach niekatolickich, wspólnotach ekumenicznych, w religijnych i niereligijnych wspólnotach świeckich, a zjawisko to ma wiele aspektów (prawny, teologiczny, polityczny, kulturowy). Ale „rys katolicki" jest tu szczególnie istotny. Kościół katolicki stanął w obliczu kryzysu autorytetu porównywalnego jedynie z czasami reformacji, gdy Marcin Luter wykazał, jak papiestwo i podległe mu instytucje są dewastowane przez systemową korupcję.

Bo kryzys seksualnego wykorzystywania nieletnich przez duchownych jest kryzysem systemowym.

W biskupiej sieci

W połowie lipca dwóch uczonych (Stephen Bullivant, profesor teologii i socjologii religii na St. Mary's University w Londynie, oraz Giovanni Sadewo, badający sieci społeczne na Swinburne University of Technology w Melbourne) opublikowało interesujący artykuł „Władza, kariera i protekcja: biskupi katoliccy, sieci społeczne i sprawa(y) ekskardynała McCarricka". Praca jest pionierska, nieco prowokacyjna, ale pozwala zrozumieć złożoność problemu nadużyć seksualnych w Kościele katolickim, na który patrzymy jak na normalną, lepiej czy gorzej zarządzaną, instytucję.

Posługując się metodą analizy sieciowej SNA (*Social Network Analysis*), Bullivant i Sadewo opracowali model wzajemnych wpływów biskupów, ze szczególnym uwzględnieniem roli ekskardynała McCarricka. Przeanalizowali oficjalne dane Konferencji Episkopatu USA (i – dla porównania – Konferencji Biskupów Katolickich Anglii i Walii), by pokazać, jak splecione jest środowisko, w którym dochodzi do nadużyć seksualnych i/lub ich ukrywania czy ignorowania.

W analizie pojawiają się dwa zbieżne elementy. Pierwszy to fakt, że czyny McCarricka były znane (mniej lub bardziej szczegółowo) dużej liczbie osób z kręgów kościelnych i że kardynał mógł liczyć na ich milczenie ze względu na władzę, jaką dysponował (dzięki powiązaniom z innymi kręgami kościelnymi). Autorzy sugerują, że jednym z powodów tego milczenia mogły być także relacje homoseksualne, które wyjawione stałyby się przyczyną skandalu, choćby nie były przestępstwem (czyli nawiązywały je dobrowolnie dorosłe osoby). Drugim elementem była rola, jaką McCarrick odgrywał zarówno w Rzymie, jak i w USA: był „kingmakerem", najpotężniejszym kardynałem, który wpływa na kościelne kariery tak instytucjonalnie (będąc zaangażowanym oficjalnie w proces wyłaniania kandydatów do nominacji biskupich), jak i nieformalnie (poprzez inne osoby uczestniczące w tym procesie). Zresztą ekskardynał McCarrick wciąż znajduje się w centrum potężnego układu – wielu biskupów z kręgu jego wpły-

wów jest już co prawda na emeryturze, ale niektórzy nadal sprawują urzędy.

Model sieci Kościoła amerykańskiego, angielskiego i walijskiego, jaki stworzyli Bullivant i Sadewo, mógłby służyć za wzór do przygotowania także kolejnych symulacji, przydatnych do analizy wzajemnych powiązań w episkopatach innych krajów. Wydaje się to szczególnie potrzebne po wejściu w życie *motu proprio* papieża Franciszka („Vos estis lux mundi"), którego celem jest ukrócenie procederu tuszowania zarzutów o molestowanie seksualne. Dokument, ogłoszony 9 maja 2019 r. na trzyletni okres próbny, wprowadza tzw. rozwiązanie metropolitalne, umożliwiające pociągnięcie do odpowiedzialności biskupów i przełożonych kościelnych, dotychczas trudne do przeprowadzenia.

Zgodnie z nowymi przepisami, gdy pojawia się oskarżenie przeciwko biskupowi (i nie jest ono w oczywisty sposób fałszywe), dochodzenie z mandatu Stolicy Apostolskiej ma prowadzić arcybiskup metropolita. Jeśli zaś oskarżonym byłby sam metropolita, za postępowanie sprawdzające odpowiada biskup z metropolii o najdłuższym stażu. Te unormowania są oczywiście sporym krokiem naprzód, jeśli chodzi o pociągnięcie biskupa do odpowiedzialności, ale trudno oprzeć się wrażeniu, że ignorują „strukturalny konflikt interesów" – dochodzeniami przeciwko jednym biskupom zajmują się inni biskupi, w wielu przypadkach należący do tego samego układu władzy.

Analiza Bullivanta i Sadewo, choć obiecująca, ma też ograniczenia. Po pierwsze, cechuje ją „jednoprzyczynowość" – można odnieść wrażenie, że za proceder ukrywania skandali pedofilskich odpowiada jedynie swoista „kultura kościelna", podczas gdy przyczyn tego procederu zwykle jest więcej. Po drugie, poddano analizie układy i powiązania, które obejmują tylko duchownych, pomijając istotną obecność osób świeckich. Trzecim ograniczeniem jest brak lub marginalność pionowego wymiaru tych sieci, innymi słowy: autorzy pomijają fakt, że wszyscy biskupi w konstelacji McCarricka byli jednak nominowani przez papieża – owszem, w procesie prowadzonym przez kościelnych urzędników (nuncjusza, innych biskupów), ale ci w końcu też zostali wybrani przez papieża, którego odpowiedzialność trudno umniejszać czy pomijać.

Mechanizm protekcji

Z analizy socjologów można wysunąć jeszcze jeden wniosek: za kryzysem nadużyć seksualnych w Kościele kryje się kryzys biskupstwa. Aby lepiej zrozumieć mechanizmy protekcji, jakie funkcjonują w Kościele, sięgnijmy do historii, szczególnie tej, która bada różne systemy protekcji we wczesnej nowożytności.

Biskupstwo jako etap na ścieżce kościelnej kariery ma długą i skomplikowaną tradycję, której nie da się oddzielić od historii europejskich elit społecznych i ekonomicznych. Jedną z odpowiedzi Soboru Trydenckiego (1545-63) na reformację i jej oskarżenia o korupcję w Kościele był zakaz nepotyzmu (sesja XXI, kan. 1 – O reformie Kościoła), choć niezbyt jeszcze skuteczny, skoro wynoszenie krewnych na wysokie stanowiska kościelne skończyło się w papieskim Rzymie dopiero w 1692 r., wraz z decyzją Innocentego XII o zlikwidowaniu stanowiska kardynała-bratanka (*cardinalis nepos*). W niestabilnym systemie władzy (w końcu monarchia papieska była elekcyjna, a nie dziedziczna) najbliższy członek rodziny na ważnym stanowisku dawał poczucie stabilizacji, a do jego najważniejszych zadań należało kreowanie innych kardynałów. (W dzisiejszej strukturze Kościoła można jeszcze znaleźć ślad po „kardynale-bratanku" – w pewnym sensie jego spadkobiercą jest kardynał sekretarz stanu, najpotężniejszy watykański hierarcha, zaraz po papieżu).

Watykański system wyłaniania kardynałów znalazł odzwierciedlenie także na niższych poziomach i służył kreowaniu elit biskupich w całym katolickim świecie, zwłaszcza w Europie. Nie zawsze liczyło się pokrewieństwo, często dość skomplikowana sieć relacji patron–klient. Zresztą gdy pozycja kardynała-bratanka została zlikwidowana i zerwano z więzami krwi, system karier opierał się na „zawieraniu sojuszy", co już stanowiło krok ku budowie całkiem nowoczesnego mechanizmu. Kościół musiał dostosowywać się do poziomu, na jaki wchodziły nowoczesne społeczeństwa, i przejść od struktury feudalnej do państwa administracyjnego. Miało to wpływ na kariery biskupów (co widać choćby we wzroście liczby hierarchów posiadających wykształcenie z zakresu prawa). Pod koniec XVII w. obserwujemy zanik wielu charakterystycznych cech zepsucia renesansowego i barokowego papieskiego Rzymu. Częścią ścieżki awansu stało się uznanie zasług i cnót – w ten sposób stary system feudalnej lojalności łączył się z nowoczesnym systemem zarządzania państwem, a wymóg osobistej wierności został zastąpiony wymogiem dobrej administracji.

Jeśli porównamy ścieżki karier w Kościele katolickim z tymi, jakie obowiązywały w europejskich monarchiach (bo system protekcji istniał również tam, może w mniejszym stopniu, ale reguły gry były podobne), ujrzymy – paradoksalnie – coraz mocniejszy modernizacyjny rys katolicyzmu: wraz z oficjalnym obaleniem nepotyzmu system kościelny stawał się nawet „nowocześniejszy" niż systemy społeczne, w których Kościół działał. Ustrój *quasi*-feudalny z wolna łączył się z nowoczesnym sposobem administracji, opartym na sformalizowanych i zinstytucjonalizowanych ścieżkach kariery oraz zasadach organizacji właściwych współczesnej, prawno-racjonalistycznej biurokracji.

Wspomniany „system sojuszy" przetrwał do dziś w całkiem dobrej formie. W drodze na kościelne stanowiska wciąż ważna jest solidarność grupowa: może ona mieć formę popierania rodaków, duchownych z tego samego miasta bądź kraju, z tej samej szkoły lub zakonu; jak też „sztuczna solidarność", tworzona poprzez różnego rodzaju układy i spiski. Można też mówić o „solidarności poziomej" (przyjaźń lub związki między równymi sobie) i – a może przede wszystkim – o „solidarności pionowej" (niemal jak pomiędzy patronem a klientem).

Co nam zostało z tamtych lat

W XXI w. mieszanka tych systemów nadal jest widoczna, znalazła się wręcz w centrum dzisiejszego kryzysu katolickiego biskupstwa. Pod wieloma względami system osobistej wierności jest wciąż mocny, a nawet ważniejszy od wymogu dobrej administracji. Widać to choćby w sposobie rekrutacji biskupów, ale także w braku kontroli nad nimi i sankcji, nawet pod obowiązującym w chwili obecnej prawem. Bo gdy we wczesnych czasach nowożytnych system karier duchownych musiał radzić sobie z zewnętrznymi systemami kontroli (królowie i książęta, arystokracja), dziś uzależniony jest jedynie od oceny wewnętrznej, pozostającej w rękach episkopatu. ↦

Nie znikło też rozpowszechnione kiedyś tworzenie beneficjów, niezbędnych do przekształcania dochodów kościelnych w świeckie fortuny. Można powiedzieć, że jedynie ewoluowało: nie ma już drenażu majątku z Kościołów peryferyjnych przez prałatów rzymskich, ale istnieje wciąż przepływ pieniędzy pomiędzy prowincją a centralą, między Kościołami lokalnymi a Rzymem. Jest on zwykle nieformalny, dzięki czemu tak trudno o twarde dowody (np. w archiwach) na związek transferów finansowych z ukrywaniem nadużyć seksualnych.

Widoczna zmiana dokonała się także w zakresie obowiązków biskupich. Przez długi czas były one bliskie funkcjom urzędnika cywilnego wczesnych wieków chrześcijaństwa zwanego *defensor civitatis*, ze wszystkimi przynależnymi mu polityczno-dyplomatycznymi powiązaniami. We wczesnej nowożytności biskupów można było podzielić na różne warstwy: prałatów rzymskich, potężnych biskupów dzierżących w swoich diecezjach świecką władzę polityczną i „biskupi proletariat" pozostający na marginesie systemu protekcji. Dziś daleko im do dawnych „książąt Kościoła", będących emanacją monarchii papieskiej, stali się natomiast biurokratami średniego i niższego szczebla. Instytucjonalne przejście od kurialnego systemu konsystorialnego i zarządzania kolegialnego (z niejasnym i elastycznym przydziałem zadań) do biurokratycznego absolutyzmu, z jego księgowymi mechanizmami weryfikacji, szło w parze z przejściem od pasożytnictwa biskupów na statusie szlacheckim do początków biurokratycznej wydajności.

I dzięki temu coraz częściej traktuje się biskupstwo jako rodzaj władzy administracyjnej, którą można poddać audytowi, a sprawujących ją pociągnąć do odpowiedzialności: przez papiestwo, przez kościelnych bądź świeckich akcjonariuszy, a nawet przez zewnętrzne, świeckie urzędy kontroli społecznej.

A że minęły już czasy, gdy o nominacji biskupiej decydował cesarz bądź król, nie ma żadnego powodu, by odpowiedzialnością za nietrafione decyzje personalne obarczać kogoś innego niż papieża. W Kościele katolickim to on wyznacza nowych biskupów, może poza kilkoma rzadkimi wyjątkami (niektóre Kościoły wschodnie wybierają biskupów na synodach, kilka kapituł katedralnych w Niemczech, Austrii i Szwajcarii korzysta ze starożytnego przywileju wskazywania swego kandydata, a w Chińskiej Republice Ludowej – tym razem na mocy świeżego przywileju – biskupów ma prawo wybierać władza świecka).

Dobre serce nie wystarczy

Można zapytać: jaka korzyść płynie z badań metodą analizy sieciowej, a także z przytaczanych przykładów z odległej historii, dla dyskusji o kryzysie nadużyć seksualnych w Kościele? Być może tylko taka – przestroga, aby nie skupiać się jedynie na opisywaniu moralnego upadku jednostek, ale patrzeć na problem w całej jego dynamice, której częścią są sklerykalizowane, a często i skorumpowane struktury. Oczywiście nie chodzi o to, by kwestionować sens biskupstwa. Bez niego nie ma Kościoła. Konstytucja „Lumen gentium" Soboru Watykańskiego II uczy, że „biskupi z ustanowienia Bożego stali się następcami Apostołów, jako pasterze Kościoła, kto tedy ich słucha, słucha Chrystusa, a kto nimi gardzi, Chrystusem gardzi i Tym, który posłał Chrystusa". Jednak sposób, w jaki są wybierani, oraz ramy, w jakie ich posługa jest ujmowana, wcale nie zostały ustanowione przez Boga. A to znaczy, że mogą i powinny się zmieniać.

Reforma posługi biskupiej wydaje się konieczna i nie może sprowadzać się do złudnego przekonania, że wystarczy dobre serce, by odpowiedzialnie pełnić tę funkcję. Fałszywym rozwiązaniem są też wizje postepiskopalnego Kościoła katolickiego. Reforma musi się zacząć od poważnego przemyślenia przyczyn, za sprawą których biskupstwo stało się synonimem kościelnej kariery i z powodu których wszyscy znaleźliśmy się w tym miejscu, w jakim jesteśmy – a więc w poważnym kryzysie.

© MASSIMO FAGGIOLI
przeł. MK, oprac. EA

Autor (ur. 1970) jest profesorem Uniwersytetu Villanova (Filadelfia, USA), wykładowcą historii Kościoła i teologii historycznej oraz publicystą.

Nieważne czy ważne

EDWARD AUGUSTYN

Błąd w sprawowaniu sakramentu chrztu może bardzo skomplikować życie. Przekonał się o tym duchowny z USA.

Matthew Hood był księdzem przez trzy lata. Choć tak naprawdę – nigdy nim nie był. W swojej pierwszej parafii, w Dearborn koło Detroit, robił wszystko, jak należy: odprawiał msze, spowiadał, chrzcił, udzielał ślubów, namaszczał chorych, a w maju tego roku nawet bierzmował z upoważnienia biskupa. W drugiej parafii zresztą też, tyle że krócej – raptem przez miesiąc. Potem dowiedział się, że nie jest księdzem. A nawet chrześcijaninem. I że nigdy nim nie był.

W marcu, gdy zaczęła się pandemia, ks. Matthew dostał od ojca niewielką przesyłkę. Ludzie zamknięci w domach robili rzeczy, na które wcześniej brakowało czasu: pan Hood np. przeglądał stare kasety wideo z rodzinnych uroczystości. Wysłał synowi nagranie chrztu, z 1990 r. Ten, oglądając film sprzed 30 lat, zauważył, że udzielający mu chrztu diakon, Mark Springer z parafii w Troy, zamiast „ja ciebie chrzczę" powiedział „my ciebie chrzcimy". Nic wielkiego. Raptem jedno słowo. Ale ks. Matthew pisał w seminarium pracę z sakramentologii, więc wiedział, że to może być ważne. Zadzwonił do swojego profesora teologii, potem poprosił o opinię znanego kanonistę, a na koniec przesłał kasetę kanclerzowi kurii. Wszyscy uspokajali, że zgodnie z zasadą domniemania ważności jego chrzest był skuteczny, a drobne błędy, wynikające z niezachowania prawa kościelnego, uzupełnia sam Kościół (reguła *Ecclesia supplet*).

Zresztą o tym, że diakon Springer chrzcił własnymi słowami, kuria biskupia wiedziała od dawna. A mówiąc bardziej precyzyjnie: dowiedziała się

VALAURIAN WALLER / DETROIT CATHOLIC

Ks. Matthew Hood przyjmuje drugi raz święcenia kapłańskie z rąk abp. Allena Vignerona. Katedra w Detroit, 17 sierpnia 2020 r.

w 1999 r. i natychmiast zakazała tej praktyki. Powołana wtedy komisja teologów zdecydowała, że udzielone przez niego chrzty należy uznać za ważne.

Tymczasem 6 sierpnia w odpowiedzi na przysłane przez kogoś innego zapytanie Watykan wydał dokument, w którym stwierdza nieważność chrztu, jeśli zmieniona została tradycyjna formuła. Ks. Matthew miał problem.

Poganin z przypadku

Skoro nigdy nie został faktycznie ochrzczony, to nie mógł przyjąć także innych sakramentów: komunii, bierzmowania i kapłaństwa. Prawo kanoniczne mówi, że „święcenia ważnie przyjmuje tylko mężczyzna ochrzczony" (kan. 1024). O nieważności tego sakramentu można zatem mówić w dwóch przypadkach: gdy osoba święcona nie ma chrztu lub nie jest męskiej płci. Wydawałoby się, że podczas kilkuletniego okresu przygotowania kandydata do kapłaństwa da się oba te warunki zweryfikować. A jednak.

By naprawić błędy z przeszłości, abp Allen Vigneron, biskup Detroit, zdecydował, że Matthew Hood powinien zostać jak najszybciej ponownie ochrzczony (właściwie nie ponownie, tylko po raz pierwszy skutecznie). Stało się tak 9 sierpnia. Podczas tej uroczystości otrzymał również sakrament bierzmowania i pierwszą komunię. Potem udał się na kilkudniowe rekolekcje, po których został wyświęcony na diakona, a po kolejnych dwóch dniach – 17 sierpnia – na księdza.

Osobisty problem ks. Hooda udało się szybko rozwiązać, ale dużo trudniej odkręcić to, co się przez trzy lata jego pracy nagmatwało. Nie mając ważnych święceń (a więc nie będąc księdzem) spowiadał, odprawiał msze, namaszczał umierających – a wszystko to nieważnie. Jedynie chrzcił zgodnie z prawem, bo – jak na ironię – do ważności chrztu nie jest potrzebny prawdziwy ksiądz, tylko prawdziwa formuła (dodajmy, że także prawdziwa woda i prawdziwa intencja). Dlatego diecezja Detroit prosi o kontakt wszystkich, którzy przyjmowali od niego sakramenty. Na pewno trzeba będzie powtórzyć tegoroczne bierzmowanie, być może również niektóre śluby (tu sprawa jest bardziej skomplikowana prawnie). Spowiedzi nieważnych powtarzać nie trzeba – póki człowiek żyje, ma szansę nadrobić zaległości. Gorzej z ostatnią spowiedzią i namaszczeniem umierających. Tu trzeba zdać się na Boże miłosierdzie. Abp Vigneron w liście do diecezjan uspokaja, że choć „łaska Boża jest związana z sakramentami, to nie jest związana sakramentami" (znowu różnicę robi jedno słowo). I że cieszyć się nią mógł zarówno ks. Matthew, który nie był księdzem, jak i wszyscy, którzy w dobrej wierze do niego przychodzili. Bo są na szczęście „pozasakramentalne drogi uświęcenia", jak mówią teologowie.

Msze do nadrobienia

Ostatnim trudnym problemem do rozwiązania są msze odprawiane nieważnie przez ponad trzy lata. Prawo kanoniczne jest bardzo rygorystyczne (głównie po to, by zapobiec nadużyciom finansowym): za każdą przyjętą ofiarę, bez względu na jej wysokość, należy odprawić oddzielną mszę w intencji wskazanej przez ofiarodawcę. Diecezja szuka teraz sposobu, by z tego obowiązku się wywiązać – być może ks. Matthew, mając wreszcie ważne święcenia, będzie musiał jeszcze raz te wszystkie msze (a było ich ponad 1000) odprawić. Może pomogą inni księża. „Hurtowe" załatwienie sprawy (odprawienie jednej lub kilku mszy we wszystkich intencjach) nie wchodzi w grę. Taką decyzję mógłby podjąć jedynie Watykan, ale robi to w bardzo rzadkich przypadkach (np. po śmierci księdza-oszusta, który przyjmował ofiary od ludzi, a nie odprawiał mszy).

Z ks. Matthew nie udało mi się skontaktować. Unika mediów. Rzeczniczka prasowa kurii w Detroit tłumaczyła, że należy dać mu czas na odpoczynek i powrót do równowagi po duchowym rollercoasterze. Dodała też, że ks. Hood w ciągu kolejnych dni będzie dzwonił do osób, którym udzielał sakramentów, aby osobiście poinformować o swoim i ich problemie. Diecezja szuka też ludzi, których diakon Springer ochrzcił w latach 1986-99. Wszystko wskazuje, że powinni ponownie przyjąć chrzest, komunię, bierzmowanie, a – w niektórych przypadkach – także zawrzeć małżeństwo.

Diakon Springer jest na emeryturze i nie wypowiada się na temat zamieszania, do jakiego doprowadził. Zaczynają się natomiast wypowiadać inni. W najbliższym czasie czeka nas ożywiona dyskusja teologiczna na tematy, które dotąd wydawały się czysto teoretyczne. Co ważniejsze – porządek łaski czy prawa? Czy sakrament to liturgiczny symbol, akt administracyjno-prawny, czy całkiem nowa rzeczywistość? Czy nie wystarczy uwierzyć w Boga, który działa, jak chce i kiedy chce? Czy trzeba wierzyć w Kościół i w to, że co zwiąże na ziemi, jest związane w niebie? I dlaczego dla jednych jest nieważne, czy było ważne, a dla innych wręcz przeciwnie? ©℗

Dziękuję p. Holly Fournier, dyrektor biura prasowego diecezji Detroit, za przesłanie szczegółowych wyjaśnień i fotografie, a ks. prof. Piotrowi Majerowi z UPJPII w Krakowie za konsultacje prawno-teologiczne.

JAK SPOKOJNY NARÓD STRACIŁ CIERPLIWOŚĆ

„Jestem gotowa działać. Tylko niech ktoś powie, co mamy robić. Jak się tworzy podziemie?" – pyta Katja, która dotąd nie interesowała się polityką.

WIKTORIA BIELIASZYN Z MIŃSKA

EVGENY ODINOKOV / SPUTNIK / EAST NEWS

Mińsk, 22 sierpnia 2020 r.

Mam 25 lat, urodziłam się rok po tym, jak Alaksandr Łukaszenka został prezydentem. Wcześniej nigdy nie dziwiło mnie, że u nas władza się nie zmienia. Że polityka zupełnie mnie nie dotyczy. Może tak było? – zastanawia się Julia, pielęgniarka ze szpitala w Mińsku.

Teraz uważa, że moment, w którym polityka zaczęła jej dotyczyć, to wiosna tego roku: – Pracuję w szpitalu w tzw. czerwonej strefie, czyli na oddziale, na którym przebywają chorzy na COVID-19. Czułam złość, rozczarowanie i rozgoryczenie rządami prezydenta, kiedy po dyżurach musiałam przez wiele godzin siedzieć i szyć maseczki dla siebie i koleżanek z pracy. A także prać własnoręcznie fartuch ochronny w śmierdzącym chlorze. I prosić wolontariuszy o pomoc w zdobyciu bandaży i wody dla chorych.

Jednocześnie z telewizora Julia dowiadywała się, że problem koronawirusa właściwie nie dotyczy Białorusi. Takie wrażenie starał się robić również Łukaszenka.

Julia: – Wtedy zrozumiałam, że coś jest nie tak.

Władza to my

Nie była w tym odczuciu jedyna. Epidemia i bezczynność władz doprowadziły do tego, że społeczeństwo musiało się samoorganizować.

– Robiliśmy zbiórki pieniędzy, dostarczaliśmy jedzenie do szpitali. Moje córki szyły z koleżankami z klasy maseczki dla medyków – opowiada Lena, wolontariuszka, którą poznałam w mińskim szpitalu. – Wraz z mężem dowoziliśmy wodę i środki higieny. Dla zwolnionego w Lidzie lekarza, który stracił pracę, bo mówił publicznie, że oficjalne statystyki mają się nijak do rzeczywistości, zebraliśmy pieniądze na przeżycie, dopóki nie znajdzie nowej pracy.

Lena: – Wtedy zrozumieliśmy, że niepotrzebna jest nam władza, bo my sami nią jesteśmy, sami potrafimy sobą kierować.

Według oficjalnych statystyk na ponad dziewięciomilionowej Białorusi na COVID-19 zmarło zaledwie 650 osób. Moi rozmówcy zdają sobie sprawę, że te statystyki są nieprawdziwe. – Nasi bliscy umierali w przepełnionych szpitalach, podczas gdy Łukaszenka twierdził, że koronawirus to paranoja – irytuje się Sasza. Ma 28 lat, pracuje w kawiarni jako barista, a teraz uczestniczy we wszystkich akcjach protestu.

Pragnienie wolności, przynależenia do Europy i uniezależnienia się od Rosji, walka o demokrację – takie pobudki do wyjścia z protestem na ulice przypisuje Białorusinom świat. To w dużej mierze prawda – nie brakuje tu dysydentów starej daty, a przede wszystkim proeuropejskiej młodzieży, która nie tylko zdążyła poznać kraje Unii Europejskiej, ale często się w nich uczyła i wyrastała.

Jednak siłą napędową protestów, trwających nieprzerwanie od wyborczej niedzieli 9 sierpnia, są ludzie tacy jak Sasza – dla których aktywność publiczna to coś zupełnie nowego. Oni chcą po prostu lepszego życia, godnych pensji, szanowania ich potrzeb jako obywateli, poczucia bezpieczeństwa, stabilizacji.

Tymczasem w ciągu ostatnich sześciu miesięcy władze zawiodły Białorusinów pod każdym względem – nie tylko nie spełniając tych podstawowych oczekiwań, lecz w dodatku okazując im jawną pogardę. Także dlatego ci ludzie, wcześniej zazwyczaj apolityczni, wyszli w końcu na ulice. I nie mają zamiaru ich opuścić. ↦

Pokazał, jak nami pogardza

Epidemia pogłębiła też problemy gospodarcze. Narastały od lat, ale powszechnie odczuwalne stały się w kilku ostatnich miesiącach. Łukaszenka, od lat praktykujący technikę siedzenia na dwóch stołkach – europejskim i rosyjskim – stracił równowagę ostatniej zimy.

Nie zgadzając się na głębszą integrację z Rosją, doprowadził do tego, że relacje z nią znacznie się ochłodziły. Brak dostaw rosyjskiej ropy oraz nieefektywna białoruska gospodarka sprawiły, że Białoruś znacznie uszczupliła swój i tak niezbyt duży budżet.

Ekonomista Wadim Josub tłumaczy: – Około trzech czwartych Białorusinów straciło w ciągu ostatniego półrocza znaczną część swoich dochodów, a wielu z nich – w ogóle pracę. Niewielu udało się zachować zatrudnienie na dawnych warunkach, większość zarabia teraz albo znacznie mniej, albo wcale.

– Ludzie wychodzą protestować, bo wielu z nich rozumie, że za kilka miesięcy nie będzie co jeść. Władza ma same długi, nie dostaje pieniędzy z Rosji, nie może liczyć na jakiekolwiek wsparcie – argumentuje Pietia, prawnik z Mińska.

Pietia przekonuje, że zamiast wesprzeć naród, Łukaszenka buduje dla siebie kolejne rezydencje: – Wzorem Stalina ma ich już siedemnaście, a także „pałace sportu", które niby są dla ludzi, choć w praktyce nielicznych stać na korzystanie z nich. Mało komu by przeszkadzało, że on siedzi dalej na swoim stołku, gdyby dbał o ludzi. Tymczasem pokazał, jak bardzo nami wszystkimi pogardza i jak bardzo nas nienawidzi.

– Czasami sobie myślę, że najlepszym rozwiązaniem byłoby, gdyby ktoś po prostu kupił Białoruś – dodaje Pietia. – Ale to niemożliwe.

Nie jesteśmy owcami

Na ulice Mińska, a także miast i miasteczek w całym kraju wychodzą dziś ludzie, którzy wcześniej nie brali udziału w jakichkolwiek nielegalnych zgromadzeniach. Nielegalnych, bo tak ten pokojowy protest traktują władze. Wychodzą, niosąc – zakazane dotąd – symbole, które wcześniej zdawały się funkcjonować w społecznej niszy: flagi biało-czerwono-białe (barwy te miały status narodowych w latach 1991-95, po czym Łukaszenka przywrócił flagę czerwono-zieloną, nawiązującą do barw białoruskiej republiki w składzie Związku Sowieckiego) oraz historyczną Pogoń (godło Wielkiego Księstwa Litewskiego, którego spadkobiercami są także Białorusini, było godłem niepodległego państwa w latach 1991-95).

SWIATŁANA CICHANOUSKA:

„Nie chcemy przyłączać się ani do Rosji, ani do Unii Europejskiej. Chcemy być niezależni i utrzymywać dobre relacje ze wszystkimi".

To studenci i taksówkarze, emeryci, robotnicy, lekarze. Kobiety i mężczyźni. Nastolatki. Nawet dzieci, które wzorem swoich rodziców, stojąc przed siedzibą rządu w Mińsku, klaszczą i skandują: „Wolność!". Albo trzymają maleńkie plakaty z napisanymi dziecięcym pismem hasłami: „Nie jestem owcą! Jestem małą Białorusinką" (to nawiązanie do wystąpienia Łukaszenki, który po rozpoczęciu protestów mówił o obywatelach protekcjonalnie „moje owce").

„My, Biełarusy – mirnje ljudi". *„My – tierpiły"*, przywykliśmy do cierpienia. Tak tłumaczą swoją cierpliwą i pokojową formę protestu, nieprzypominającą ukraińskiego Majdanu. Mieszkańcy Mińska, nawet maszerując w wielotysięcznym tłumie, zatrzymują się na każdym czerwonym świetle, żeb y nie przeszkadzać kierowcom. Przed wejściem na ławkę czy ogrodzenie – zdejmują buty.

Kiedy na placu Niepodległości, przed siedzibą rządu, OMON-owcy – funkcjonariusze sił specjalnych milicji, którzy wcześniej brutalnie pacyfikowali protesty, a w aresztach torturowali niewinnych ludzi – opuszczają swoje tarcze, mieszkańcy stolicy klaszczą, rzucają się siłowikom na szyję. Po czym spokojnie odchodzą, uprzątając wcześniej plac ze śmieci i grzecznie uprzedzając, że „przyjdą znowu jutro".

Tak nas tu zahukano

– My, Białorusini, z natury jesteśmy pokojowi i spokojni. Wiele jesteśmy w stanie przetrzymać. Nauczono nas godzić się z niesprawiedliwością. To odróżnia nas od Rosjan czy Ukraińców, którzy są bardziej niespokojni, skłonni do okazywania nerwów, złości – tłumaczy mi Andriej, 23-letni student socjologii.

– Jednak nasz reżim jest ostrzejszy niż ten rosyjski – dodaje. – Przez te wszystkie lata tak bardzo nas zahukano i zakrzyczano, że wszystkiego się boimy. Wiemy, czym skutkuje w naszym państwie niepodporządkowanie się władzy. Nie chcemy rozlewu krwi. Nie mamy broni. Ale jednocześnie wiemy, że teraz nie ma już odwrotu.

Z taką opinią zgadza się politolog Artiom Szrajbman, który od lat zajmuje się analizą białoruskiej polityki i dynamiki społecznej: – W przypadku Białorusi nie możemy powoływać się na przykłady Ukrainy czy Armenii. Tutejszy reżim jest o wiele ostrzejszy, a społeczeństwo obywatelskie – znacznie mniej doświadczone, zwłaszcza jeśli chodzi o stawianie oporu strukturom siłowym.

Brak koordynacji i chaos przejawiają się podczas większości akcji protestacyjnych, zwłaszcza w czasie, kiedy na terytorium całego kraju wyłączany jest internet. Najbardziej niebezpieczne okazało się to podczas protestów w poniedziałek 10 sierpnia, gdy brutalność milicji sięgała zenitu. Przerażeni ludzie rozpaczliwie szukali jakiegoś koordynatora, który nie tylko powiedziałby im, dokąd pójść, jak działać, jak się chronić, ale także – jak walczyć.

„Ty jesteś organizatorem? Bądź organizatorem, ty ogarniasz! Powiedz nam, co mamy robić! Nie możemy uciekać, musimy stawić im czoło!" – krzyczał zdenerwowany mieszkaniec Mińska do Saszy, mojego towarzysza, który chwilę wcześniej powiedział grupie zebranych wokół osób, żeby nie kierowała się główną ulicą w stronę stacji metra Puszkinskaja, bo zanim do niej dotrą, zostaną zatrzymane przez milicję.

Bardzo chciałbym strajkować

– Niech nam ktoś wyjaśni, co mamy zrobić? Jak stworzyć podziemie? Jestem gotowa przygotowywać np. jeżyki, kolce niszczące opony milicyjnych autobusów. Jestem gotowa działać. Tylko niech nam ktoś powie, jak – mówi Katja, 50-letnia mieszkanka stolicy. Jeszcze niedawno niespecjalnie interesowała się polityką, dziś bierze udział w każdym proteście.

Jednak koordynacji protestów nikt się nie podejmuje, więc wszystko, co pozostaje Białorusinom, to wychodzenie na ulice – ze świadomością, że w każdej chwili mogą zostać zatrzymani. Oraz wręczanie kwiatów siłowikom, przy jednoczesnym skandowaniu: „milicja z naro-

VALERY SHARIFULIN / ITAR-TASS / PAP

„Sam jesteś owca" – głosi plakat adresowany do Alaksandra Łukaszenki. Mińsk, 16 sierpnia 2020 r.

dem". Albo próby organizowania strajków w miejscach pracy, co dla wielu jednak, z powodów ekonomicznych, nie jest możliwe.

– Siedziałem dziesięć dni w areszcie, bo zostałem zatrzymany na proteście. Żyję od pierwszego do pierwszego, nie mam żadnych oszczędności, a mam rodzinę na utrzymaniu. Bardzo chciałbym strajkować. Ale jeśli nie będę pracować, to moje dzieci nie będą mieć chleba – żali się Losza, pracownik metra.

Z kolei władze, najwyraźniej nie spodziewające się tak wielkiej determinacji i solidarności obywateli – których nie była w stanie zniechęcić nawet brutalność siłowików – decydują się na przeczekanie. Zapewne z nadzieją, że prędzej lub później protesty zaczną wygasać. Alaksandr Łukaszenka nie skrywa przy tym swoich zamiarów: „Pokażemy tym szczurom, kto tu rządzi!" – mówił w niedzielę 23 sierpnia do funkcjonariuszy OMON-u. Ubrany w kamizelkę kuloodporną, trzymał w ręku karabin.

Wojna z narodem

– Chcemy być wolnym, silnym, rozwijającym się państwem, bo na to zasługujemy. Nie chcemy przyłączać się ani do Rosji, ani do Unii Europejskiej. Chcemy być całkowicie niezależni i utrzymywać dobre relacje ze wszystkimi sąsiadami, troszcząc się przede wszystkim o nasz dobrobyt i nasze interesy. Białorusini dzisiaj, jak mało kto, na to zasługują – mówiła mi Swiatłana Cichanouska, opozycyjna kandydatka na urząd prezydenta, zanim jeszcze, poddana presji, musiała opuścić Białoruś. Z przecieków wynika, że gdyby głosy liczono uczciwie, to Cichanouska być może wygrałaby te wybory już w pierwszej turze.

Jej słowa znajdują potwierdzenie w wypowiedziach wielu moich rozmówców.

Jeden z nich, Anton – uczestnik protestu rowerowego – mnie nerwowo w rękach serwetkę, gdy postanawia sformułować coś na kształt apelu: – My, Białorusini, jesteśmy pod wrażeniem tego, co wam, Polakom, udało się zrobić w 1989 r. My też chcemy takiej rewolucji, takiego przejęcia władzy. Bezkrwawego, pokojowego. Pomóżcie nam, powiedzcie, jak to zrobić...

Wprawdzie białoruskiego protestu nie da się porównać do ukraińskiego Majdanu, jednak trudno nie odnieść wrażenia, że także w Mińsku oraz w innych białoruskich miastach toczy się dzisiaj wojna. Nierówna i – w momencie, gdy piszę te słowa – bezkrwawa. Ale mająca już pierwsze ofiary śmiertelne i tysiące innych ofiar: ludzi okaleczonych, straumatyzowanych. Śmierć co najmniej sześciu uczestników protestów, odbywające się w różnych miejscach kraju ich pogrzeby, kolejne świadectwa setek ludzi, torturowanych fizycznie i psychicznie – wszystko to sprawia, że choć Białorusini zapewniają, że nie chcą przelewu krwi, walk, wojny domowej, to równocześnie nie dadzą się zapędzić z powrotem do domów.

„Optujemy za pokojową walką. Tego potrzebują dzisiejsze czasy. Czasy, w których zdajemy sobie sprawę z wartości ludzkiego życia. Czasy, w których człowiek ceni swoje życie" – mówiła Swiatłana Aleksijewicz, laureatka Literackiej Nagrody Nobla, w drodze na przesłuchanie w państwowym Komitecie Śledczym. Została tam wezwana, ponieważ zgodziła się wejść w skład opozycyjnej Rady Koordynacyjnej (rada miałaby koordynować pokojowe wyjście z obecnego kryzysu, natomiast nie koordynuje protestów).

Musimy rozwiązać to sami

Na razie pomiędzy obiema stronami konfliktu trwa swego rodzaju pat.

Białoruska opozycja chciałaby dialogu z władzą, który miałby doprowadzić do odejścia Alaksandra Łukaszenki i znalezienia jakiejś formy wyjścia z kryzysu politycznego, np. przez rozpisanie nowych wyborów. Ale na razie taki scenariusz jest nierealny. Nie tylko z powodu Łukaszenki – próżno jest liczyć na rozbicie elity rządzącej czy siłowików. Nie ma też na Białorusi oligarchów, którzy mogliby, we własnym interesie, wywrzeć nacisk na władze.

Artiom Szrajbman uważa, że w tym momencie głównym celem białoruskiego społeczeństwa obywatelskiego powinno być znalezienie mediatora, niezależnego i „czysto białoruskiego", któremu byłyby w stanie zaufać obie strony. Jak na razie w roli takiego mediatora Białorusini widzą jedynie duchownych.

Jednak Łukaszenka dał do zrozumienia, co o tym sądzi: skrytykował ostro biskupów prawosławnych i rzymskokatolickich, którzy wcześniej wykonywali gesty solidarności z represjonowanymi. Także władze Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej – największego Kościoła chrześcijańskiego w kraju – nie wydają się zainteresowane rolą mediatora. W minionym tygodniu metropolita Paweł – pełniący z ramienia tej Cerkwi funkcję egzarchy Białorusi (zwierzchnika tutejszych prawosławnych) – został nagle odwołany ze stanowiska przez władze cerkiewne w Moskwie. Metropolita najwyraźniej naraził się – Łukaszence i własnej Cerkwi – tym, że po pacyfikacji protestów odwiedził rannych w szpitalu, potępił przemoc („każdą przemoc") i wyraził nadzieję na „sprawiedliwe śledztwo" w sprawie akcji milicyjnych.

– Ze strony Europy potrzebne jest nam wsparcie, nagłaśnianie tematu, wsparcie finansowe dla pokrzywdzonych, wsparcie moralne – mówiła mi Marija Kalesnikawa, jedna z liderek opozycji. – Ale ten wewnętrzny konflikt dotyczy jedynie Białorusi i musimy rozwiązać go sami.

Pytanie tylko jak.

© WIKTORIA BIELIASZYN

Tekst ukończono w piątek 28 sierpnia

Najlepsze jedzenie to pieniądze podatników

MAGDALENA CHODOWNIK

Choć ich postulaty są jak najbardziej poważne, młodzi Tajlandczycy nauczyli się protestować wykorzystując niepoważne formy buntu. Na przykład symbolikę z popularnych filmów i bajek.

Hamtaro to biało-rudy chomik z różowym ogonkiem. Codziennie, gdy jego właścicielka wychodzi do szkoły, wymyka się z domu, by dołączyć do grupy swoich znajomych chomików z Chom-Chom Klubu. Po czym razem wyruszają w świat najrozmaitszych przygód.

Hamtaro – tytułowy bohater popularnego w Azji japońskiego filmu animowanego – stał się w tych dniach również bohaterem trwających w Tajlandii protestów. Piosenka zwiastująca bajkę została przerobiona przez demonstrantów i użyta jako ich antyrządowy hymn. Zamiast „najlepszym jedzeniem są nasiona słonecznika", które mają uwielbiać japońskie chomiki, Tajlandczycy śpiewają, że „najsmaczniejsze jedzenie to pieniądze podatników".

Wrzenie na ulicach

Antyrządowe protesty mają w Tajlandii długą tradycję. Tradycja ta jednak, od czasu wojskowego przewrotu w 2014 r., została ostudzona twardymi rządami generałów, przebranych dziś w cywilne ubrania.

Przełom nastąpił w lutym tego roku, gdy tajlandzki sąd konstytucyjny nakazał rozwiązać popularną partię opozycyjną Future Forward (FFP). Przyczyną miało być „naruszenie prawa wyborczego dotyczącego darowizn na rzecz partii politycznych". Decyzja wywołała wiele kontrowersji, w tym oskarżenia o eliminowanie politycznych rywali.

To wtedy młodzi Tajlandczycy zadecydowali o rozpoczęciu antyrządowych protestów. Szybko jednak przerwała je pandemia. Ona z kolei obnażyła inne problemy społeczne, jak ogromne nierówności ekonomiczne. I choć protestujący musieli zawiesić swoją aktywność, kolejne miesiące dały im tylko więcej powodów do niezadowolenia.

W czerwcu zaginął Wanchalearm Satsaksit – znany prodemokratyczny działacz tajski, mieszkający w Kambodży. Miał zostać uprowadzony, a władze z Bangkoku miały – w powszechnym przekonaniu ich oponentów – maczać w tym palce. To sprawiło, że po kilku miesiącach przerwy – i mimo obostrzeń związanych z pandemią – protesty wróciły na ulice. A wraz z nimi postulaty: rozwiązania parlamentu, zmian w konstytucji, zagwarantowania wolności słowa i zaprzestania prześladowań krytyków systemu.

I tak z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, protesty zaczęły przybierać nie tylko na znaczeniu, ale też na wielkości. W ślad za Bangkokiem poszły kolejne prowincje i kolejne uczelnie. Dziś tysiące ludzi zbierają się, by demonstrować poparcie dla zmian w Tajlandii.

– Na początku bałam się brać udział w manifestacjach. Widziałam, jak wyglądały one wcześniej i czym się kończyły: uwięzieniem, zaginięciami, rannymi, nierzadko ofiarami śmiertelnymi. Ale potem poszłam za tłumem – tłumaczy mi studentka Kwang (wszystkie imiona zmieniono na prośbę rozmówców). – Chyba poczułam, że jest w nas jakaś siła. I że jest szansa na zmianę.

– Nie robimy nic złego – mówi Anurak, także student. – Mamy XXI wiek, więc w końcu powinniśmy mieć też prawo głośno myśleć, nawet na tyle głośno, żeby władza nas w końcu usłyszała.

Internetowi buntownicy

Kluczową rolę w organizacji, popularyzacji, ale także utrzymaniu protestów odgrywają media społecznościowe. Dzięki nim najłatwiej jest dotrzeć do młodzieży.

– Protesty w sieci są równie ważne, o ile nie ważniejsze, niż te na ulicach – stwierdza Som, studentka, która pomaga popularyzować hasła protestów w internecie. – Gdyby nie one, nie udałoby się nam zorganizować.

Do wirtualnego buntu łatwiej też przyłączyć się tym, którzy boją się otwarcie wziąć w nim udział. Bywa, że młodzi, którzy za dnia grzecznie siedzą w uniwersyteckich ławkach, nocami uaktywniają się w internecie. W tym: tworzą memy, które szybciej niż petycje trafiają do tajlandzkiej młodzieży.

Bo młodzi w Tajlandii protestują inaczej – choć ich postulaty są jak najbardziej poważne, to korzystają z niepoważnych form mobilizacji i buntu. Od lat uczeni (auto)cenzury, która w Tajlandii jest elementem niemalże przyspawanym do obyczajowości, nauczyli się ją omijać. Ukrywają treści w symbolice rodem z popularnych filmów czy książek. Albo z bajek, jak w przypadku piosenki o chomiku Hamtaro z różowym ogonkiem i jego chomiczym klubie. Dzięki swoistym szyfrom popkulturowym obchodzą wszechobecną w kraju cenzurę.

LILLIAN SUWANRUMPHA / AFP / EAST NEWS

Antyrządowy protest w Bangkoku. Chomik z karykatury przedstawia premiera Tajlandii, który przejada podatki obywateli. 30 lipca 2020 r.

Kwang przyznaje, że to właśnie aktywność działaczy w internecie miała wpływ na jej ostateczny akces do protestów. – Z jednej strony nie żyjemy już tacy zamknięci w tajskich zwyczajach i tradycjach – tłumaczy. – Dzięki internetowi widzimy, że świat żyje inaczej, i że nie musimy poddawać się terrorowi naszych obyczajów. Na przykład taka brytyjska królowa Elżbieta: ona bywa częścią popkultury, a nawet bohaterką memów i nikt za to nie idzie do więzienia. Dlaczego więc nasz król ma być traktowany jak Bóg?

Monarcha pod specjalnym nadzorem

Młodym udało się przekroczyć granice dotąd nieprzekraczalne: zaczęli otwarcie nawoływać do dyskusji o monarchii oraz o ograniczeniu jej roli w państwie. Coś, co jeszcze niedawno było „myślozbrodnią" – by sięgnąć do George'a Orwella i jego powieści „Rok 1984" – teraz staje się opinią wygłaszaną publicznie.

„To pokolenie wie już na pewno, że monarchia jest zaangażowana w politykę, a to wpływa na życie Tajów – mówił podczas protestów Anon Nampa, młody aktywista i prawnik. – Dlatego mówienie o każdym, kto jest zaangażowany w politykę, czy to o wojsku, czy o monarchii, jest uczciwe i demokratyczne".

Podnoszenie takich haseł na wiecach jeszcze niedawno było nie do wyobrażenia, bo krytykowanie monarchii i monarchów jest w Tajlandii surowo zabronione. Zakaz ten jest pilnie strzeżony przez słynny artykuł 112: za *lèse-majesté* – zbrodnię obrazy majestatu – grożą wieloletnie kary. Wielu trafiło już z mocy tego artykułu do więzień. Wśród nich byli młodzi i starzy, którzy umierali w celach. Jedni odważyli się zwerbalizować krytyczną opinię na temat królewskiego majątku, inni śmieli udostępniać zdjęcia królewskiego psa w mediach społecznościowych. Tym także, jak się okazało, można obrazić króla.

Dziś krytyce tajskiej monarchii sprzyja fakt, że obecny władca cieszy się znacznie mniejszą popularnością i szacunkiem niż jego ojciec, zmarły w 2016 r. Choć król Vajiralongkorn przyjął zaszczytny tytuł Ramy X i zasiadł na ojcowskim tronie, wywołuje coraz to nowe kontrowersje. Nie przestają ciągnąć się za nim afery z kochankami w tle. Ponadto większość czasu przebywał (i przebywa) poza ojczystym krajem – w Niemczech, gdzie wynajmuje hotel i wiedzie rozpustne życie za pieniądze tajlandzkich podatników.

Premier Tajlandii, generał Chan-ocha, nawoływał protestujących, aby nie wciągali królewskiego tronu w sprawy polityki. Jednak te dwie kwestie są w tym kraju nierozerwalne.

Wydaje się, że Rama X stara się pokazać łaskawą dla młodych twarz i nie wykorzystuje paragrafu o *lèse-majesté* przeciw demonstrantom. Nie znaczy to jednak, że aresztowań nie ma – są, tylko z innych paragrafów. Do więzień trafiło dotąd kilkanaście osób, w tym Anon Nampa.

Pół wieku później

44 lata temu, we wrześniu 1976 r., w małym miasteczku pod Bangkokiem dwóch działaczy robotniczych zostało pobitych ze skutkiem śmiertelnym. Było to rok po zwycięstwie komunistów w sąsiedniej Kambodży i Laosie. Także w Tajlandii, coraz bardziej spolaryzowanej, komuniści starali się zdobyć popularność, ale spotykali się tu ze skutecznym oporem konserwatystów i rojalistów. Nie przebierano w środkach: działacze, którzy wieszali plakaty, zostali zabici przez policjantów, a ich ciała powieszono publicznie ku przestrodze.

Niecały tydzień później jeden z protestujących wówczas na Uniwersytecie Thammasat studentów zainscenizował podobną scenę na uczelnianym dziedzińcu: na sznurze wisiała kukła. Jedna z gazet opublikowała zdjęcie, interpretując je jednak tak, jakoby manekin powieszony na kampusie przypominał księcia i przyszłego króla Vajiralongkorna. Wywołało to ostrą reakcję rządu: następnego dnia, 6 października 1976 r., wojsko weszło na teren uczelni i otworzyło ogień. Oficjalna liczba zabitych wynosiła 46; nieoficjalnie mówiło się o ponad stu śmiertelnych ofiarach.

Jest w tym coś symbolicznego, że dziś, 44 lata później, właśnie na tym samym Uniwersytecie Thammasat rozmawia się otwarcie o odpowiedzialności rodziny królewskiej wobec społeczeństwa, o ograniczeniu jej wpływów na politykę oraz o kontroli w wykorzystywaniu przez nią środków publicznych.

Samo w sobie jest to już przełomem, na który Tajlandia czekała długie lata. ©

Do domu na piechotę

EWA KLEWAR Z MEDELLÍN (KOLUMBIA)

Wielu Wenezuelczyków, których pandemia pozbawiła pracy w sąsiednich krajach, chce wracać. Na granicy mijają się z tymi, którzy wciąż mają nadzieję na lepsze życie poza ojczyzną.

Castillo mówi, że podjęła decyzję. Wkrótce wyruszy w drogę powrotną do Wenezueli, swojej ojczyzny. Nie kryje, że się boi: przed nią 600 km pieszej wędrówki, sytuacja na granicy jest nieprzewidywalna, a w rodzinnym domu panuje bieda. Nie ma jednak wyboru. W czasie epidemii została bez pracy, a niewielkie oszczędności wydała. Właściciel wynajmowanego przez nią w Medellín mieszkania, ignorując chroniące lokatorów prawo, grozi eksmisją. Zaryzykuje: ostatecznie woli być z bliskimi, niż wylądować tu na ulicy.

Jej historia nie jest wyjątkowa. Podobną mogłoby opowiedzieć wielu spośród 1,8 mln Wenezuelczyków, którzy żyją dziś w Kolumbii. Większość należy do tzw. trzeciej fali migracyjnej, trwającej od 2017 r.

Wcześniej 30-milionowy kraj, który pod rządami socjalistów stał się państwem upadłym, opuszczali częściej ludzie wykształceni, fachowcy, mogący znaleźć pracę w zawodzie. Do „trzeciej fali" dołączyli ludzie najsłabiej przygotowani do emigracji: najubożsi, bez dyplomów i oszczędności. Wśród nich znalazły się samotne matki, rdzenne społeczności, nieletni. W nich szczególnie mocno uderzył kryzys wywołany epidemią.

Od marca do sierpnia do Wenezueli wróciło już ponad 95 tys. emigrantów. O tych, którzy pokonują trasę pieszo, mówi się tutaj *caminantes*, wędrowcy.

Gdyby nie epidemia

W internetowych grupach dyskusyjnych, które zrzeszają przebywających w Kolumbii Wenezuelczyków, powtarzają się te same pytania. Kto wybiera się ku granicy? Czy kursują jakieś autobusy? Jaka jest sytuacja na przejściu granicznym? Pod każdym z pytań mnóstwo odpowiedzi, porad, życzeń.

W tym gąszczu dezinformacji próbuje odnaleźć się Jose. Wraz z rodziną przybył do Medellín ponad dwa lata temu. Dziś chciałby zorganizować grupę, aby wspólnie ruszyć w drogę powrotną, rzecz jasna piechotą.

Jose przyznaje, że w Wenezueli nic się nie zmieniło na lepsze. Ale przynajmniej ma tam pewny dach nad głową. W Kolumbii nie ma nic poza długami z ostatnich miesięcy. Codziennie wychodzi na ulicę, usiłując sprzedawać ciastka. Trzy tysiące kolumbijskich pesos, które zarabia w ciągu dnia, to równowartość trzech złotych. Kończą mu się możliwości przetrwania.

Gdy w połowie lipca rozmawiamy przez telefon, w Medellín znów obowiązuje surowa kwarantanna: wychodzenie z domu, poza paroma wyjątkami, jest zabronione. – Na początku szło nam nieźle, pracowaliśmy. W lutym udało nam się nawet pojechać do Wenezueli, żeby zobaczyć się z rodziną. Wróciliśmy na dwa tygodnie przed ogłoszeniem restrykcji. Nie byliśmy na to przygotowani. Oszczędności zostawiliśmy wcześniej bliskim – opowiada Jose.

Jest pewien, że gdyby nie epidemia, zostałby tutaj i wiódł normalne życie. Gdy pytam, czy ma w Kolumbii dostęp do jakiejś pomocy, odpowiada: – Kilka razy przysłali kogoś z urzędu miasta, spisali nasze dane, mówili o paczkach żywnościowych. Do dziś nie dotarły.

Frustrację Josego powiększają plotki o funduszach, które miały trafić do emigrantów. Podobno USA wysłały do Kolumbii pieniądze na pomoc humanitarną dla Wenezuelczyków. Jose nie zna szczegółów, ale to nieistotne. Liczy się to, że po nieistniejących dolarach pozostało mu realne poczucie straty.

Pytam Josego, czy wie, jak wygląda droga do granicy. – Páramo de Berlín to najtrudniejszy kawałek – odpowiada. – Słyszałem, że niedawno zamarzła tam cała rodzina.

Przez mroźne góry

Páramo de Berlín to góry między miastami Bucaramanga i Pamplona, w najwyższym punkcie przekraczające 3 tys. metrów nad poziomem morza. Puste przestrzenie pokryte niską roślinnością przyjmują wędrowców mlecznobiałą mgłą i chłodem. To chyba najbardziej niebezpieczny odcinek na drodze ku granicy z Wenezuelą. Nieprzygotowanym grozi wyziębienie, szczególnie nocą, gdy kreska na termometrze sięga niewiele powyżej zera.

Jeszcze kilka miesięcy temu w połowie tej ponad stukilometrowej trasy funkcjonowało schronisko. Wyruszający w drogę o świcie wędrowcy docierali do niego późnym popołudniem – mogli tu spędzić noc, ogrzać się, zjeść ciepły posiłek.

Rozmawiam z byłym pracownikiem schroniska. Nie chce ujawniać nazwiska, ale chętnie dzieli się opinią. – Władze Kolumbii minimalizują problem. Pierwszą decyzją rządu było zamknięcie wszystkich schronisk. Z powodu epidemii zakazano zgromadzeń powyżej pięciu osób – opowiada.

Jednym z tych, którzy mimo wszystko wyruszyli w drogę do domu, jest Will. Kiedy się z nim kontaktuję, jest już w Bucaramandze. Páramo de Berlín to kolejny etap jego wędrówki. – Idę już miesiąc i dwa tygodnie – opowiada.

Will miał dłuższą drogę niż inni. W ostatnich dwóch latach żył w Limie, stolicy Peru. Był pomocnikiem kuchennym w kafeterii jednej z tamtejszych uczelni. Z początkiem epidemii stracił pracę, skończyły się oszczędności. – Nie była to łatwa decyzja, zmusiły mnie okoliczności – tłumaczy. Pytam go o Wenezuelę: – Oczywiście, że sytuacja się nie poprawiła. Ale tam mam rodzinę. Jedzenie zawsze się znajdzie. Niewiele, ale będę w domu.

W obu kierunkach

Organizacja Red Humanitaria zrzesza tych, którzy wspierają *caminantes*. Przed epidemią prowadzili punkty pomocy, gdzie wędrowcy mogli spędzić noc pod dachem i zjeść posiłek. Działalność finansowali z datków, które teraz znacznie stopniały. Obecnie ich pomoc ograniczona jest do wydawania żywności. Wędrowcy śpią więc na ulicach, w parkach, pod mostami.

DANIEL GARZON HERAZO / ZUMA PRESS / FORUM

Wenezuelczycy czekają na autobusy, które zabiorą ich do granicznego miasta Cúcuta. Kolumbia, 2 lipca 2020 r.

Pod koniec lipca organizacja opublikowała raport o sytuacji. Prezentująca go Juana Rico mówiła: „Ze względu na przepisy sanitarne nie możemy pracować tak jak dotąd. Odebrano nam prawo do pomagania". Dodawała, że władze Kolumbii nie mają żadnego planu działania.

Tymczasem mimo epidemii ruch na granicy wenezuelsko-kolumbijskiej nie tylko jest spory, lecz wciąż w obu kierunkach. Przy czym o ile od marca do lipca większość tych, którzy ją przekraczali, kierowała się w stronę Wenezueli, o tyle od lipca liczba opuszczających Wenezuelę znów przewyższa liczbę wracających.

Część z tych ostatnich to emigranci, którzy wrócili do ojczyzny, ale zastana sytuacja zmusiła ich do ponownego odwrotu. Są też i tacy Wenezuelczycy, którzy w wyniku pogarszającej się sytuacji ekonomicznej i sanitarnej opuszczają kraj po raz pierwszy – zwykle przez zieloną granicę.

Mail dla donosicieli

Po kilku dniach od naszej rozmowy dostaję wiadomość od Willa: „Dotarłem do Cúcuty, sytuacja tutaj to katastrofa. Mam nadzieję, że niedługo będę w domu". Przysyła mi kilka zdjęć obozowiska: widać prowizoryczne namioty obłożone kamieniami, aby nie zmiótł ich wiatr.

To miejsce to przystanek: przebywający w nim oczekują na wpuszczenie do Tienditas, oficjalnego obozu dla migrantów, stworzonego przez kolumbijskie władze. Obowiązuje lista, a pierwszeństwo mają ci, którym udało się skorzystać z tzw. korytarzy humanitarnych i którzy na granicę przybyli podstawionymi autobusami. Dostanie się do Tienditas daje nadzieję, że po kilku dniach będzie się przewiezionym do wenezuelskiego San Antonio del Táchira.

Procedura przeciąga się również ze względu na ograniczenia po stronie Wenezueli. W ostatnich miesiącach granicę można było przekraczać tylko w poniedziałki, środy i piątki, w grupach nie większych niż 300 osób. Pod koniec sierpnia Wenezuela zapowiedziała dalsze restrykcje – mówi się o zamknięciu granicy, choć informacje są na razie bardzo niejasne. Niektórzy, zmęczeni oczekiwaniem, decydują się iść przez zieloną granicę (koszt to 50 tys. kolumbijskich pesos, czyli 50 zł dla szmuglera, plus ryzyko aresztu).

Tymczasem wenezuelski prezydent Nicolás Maduro formułuje kolejne teorie na temat przyczyn epidemii – obarczając winą rodaków, którzy usiłują dostać się nielegalnie do kraju. „Gdyby nie oni, wirus byłby pod całkowitą kontrolą", a „dzieci wracałyby do szkół" – przekonywał w lipcu. Przy innej okazji mówił o „kolumbijskim wirusie, którego przysłał Duque" (prezydent Kolumbii). W Wenezueli powstał nawet specjalny adres mailowy: można z niego skorzystać, by donieść o tych, którzy nielegalnie przekraczają granicę.

Czekając na kolejnych

Przed pandemią Wysoki Komisarz ONZ ds. Uchodźców przewidywał, że do końca 2020 r. liczba Wenezuelczyków przebywających poza ojczyzną osiągnie 6,5 mln. Choć dziś zamknięcie granic spowolniło ten proces, żaden z moich rozmówców nie ma wątpliwości, że gdy tylko restrykcje zostaną złagodzone, Kolumbia doświadczy kolejnej fali migracyjnej.

Według amerykańskiego Instytutu Brookingsa wenezuelski kryzys uchodźczy już wkrótce ma szanse stać się największym takim kryzysem ostatnich lat – i jednocześnie tym, na który społeczność międzynarodowa przekazuje najmniejsze fundusze. Dla porównania – w pierwszych czterech latach kryzysu syryjskiego na pomoc uchodźcom przekazano 7,4 mld dolarów. W tym czasie dla opuszczających Wenezuelę zebrano 580 mln.

Wśród starych-nowych emigrantów najpewniej znajdzie się także Will. Jego tułaczka nie skończy się bowiem po drugiej stronie granicznego mostu imienia Simóna Bolívara – Will mówi, że gdy tylko pandemia się skończy, ruszy znów do Limy.

Ma nadzieję, że uda mu się odzyskać swoją dawną pracę. ©

Aisha, matka Bassela, przed ich domem, który kiedyś był oborą. Dolina Bekaa w Libanie, sierpień 2020 r.

Bez powrotu

TEKST I ZDJĘCIA: AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA
Z BEJRUTU I DOLINY BEKAA

Co czwarty mieszkaniec Libanu to uchodźca, Palestyńczyk lub Syryjczyk. Podczas kryzysu – gospodarczego, politycznego i epidemicznego – stają się kozłami ofiarnymi.

Samer Mannaa, czterdziestolatek, sączy kawę. Mówi spokojnie, starannie dobierając słowa. Nie zdążył jeszcze otrząsnąć się po tym, jak na początku sierpnia eksplozja w porcie zniszczyła centrum Bejrutu, jego rodzinnego miasta.

Miasta, które kocha, choć wie, że nigdy nie będzie się w nim czuł jak u siebie. Bo nigdy nie będzie Libańczykiem.

Samer w skupieniu przegląda na telefonie nagrane przez siebie filmy, aż trafia na ten, który chce mi pokazać. Na nagraniu maronicki ksiądz dziękuje z ambony tym, którzy po bejruckiej eksplozji rzucili się na ratunek jego parafianom. Jak temu starszemu mężczyźnie, który utknął w windzie przygniecionej gruzem w zdewastowanym budynku i niewiele brakowało, aby nie przeżył. Uratowali go funkcjonariusze palestyńskiej obrony cywilnej, czyli służb bezpieczeństwa Palestyńczyków na uchodźstwie.

Tego dnia, gdy ksiądz postanowił uroczyście im podziękować, umundurowani Palestyńczycy siedzieli w kościele w pierwszym rzędzie, a Samer nagrywał mszę.

Inni Palestyńczycy w tym czasie oddawali krew dla ofiar eksplozji magazynu z azotanem amonu albo pomagali sprzątać szkło i gruz z bejruckich ulic. Zresztą podobnie jak liczni Syryjczycy – tak jak oni, wojenni uchodźcy.

Podczas antyrządowych protestów, które w dniach po eksplozji przechodziły ulicami Bejrutu, syryjscy lekarze pomagali rannym demonstrantom na placu Męczenników. W końcu, jak mówią, Liban to także ich dom. A wszystkie kryzysy, które przetaczają się przez kraj, są też ich kryzysami.

Nie wszyscy tutaj tak to widzą.

Gdy system upada

Wśród co najmniej 180 śmiertelnych ofiar wybuchu w bejruckim porcie było dwóch Palestyńczyków i aż 43 Syryjczyków. Ale to wydaje się nie mieć znaczenia.

Dla libańskich polityków – oraz dla wielu zwykłych Libańczyków – to właśnie uchodźcy są największym problemem ich kraju. Chrześcijańskie partie

prawicowe od lat winią ich za wszystkie niepowodzenia Libanu, a Palestyńczyków również za bratobójczą wojnę domową, która toczyła się tutaj od 1975 do 1990 r. Inni, jak szyicki Hezbollah czy sunnicki Ruch Przyszłości, chowają głowę w piasek.

Liczne artykuły w polskich mediach chwalą Liban, że od lat przyjmuje ofiary bliskowschodnich wojen. Tymczasem to raczej nie chęć pomocy, lecz brak wyboru sprawił, że jest on dziś krajem, gdzie odsetek uchodźców w społeczeństwie jest jednym z najwyższych w świecie. Od lat też libańscy politycy robią wszystko, aby się ich pozbyć.

Szczególnie w ostatnim roku ich obecność uwiera. Brak reform doprowadził kraj do bankructwa, a przy spadku wartości libańskiego funta i rosnących cenach wielu Libańczyków potraciło oszczędności.

Kryzys finansowy spotęgował z kolei kryzys polityczny. Uczestnicy masowych protestów ulicznych, które zaczęły się w październiku 2019 r. i z przerwami trwają do dziś, żądają usunięcia całej skorumpowanej klasy politycznej. Lecz politycy, którzy przez lata dorobili się majątków, ani myślą odchodzić. Tymczasem kryzys się pogłębia. Epidemia i przymusowa kwarantanna pozbawiły zarobku rzesze Libańczyków, wypychając wielu poza granicę ubóstwa. Wybuch w porcie zamienił miasto w ruinę.

Uchodźcy, z których większość żyje w biedzie, to dziś nie tylko kozły ofiarne dla upadającego systemu. To także ogromne obciążenie dla coraz biedniejszego społeczeństwa.

Większość z nich chciałaby zresztą z Libanu wyjechać. Pytanie tylko, dokąd.

W próżni

Szacuje się, że w Libanie obok niespełna pięciu milionów jego obywateli żyje co najmniej półtora miliona uchodźców wojennych. Ilu dokładnie, nie wiadomo – wielu uciekinierów z Syrii przekroczyło granicę nielegalnie i nie zarejestrowało się w UNHCR, oenzetowskiej agencji ds. uchodźców. Także wielu Palestyńczyków żyje bez dokumentów.

Liban nie podpisał konwencji genewskiej z 1951 r. dotyczącej statusu uchodźców, więc uciekinierzy przebywający na jego terytorium nie mają praw, które wedle konwencji powinny przysługiwać ofiarom wojen. Mają ograniczony dostęp do rynku pracy, szkół i służby zdrowia. Dyskryminacja obu grup – palestyńskiej i syryjskiej – jest na porządku dziennym, tak jak nienawistne tyrady wygłaszane przez wielu libańskich polityków.

Większość uchodźców żyje więc w permanentnej próżni, bez nadziei na lepsze jutro. Choć wielu z nich urodziło się już w Libanie, nie mogą ubiegać się o obywatelstwo.

Jednym z nich jest Samer Mannaa. Choć tu się urodził i wychował, jego ojczyzna jest gdzie indziej. To potomek Palestyńczyków, którzy – w 1948 r. wypędzeni przez Izraelczyków – szukali schronienia w Libanie i tu zostali.

Choć rośnie więc kolejne już pokolenie Palestyńczyków urodzonych poza ojczyzną, większość to bezpaństwowcy. Wielu nie ma żadnych dokumentów. Od Libanu nie dostają nic. Są jedynie pod ochroną UNRWA – agencji ONZ zajmującej się palestyńskimi uchodźcami, która co miesiąc wypłaca im skromną zapomogę, zapewnia dostęp do opieki medycznej i edukacji. Jednak UNRWA od lat jest w finansowych tarapatach, a klasy w palestyńskich szkołach liczą nawet do 50 uczniów.

Betonowe obozy

Nawet ci Palestyńczycy, którym jakimś cudem udało się skończyć w Libanie kosztowne studia, nie mogą liczyć na pracę. Są prawnie pozbawieni dostępu do większości dobrze płatnych profesji. Często jest więc tak, że palestyński inżynier czy lekarz pracuje na niższej pozycji i za niższe wynagrodzenie, choć wykonuje odpowiedzialną pracę.

Palestyńczycy nie mają też prawa własności. Jedyne miejsca, które są ich, to rozsiane po całym Libanie obozy. Przed dekadami ich przodkowie rozbili tam namioty, odtwarzając układ swoich wiosek. Potem zamieniły się w już betonowe, gęsto zaludnione dzielnice biedy. Funkcjonują poza systemem, a państwo libańskie rzadko przejmuje się losem mieszkających tam ludzi – zdani są na pomoc UNRWA, organizacji humanitarnych, palestyńskich partii na uchodźstwie i diaspory za granicą.

To nie znaczy, że Palestyńczycy nie walczą o swoje prawa. Aktywność publiczna to dla Samera Manny chleb powszedni. Samer przypomina, że zanim w ubiegłym roku Liban ogarnęła rewolucja, która wyprowadziła na ulice przedstawicieli wszystkich wyznań, swoją małą rewolucję przeszły obozy palestyńskie.

Gdy w lipcu 2019 r. władze Libanu ogłosiły, że będą bardziej sumiennie walczyć z pracodawcami, którzy zatrudniają nielegalnie uchodźców, rozgoryczeni Palestyńczycy powiedzieli dość. Wyszli na ulice obozów, wznosząc hasła przeciw dyskryminującemu libańskiemu systemowi i brakowi dostępu do rynku pracy.

Samer był jednym z przywódców ruchu. Jednak po paru tygodniach protesty ustały, władze stonowały retorykę. Koniec końców, żadne poważne zmiany nie nastąpiły.

– Libańskie media nie interesowały się nami. Rewolucja była w obozach, więc mało kto się nią przejął. Ale pod presją protestów ministerstwo pracy wprowadziło drobne zmiany w procedurach. Tyle że to nie procedury są problemem. Jesteśmy uchodźcami i w ogóle nie powinniśmy prosić o pozwolenie na pracę – mówi Samer.

W cieniu aneksji

Palestyńczycy nie przystąpili do rewolucji libańskiej – poza pojedynczymi wyjątkami. Mówią, że nie chcą być znów oskarżani o sianie zamętu, i że nie chcą dawać libańskim władzom pretekstu do jeszcze większej nagonki.

Nie znaczy to, że problemy Libańczyków ich nie dotykają. – Kryzys gospodarczy uderzył w nas bardziej niż w Libańczyków, bo już przed nim byliśmy na gorszej pozycji. Bezrobocie znacząco wzrosło, wielu ludzi jest dziś uzależnionych od pomocy organizacji humanitarnych albo palestyńskiej diaspory – mówi Samer.

Problemów nie ubywa. Z powodu epidemii palestyńskie szkoły są wciąż zamknięte, a nauka przez internet nie jest możliwa w obozach. Ceny rosną nieubłaganie.

Palestyńczykom nie sprzyja też sytuacja międzynarodowa. Ogłoszony w styczniu przez prezydenta Donalda Trumpa „deal stulecia", który miał zakończyć konflikt palestyńsko-izraelski, sankcjonuje pełzającą aneksję palestyńskich ziem przez Izrael i zakłada zrzeczenie się przez Palestyńczyków prawa do powrotu. Choć palestyńscy przywódcy uznali plan Trumpa za kpinę, niedawne nawiązanie relacji dyplomatycznych między Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi a Izraelem sprawiło, że po plecach Palestyńczyków – z których ↦

Bassel ze swoim ojcem Ahmadem i dzieckiem, sierpień 2020 r.

wielu mieszka w Emiratach – przeszły ciarki. Zwłaszcza że chwilę później prezydent Libanu Michele Aoun stwierdził, że normalizacja relacji z Izraelem nie jest niemożliwa.

– Uważamy Libańczyków za braci. Ale jeśli nie dają nam nawet minimum praw, czemu mieliby nam pomóc w powrocie do Palestyny? Czy będą walczyć po naszej stronie? Oczywiście, że nie – mówi z goryczą Samer. – To nasz największy zarzut wobec Hezbollahu i sunnickich partii w Libanie. Oni twardo walczą z Izraelem o Palestynę, ale nie walczą o Palestyńczyków. Jeśli chcą wolnej Palestyny, powinni najpierw zawalczyć o nas.

Namiot albo obora

Droga do doliny Bekaa wiedzie przez skąpane w słońcu malownicze wzgórza. Z oddali widać już syryjską granicę.

To właśnie w dolinie Bekaa znajdują się najliczniejsze obozy syryjskich uchodźców. Część z nich otrzymuje wsparcie od UNHCR, ale nie wszyscy. Wielu do dziś pozostaje niezarejestrowanych, bez dokumentów, bez praw, bez pracy. Wielu mieszka w namiotach porozrzucanych po libańskich wioskach, z dala od centrów miast i miasteczek.

Dla niektórych nawet te namioty to za duży wydatek. Bassel Hamid i jego rodzina niedawno opuścili swój. Nie byli w stanie płacić dłużej czynszu libańskiemu właścicielowi ziemi, na której obozowali.

Dziś ich domem jest stara obora. Wyczyścili ją i podzielili na pokoje. Choć w niektórych pomieszczeniach ściany są dziurawe, a nocą przechodzi przez nie robactwo, nie narzekają. Obora daje więcej osłony przed słońcem niż namioty. Mają też maleńki skrawek ziemi, gdzie uprawiają warzywa, owoce i kwiaty.

Na siedem rodzin, które zamieszkują dawną oborę – i łącznie liczą 29 osób – tylko trzy rodziny są zarejestrowane w UNHCR i dostają zapomogę.

– W ciągu ostatnich miesięcy nasza sytuacja ze złej zmieniła się na jeszcze gorszą. Wcześniej mieliśmy mało pieniędzy, dziś nie mamy nic. Trochę pożyczamy, czasem dostajemy jedzenie z małego bazaru nieopodal – mówi 24-letni Bassel.

Nie może wrócić do Syrii. Prezydent Baszar al-Asad nie wybacza młodym, którzy uciekli przed poborem do jego armii. Póki on rządzi, dla Bassela, który w 2013 r. opuścił Syrię, nie ma tam powrotu. Nie wiadomo już nawet, o jakie przestępstwa mógłby zostać oskarżony. A ludzie wciąż tam znikają.

Gdy wyjeżdżał, kończył dziewiątą klasę. Marzył, by studiować inżynierię. Nie udało się. Ani w Syrii, ani w Libanie. – Nie możemy wrócić, wolimy już żyć tutaj na ulicy. Tam nie ma nadziei. Tu jest źle, ale przynajmniej bezpiecznie – mówi.

Basselowi przytakuje jego ojciec, Ahmad.

Na początku wojny Libańczycy pomagali syryjskim uciekinierom. Ahmad wraz z żoną, dziećmi i rodziną syna przez pięć lat mieszkali w garażu u libańskiej rodziny. Ale nie mogli tam zostać na zawsze. Libańczykom w końcu też jest ciężko. We wsiach w dolinie Bekaa nie ma pracy dla nikogo.

– Nie ma pracy, nie ma gdzie mieszkać. Mógłbym zatrudnić się w Bejrucie, ale nie mam jak tam dojechać, bo na checkpointach złapałaby mnie armia – mówi Bassel, który do Libanu dostał się przez zieloną granicę. – A tutaj nawet Libańczycy nie mają pracy. Jestem bezrobotny od czterech miesięcy. Pojechałbym choćby do Somalii, gdyby tylko były tam dla mnie możliwości. Dokądkolwiek.

Wygnanie permanentne

Jednak opuścić kraj nie jest łatwo. Gdy Syria nie wchodzi w grę, zostaje Izrael, drugi sąsiad Libanu. Ale Izrael nie przyjąłby syryjskich uchodźców. Tym bardziej Palestyńczyków.

Tymczasem sytuacja obu tych grup w Libanie jest coraz bardziej napięta. W połowie lipca rząd w Bejrucie przyjął wstępny plan powrotu Syryjczyków do ojczyzny. Oczywiście miałby on być skoordynowany z reżimem Asada. Szczegóły planu nie są znane.

Większość syryjskich uchodźców zapewne nie zdecyduje się na powrót. Pośpiechu nie zalecają też UNHCR ani organizacje praw człowieka. Co prawda w ostatnich latach wielu syryjskich uchodźców wróciło do domów, ale nie dla każdego byłoby to bezpieczne.

W ten sposób sytuacja Syryjczyków zaczyna przypominać permanentne wygnanie Palestyńczyków. Na przestrzeni dekad tylko nielicznym spośród nich udało się wyjechać do Europy czy Ameryki. Większość pozostaje skazana na łaskę Libanu. Kraju, który w końcu chciałby się ich pozbyć.

© AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, w sprawie I Ns 1196/19 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Marku Czaplińskim, s. Zbigniewa i Zofii, zm. 20 lipca 2017 r. w Warszawie, ostatnio stale zamieszkałym w Mińsku Mazowieckim.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy, w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia, zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

REKLAMA

weź, prenumeruj!

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	370 zł	450 zł
Półroczna (26 numerów)	220 zł	270 zł
Kwartalna (13 numerów)	120 zł	140 zł
Pokolenia**	333 zł	
Karta Dużej Rodziny***	333 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	430 zł	510 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	393 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	393 zł	
4 wydania specjalne	**69 zł**	

* ważny od 1 grudnia 2019

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago marketing automation

TU HONORUJEMY KARTĘ DUŻEJ RODZINY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

DWAJ NA ŻYDOWSKIEJ ULICY

1 września 1939 r. wezwali polskich Żydów do walki przeciw Niemcom. Potem występowali przeciw Stalinowi. Zapłacili za to wysoką cenę.

MIKOŁAJ MIROWSKI

Do dziś jest to jedno z tych wydarzeń w XX-wiecznej historii Polski, które nadal czekają na wyjaśnienie: sprawa śmierci w więzieniach NKWD Wiktora Altera i Henryka Erlicha, przywódców polskich Żydów i działaczy socjalistycznej partii Bund.

Niemal 80 lat temu ta śmierć odbiła się szerokim echem na Zachodzie i była powodem silnej krytyki poczynań Sowietów wobec Polski i jej obywateli. Dopiero mord katyński, ujawniony przez Niemców w 1943 r., skutkował większym poruszeniem dyplomatycznym.

Socjaliści od małego

W okresie międzywojennym obaj byli znanymi działaczami żydowskiej socjalistycznej partii robotniczej Bund. Z jej rekomendacji przez wiele lat pełnili funkcje radnych Warszawy. Alter był też dziennikarzem, publikował po polsku

WIKIPEDIA

Od lewej: Wiktor Alter, Henryk Erlich

oraz w jidysz (jako m.in. redaktor „Nowego Życia" i „Di Naje Folkscajtung"). Był też autorem broszur i książek, których tytuły pokazują obszar jego zainteresowań: „Der emes wegn Palestine" („Prawda o Palestynie"; była to krytyka syjonistów), „Socjalizm walczący", „Gdy socjaliści dojdą do władzy...!", „Antysemityzm gospodarczy w świetle cyfr", „Cu der jidn-frage in Pojln" („O kwestii żydowskiej w Polsce"), „Człowiek w społeczeństwie". Z kolei Erlich, znany adwokat, działał w Zrzeszeniu Prawników Socjalistów.

Z partią żydowskich socjalistów – założoną w 1897 r. i opowiadającą się za tym, aby Żydzi pozostali w krajach, w których żyją, zamiast emigrować do Palestyny – obaj związali się od początku politycznej aktywności.

Alter, urodzony w 1890 r. w Mławie, już jako 15-letni warszawski gimnazjalista i członek Bundu wziął udział w strajku uczniów; skutkiem tego musiał przymusowo wyjechać z terytorium zaboru rosyjskiego na Zachód. Gdy w 1912 r. wrócił i zaangażował się w sprawy partii, już rok później został aresztowany przez carskie władze i, jak wielu współtowarzyszy, zesłany na Syberię. Udało mu się zbiec i wyjechać do Wielkiej Brytanii, gdzie w okresie I wojny światowej zasilił szeregi tamtejszej Partii Pracy.

Erlich, starszy o osiem lat (i rodem z Lublina), był studentem prawa na Uniwersytecie Warszawskim; mając 21 lat, wstąpił do Bundu. Rok później po raz pierwszy trafił na kilka miesięcy do więzienia. Zwolniony postanowił wyjechać do Berlina, jednak wrócił do Warszawy, by uczestniczyć w rewolucji 1905 r. Z powodu zagrożenia tutaj aresztowaniem pojechał do Petersburga, gdzie skończył prawo. Awansował w partii: od 1913 r. należał do Komitetu Centralnego Bundu.

Cztery lata później także Alter znajdzie się we władzach partii.

Przeciwko bolszewikom

Po raz pierwszy ich drogi skrzyżowały się w ogarniętej chaosem Rosji w 1917 r. Erlich został wtedy przedstawicielem Bundu w Radzie Delegatów Robotniczych w Piotrogrodzie (niemiecką nazwę rosyjskiej stolicy zmieniono po wybuchu I wojny światowej). Jednak gdy bolszewicy przechwycili władzę drogą przewrotu, nieakceptujący tych metod Ehrlich postanowił przedostać się do Polski.

Alter został w Rosji i w lipcu 1918 r. wziął udział w Konferencji Delegatów Robotniczych, której uczestników aresztowali bolszewicy. Zwolniony po paru miesiącach, zdając już sobie sprawę, do czego zdolni są Lenin i jego ludzie, również przedostał się do Warszawy. W Rosji sowieckiej znalazł się jeszcze na chwilę w 1921 r. – jako członek dwuosobowej delegacji Komitetu Centralnego Bundu na III Kongresie Kominternu (organizacji mającej propagować w świecie ideę rewolucji). Znów został aresztowany – i znów szczęśliwie zwolniony, po 10 dniach, dzięki protestom innych uczestników kongresu.

Trzeba przyznać, że już w tamtym czasie i Alter, i Erlich – mając poglądy radykalnie lewicowe – byli przeciwnikami bolszewików i władzy sowieckiej. Miało to przełożenie na postawę polskiego Bundu, który jeszcze w 1915 r. stał się niezależnym bytem politycznym (będzie nim do 1948 r., gdy w pojałtańskiej Polsce zostanie rozwiązany).

W 1917 r. Bund poparł rewolucję lutową, która obaliła cara i przyniosła demokratyczny rząd, za to wobec jesiennego przewrotu bolszewickiego nie wykazał entuzjazmu. To ostatnie spowodowało podział w partii, skutkujący oddzieleniem się tzw. Kombundu – jego przedstawiciele w 1923 r. wstąpili do Komunistycznej Partii Robotniczej Polski (od 1925 r. Komunistycznej Partii Polski, KPP), która w II RP pełniła rolę bolszewickiej agentury.

Z czasem ideowy profil polskiego Bundu coraz bardziej oddalał się od sympatii prokomunistycznych czy probolszewickich. W II RP bundowcy, mimo początkowych różnic na tle idei niepodległości Polski, coraz ściślej współpracowali z Polską Partią Socjalistyczną. W 1927 r. ↦

↦ Erlich opublikował artykuł, w którym jednoznacznie skrytykował władzę sowiecką jako tę, która sprzeniewierzyła się idei socjalizmu.

Odciąganie żydowskiego rekruta

Istotne dla zrozumienia filozofii Bundu były próby rozmów „sojuszniczych" z KPP w 1934 r. Rok wcześniej Adolf Hitler doszedł do władzy w Niemczech i wedle zaleceń Kominternu europejscy komuniści mieli stworzyć antyfaszystowski „front ludowy". Negocjacje ze strony Bundu prowadzili Alter, Erlich i Emanuel Nowogródzki. Zakończyły się fiaskiem – komuniści stawiali warunki, których bundowcy nie mogli spełnić.

W wydanej wówczas broszurze Alter pisał, że ustrój Związku Sowieckiego „to dyktatura partii, zredukowana do dyktatury jednej osoby", czyli Józefa Stalina, a to jest nie do zaakceptowania dla socjalistów. Opisując z kolei czas Wielkiego Terroru lat 30., Alter mówił o „szale krwawych egzekucji". Tymczasem wielu lewicowych intelektualistów na Zachodzie starało się w tamtym czasie w ogóle nie dostrzegać stalinowskich zbrodni.

Czy to wtedy Stalin postawił krzyżyk na dwóch bundowskich działaczach? Czy dlatego kilka lat później będzie wobec nich tak nieprzejednany?

Powody tego stanu rzeczy dobrze wyjaśnił dziennikarz i pisarz Ksawery Pruszyński: w opowiadaniu „Dwaj ludzie", poświęconym Erlichowi i Alterowi (i opublikowanym po wojnie na emigracji) stwierdził, że „na tłumy żydowskiego proletariatu w Polsce i na świecie Moskwa patrzyła jak na swoją własność, swój zaciąg, zastępy, skąd powinna corocznie wybierać sobie rekruta. Odciąganie tego rekruta było zbrodnią. A właśnie tego żydowskiego rekruta odciągał Bund, odciągali Alter i Erlich. Jeżeli robociarz żydowski nie był komunistą, to dlatego, że mu Alter i Erlich potrafili wytłumaczyć, że zorza, jaka świta na wschodzie, nie jest zorzą prawdziwego socjalizmu (...) Cóż dziwnego, że z sowieckiego punktu widzenia Alter i Erlich należeli do najszkodliwszych ludzi w Polsce, a może nie tylko w Polsce?".

WIKIPEDIA

Symboliczny grób Wiktora Altera i Henryka Erlicha na Cmentarzu Żydowskim przy ul. Okopowej w Warszawie

Mimo antysemityzmu

W II RP Alter i Erlich stali się najważniejszymi liderami żydowskich socjalistów, Bund zaś stał się – w sojuszu z PPS – ważnym elementem systemu parlamentarnego. Pod koniec lat 30. zaczął nawet wygrywać rywalizację „na żydowskiej ulicy" z innymi partiami – głównie tymi syjonistycznymi (niezależnie, czy o lewicowym, czy prawicowym profilu). Alter i Erlich podkreślali, że Żydzi mają już swoją ojczyznę i jest nią kraj, w którym żyją, oraz że w tym kraju winni walczyć o swoje prawa, a także o dobrobyt społeczeństwa, którego są częścią. Ich celem była akulturacja polskich Żydów i wyrównywanie ich szans gospodarczo-społecznych, szczególnie pomoc robotnikom.

Przy tej idei obstawali pomimo antysemityzmu, który w II RP nasilił się po śmierci Józefa Piłsudskiego w 1935 r. Doświadczenia końca lat 30. nie spowodowały, że Bund odwrócił się od państwa polskiego. Sprawa jego niepodległości pozostała dla żydowskich socjalistów ważna. Gdy więc 1 września 1939 r. Niemcy zaatakowały, Alter i Erlich wydali odezwę, wzywając polskich Żydów do walki.

Podczas kampanii wrześniowej w szeregach Wojska Polskiego walczyło kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy pochodzenia żydowskiego; być może nawet co dziesiąty poległy w 1939 r. był polskim Żydem. Z kolei w Warszawie wielu Żydów, w tym bundowcy, na wezwanie swoich radnych zaangażowało się w oddziałach ochotniczych albo w obronie cywilnej.

Z łagru do Kujbyszewa

Pod koniec września Alter znalazł się w Lidzie, w sowieckiej strefie okupacyjnej. Aresztowany przez NKWD, został skazany na karę śmierci, którą zamieniono następnie na 10 lat zsyłki. Podobny los spotkał Erlicha: aresztowany w Brześciu na początku października, również został skazany na śmierć, po czym wyrok zamieniono mu na 10 lat łagru.

Więźniami gułagu byli przez ponad półtora roku. Gdy w czerwcu 1941 r. Hitler zaatakował niedawnego sojusznika, rządy polski i sowiecki zawarły porozumienie w sprawie wzajemnej pomocy w wojnie przeciw III Rzeszy. Nazwane paktem Sikorski–Majski (gdyż ze strony sowieckiej podpisał je ambasador w Wielkiej Brytanii Iwan Majski), przewidywało także amnestię dla polskich obywateli więzionych w Związku Sowieckim.

Zwolnieni z łagru we wrześniu, Erlich i Alter opracowali projekt Międzynarodowego Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego. Na czele miał stanąć Erlich, a Alter miał objąć funkcję sekretarza generalnego. Władze sowieckie zgodziły się, ale – jak pisał historyk Janusz Zawodny – „obstawiono ich ze wszystkich stron prowokatorami".

Obaj bundowcy trafili do Kujbyszewa – miasta w obwodzie nowosybirskim, za Uralem, gdzie powstawała polska ambasada (wobec niemieckiej ofensywy placówki dyplomatyczne ewakuowano z Moskwy). Kujbyszew stał się też siedzibą sztabu odtwarzanej armii polskiej, na czele której stanął gen. Władysław Anders.

W Kujbyszewie bundowcy nawiązali współpracę z ambasadorem Stanisławem Kotem. Była na tyle ścisła, że wrogowie Kota plotkowali, iż Alter i Erlich „rządzili ambasadą". Opinie takie, jak wspominał potem Kot, „niestety szerzyli w Wojsku Polskim oficerowie, niewątpliwie nastawieni przez łączników NKWD, gdy przygotowywano mord tych wybitnych osobistości. Byłem pełen uznania dla rozumu i taktu Erlicha, odwagi i zdolności Altera, pomagali mi w oddziaływaniu na Żydów

polskich, służyli radą w niejednej trudnej sprawie".

Porozumienie z Andersem

Taką właśnie sprawą była idea pozyskania polskich Żydów dla odtwarzanej armii. Liderzy Bundu zablokowali pomysły – zgłaszane przez prawicę syjonistyczną – aby formować oddzielne oddziały żydowskie, z myślą o przeniesieniu ich do Palestyny. Z kolei Anders zobowiązał się do tępienia przejawów antysemityzmu i równego traktowania wszystkich żołnierzy.

W następstwie tego nieformalnego porozumienia Alter i Erlich wydali odezwę: polskich Żydów – byłych łagierników i innych wygnańców, którzy po 17 września 1939 r. znaleźli się w Związku Sowieckim – zachęcali do wstępowania do armii Andersa.

Pisali: „zwracamy się do wszystkich Żydów, obywateli polskich, zdolnych do noszenia broni (...) z wezwaniem: Do broni! Stańcie w szeregach żołnierzy, którzy krwią własną raz jeszcze okupić mają prawo Polski do wolnego życia, którzy wespół z armiami państw sprzymierzonych uwolnić chcą Polskę i świat cały od zmory brunatnej niewoli. Ci zaś spośród Was, co niezdolni są do noszenia broni, niechaj nie szczędzą trudu, by ulżyć Armii w spełnianiu jej zadań, by przyspieszyć zwycięstwo. Udział w obecnej wojnie o wolność to i obowiązek, i zaszczytne prawo. W imieniu żydowskich mas pracujących i inteligencji żydowskiej, które darzą nas zaufaniem, deklarujemy gotowość spełnienia obowiązku i domagamy się możności korzystania z tego prawa".

Już wcześniej, przy tworzeniu Międzynarodowego Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego, na którym zależało władzom sowieckim, Alter i Erlich odmówili współpracy z NKWD. Nie chcieli zgodzić się na bycie marionetkami. Co więcej, zaczęli interesować się losem zaginionych – jak wtedy jeszcze sądzono – oficerów armii polskiej, którzy w 1939 r. trafili do obozów w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie. To właśnie miało najbardziej rozwścieczyć Stalina i stać się powodem ich ponownego aresztowania.

Pętla się zaciska

Bundowcy zdawali sobie sprawę, że stąpają po kruchym lodzie, dlatego starali się o zgodę na wyjazd ze Związku Sowieckiego. Erlich chciał pojechać do USA, a Alter do Londynu, gdzie zamierzał zostać członkiem Rady Narodowej (emigracyjnego parlamentu) jako przedstawiciel ludności żydowskiej przy polskim rządzie.

Nie zdążyli: 4 grudnia 1941 r. wieczorem zostali aresztowani. Syn Altera twierdził potem, że bezpośrednim powodem był list jego ojca do Waltera Citrine'a, szefa Międzynarodowej Federacji Związków Zawodowych, który NKWD przechwyciło. Kluczowy miał być fragment: „Przez dwa lata badałem ZSRR przez kraty więzienne. Przysiągłem sobie, że jeżeli wyjdę na wolność, uczynię wszystko, by przyśpieszyć koniec tej straszliwej zmory, która dusi Związek Sowiecki. I chcę Waszej w tym pomocy".

Gdy ambasada polska interweniowała w obronie aresztowanych, dostała odpowiedź, że są oni „szpiegami Hitlera". Na kolejną notę dyplomatyczną, w której argumentowano, iż obaj są polskimi obywatelami, nadeszła lakoniczna odpowiedź, iż rząd sowiecki „nie widzi podstaw do zmiany swego stanowiska". Także dalsze zabiegi ambasadora Kota o zwolnienie bundowców zakończyły się fiaskiem. 28 stycznia 1942 r. Komisariat Ludowy Spraw Zagranicznych (odpowiednik MSZ) ostentacyjnie zwrócił ambasadzie polskie paszporty Altera i Erlicha, informując, że są oni obywatelami sowieckimi i „dalsze zapytania w ich sprawie przez polskiego ambasadora nie powinny mieć miejsca".

Grób symboliczny

Okoliczności śmierci Erlicha do dziś nie zostały ostatecznie wyjaśnione. Dopiero w lutym 1943 r. władze sowieckie podały, jakoby 14 maja 1942 r. popełnił on w więzieniu samobójstwo (za tą wersją opowiada się część historyków, w tym Szymon Rudnicki i Marian Turski). Być może jednak został rozstrzelany – tak jak Alter, którego NKWD zamordowało 17 lutego 1943 r. Choć i ta data jest niepewna. Istnieje hipoteza, że obaj zostali skazani za rzekome szpiegostwo i zamordowani wkrótce po zatrzymaniu.

W pojałtańskiej Polsce pamięć o nich miała być wymazana. Bogatą spuściznę Altera, jego książki i artykuły, wycofano z bibliotek i objęto zapisem cenzury. Dopiero na rok przed upadkiem PRL, dzięki staraniom Marka Edelmana – jednego z dowódców powstania w getcie warszawskim i także działacza Bundu – postawiono im symboliczny grób. Stało się to 17 kwietnia 1988 r. na cmentarzu Żydowskim przy ul. Okopowej w Warszawie, na dwa dni przed 45. rocznicą wybuchu powstania w getcie. Władze PRL próbowały wykorzystać tę rocznicę do uwiarygodnienia się w oczach Zachodu – dzięki temu dwaj bundowcy mogli przynajmniej uzyskać symboliczne miejsce pamięci.

Potem komunizm upadł, ale Alter i Erlich nadal są bardzo słabo obecni w polskiej świadomości historycznej.

© MIKOŁAJ MIROWSKI

Autor jest historykiem i publicystą, wydał „Rewolucję permanentną Lwa Trockiego. Między teorią a praktyką" (2013) i tom rozmów „Piłsudski (nie)znany. Historia i popkultura" (2018). Pracuje w Muzeum Historii Polski.

Wiktor Alter i Henryk Erlich na znaczku wydanym w PRL przez solidarnościowe podziemie w 1988 r.

ARCHIWUM TOMASZA JACKOWSKIEGO / FOTONOVA / EAST NEWS

NAUKA

NOŻYCZKI JUŻ TNĄ

W cieniu setek badań nad szczepionką i lekami mającymi powstrzymać obecną pandemię rozgrywa się kolejny etap rewolucji naukowej, związanej z metodą edycji genów CRISPR/Cas9.

ANNA BARTOSIK

PAUL BROWN / ARDEA.COM / EAST NEWS

Ta metoda już w 2012 r. została okrzyknięta przyszłym panaceum na setki chorób, ale jej zastosowania kliniczne pojawiły się dopiero niedawno. System CRISPR/Cas9 to rodzaj prostego mechanizmu odpornościowego niektórych bakterii, który chroni je przed atakami wirusów.

Przy pierwszym kontakcie bakterii z wirusem białka Cas9 wycinają fragment jego DNA – unieszkodliwiając w ten sposób intruza – a potem wklejają wycięty fragment w ściśle określone miejsce w genomie bakterii. „Biblioteczka" takich fragmentów nosi zaś nazwę CRISPR. To wspaniały wynalazek ewolucji, ponieważ wycięty fragment będzie działał jak pamięć immunologiczna bakterii – i jej potomstwa. Gdy zapamiętany w genomie bakterii wirus zaatakuje ponownie, zostanie rozpoznany i pocięty na kawałki.

Naukowców szczególnie zainteresował precyzyjny, wręcz chirurgicznie dokładny mechanizm działania „molekularnych nożyczek". Bakteryjna maszyneria białkowa została w krótkim czasie zaadaptowana do pracy w komórkach ludzkich. W systemie kluczowe role odgrywają cząsteczka „przewodnika" RNA (ang. *guide RNA* – gRNA) i enzym Cas9. Cząsteczka gRNA kieruje enzym dokładnie w to miejsce, gdzie ma dojść do modyfikacji materiału genetycznego. Precyzja, z jaką system CRISPR/Cas9 odszukuje właściwe miejsce na nici DNA i je modyfikuje, spowodowała, że naukowcy od razu dostrzegli jego potencjał w leczeniu chorób o podłożu genetycznym. Zwłaszcza tych, gdzie zmiana na poziomie DNA jest niewielka, ale ma potężny wpływ na życie milionów ludzi, jak choćby w przypadku anemii sierpowatej czy mukowiscydozy.

Początki terapii genowej

W latach 90. XX w. podobnie wielkie nadzieje były pokładane w rozwoju konwencjonalnej terapii genowej, ale po początkowej fazie entuzjazmu zapanowało rozgoryczenie wywołane brakiem skuteczności i śmiercią pacjentów. Konwencjonalna terapia genowa polega na podaniu pacjentowi przy pomocy nośników wirusowych zdrowej kopii genu, który w jego organizmie nie działał prawidłowo. W czasach pandemii koronawirusa samo stwierdzenie o „nośniku wirusowym" brzmi być może niepokojąco, ale tak, w latach 90. XX w. wykorzystywano w tym celu najczęściej łagodne wirusy przeziębienia. A przynajmniej do czasu śmierci 18-letniego Jesse'ego Gelsingera, ochotnika w badaniu klinicznym w 1999 r.

Chłopak urodził się z mutacją w genie OTC, która powodowała niedobór jednego z produkowanych w wątrobie enzymów kluczowych w procesie degradacji białek w komórkach. Brak produktu genu OTC powoduje odkładanie amoniaku, który niszczy komórki, naczynia krwionośne i dociera nawet do mózgu, gdzie zabija neurony. Większość pacjentów umiera we wczesnym dzieciństwie, ale wariant mutacji u Jesse'ego prowadził do łagodnej formy choroby. Niemniej chłopak musiał dbać o dietę i przyjmować codziennie kilkadziesiąt tabletek, które regulowały poziom amoniaku. Według protokołu badania klinicznego, do którego zgłosił się jako ochotnik, do krwi pacjenta wprowadzano wirusa z poprawną kopią genu OTC, który miał dostać się do komórek wątroby, a następnie wbudować poprawny gen do ich DNA, co skutkowałoby produkcją funkcjonalnego enzymu OTC. Wirus wybrany jako nośnik dla genu uchodził za niegroźny, wywołujący jedynie lekkie przeziębienia. Terapia powiodła się już wcześniej u 17 pacjentów.

Most Helisy w Singapurze. Charakterystyczny kształt cząsteczki DNA jest już fenomenem kulturowym

Jesse poczuł się źle od razu po podaniu wirusa, a jego stan z dnia na dzień się pogarszał – wysoka gorączka, uszkodzona wątroba, rozpad czerwonych krwinek, wreszcie uszkodzenie mózgu i śmierć. Przebieg terapii był szokiem dla lekarzy. Autopsja wykazała, że Jesse zetknął się wcześniej z zastosowanym wirusem podczas zwykłego przeziębienia. Kolejny kontakt wywołał gwałtowną reakcję układu odpornościowego. Można było to sprawdzić poprzez zbadanie obecności przeciwciał na ten typ wirusa we krwi chłopca, jednak tego nie zrobiono.

Śmierć Jesse'ego spowodowała wstrzymanie prac nad terapią genową na wiele lat i była lekcją pokory dla świata nauki. Ale naukowcy i lekarze odrobili lekcję z tego doświadczenia i teraz z większą ostrożnością podchodzą do bezpieczeństwa terapii opartych na modyfikacji genomu. Dobrym przykładem jest zaakceptowana w 2019 r. przez amerykańską Agencję Żywności i Leków terapia genowa w leczeniu rdzeniowego zaniku mięśni u dzieci (SMA), o której zrobiło się głośno ze względu na jej cenę – ponad dwa miliony dolarów – i organizowane publiczne zbiórki.

Zmodyfikowane limfocyty

W przypadku konwencjonalnej terapii genowej naukowcy nie mają w pełni kontroli nad obszarem DNA, w który zostanie wbudowany materiał genetyczny podany w wirusowym nośniku. Niesie to za sobą niebezpieczeństwo przerwania istotnych dla funkcjonowania komórek fragmentów DNA. Precyzja sytemu CRISPR/Cas9 niweluje w znacznym stopniu to zagrożenie, zmniejszając ryzyko niepożądanych efektów terapii. Obecnie wciąż trwają badania nad biochemicznym mechanizmem działania „molekularnych nożyczek", jednak świat nauki mówi również „sprawdzam" – i dochodzi do pierwszych testów na ludziach.

Pierwsze doniesienia o próbach klinicznych z zastosowaniem techniki CRISPR/ /Cas9 dotarły do nas w 2016 r. z Chin. Naukowcy ogłosili wtedy zastosowanie tej metody edycji genów w terapii nowotworów. W limfocytach T pobranych z krwi pacjentów cierpiących na raka płuc usunięto gen kodujący białko PD-1, które hamuje odpowiedź immunologiczną, na czym korzystają komórki nowotworowe. Nie są one wówczas eliminowane z organizmu i mogą się namnażać.

Następnie zmodyfikowane molekuły podano tym samym pacjentom. Limfocyty T z usuniętym białkiem PD-1 powinny szybciej i efektywniej atakować i niszczyć komórki nowotworowe. W badaniu miało wziąć udział 250 pacjentów, ale bardzo mało danych zostało do tej ↦

pory opublikowanych, więc nie wiemy, czy technika okazała się skuteczna.

W immunoterapii nowotworów testowane są w laboratoriach rozwiązania, które łączą edycję genomu metodą CRISPR/Cas9 (ukierunkowaną na pozbycie się wspomnianego białka PD-1 z limfocytów T) z tzw. techniką CAR-T. Przy jej pomocy limfocyty są tak modyfikowane, by mogły rozpoznawać komórki nowotworowe pacjenta. Połączenie obu metod daje szansę na otrzymanie efektywnie działających komórek odpornościowych, zdolnych do szybkiego i skutecznego zwalczania nowotworu. Edycja materiału genetycznego pobranych od pacjenta limfocytów T zachodzi pozaustrojowo. Komórki są następnie namnażane i podawane pacjentowi. Przewiduje się, że w kolejnych latach będzie rosła liczba tego typu badań klinicznych. Już teraz tylko dla samej techniki CAR-T jest ich zarejestrowanych ponad 500 na całym świecie.

Hemoglobina płodowa u dorosłych

Zdecydowanie większe nadzieje z zastosowaniem metody CRISPR/Cas9 są pokładane w terapii chorób o podłożu genetycznym. W USA prowadzone są badania kliniczne nad zastosowaniem edycji genów w leczeniu anemii sierpowatej i beta-talasemii. W przypadku obu tych chorób dochodzi do mutacji w obrębie genu kodującego hemoglobinę – białko odpowiadające za transport tlenu w organizmie.

U części osób posiadających wady genetyczne związane z anemią sierpowatą lub beta-talasemią nie pojawiają się jednak objawy choroby – jednocześnie zaobserwowano u nich występowanie w czerwonych krwinkach tzw. hemoglobiny płodowej. Badania wykazały, że u osób tych występuje mutacja w genie odpowiedzialnym za produkcję tego rodzaju hemoglobiny. Hemoglobina płodowa wykazuje silniejsze powinowactwo do tlenu, dzięki czemu może odbierać tlen związany z hemoglobiną w krwi matki, docierającej do łożyska. Normalnie ten rodzaj hemoglobiny przestaje być produkowany około szóstego miesiąca życia – chyba że dojdzie do wspomnianej mutacji. Zjawisko to opisywane jest jako zespół wrodzonego przetrwania hemoglobiny płodowej i nie ma negatywnych skutków dla zdrowia. Firmy Vertex Pharmaceuticals i CRISPR Therapeutics testują, czy przy pomocy edycji genów można wprowadzić mutację utrzymującą produkcję hemoglobiny płodowej w dorosłym życiu i tym samym pomóc pacjentom z anemią sierpowatą i beta-talasemią.

Nośniki wirusowe mają ograniczoną pojemność i mogą być niebezpieczne. **Dlatego naukowcy pracują nad lipidowymi nanocząstkami,** w których można by bezpiecznie transportować system CRISPR/Cas9.

Terapia polega na pobraniu od pacjenta komórek macierzystych krwi obecnych w szpiku, które są modyfikowane genetycznie w laboratorium za pomocą techniki CRISPR/Cas9, tak żeby produkować duże ilości hemoglobiny płodowej. Następnie te same komórki po namnożeniu są ponownie wprowadzone do organizmu pacjenta – teraz już uzbrojone w nowe możliwości. Dostarczają do krwi hemoglobinę płodową i w ten sposób zapewniają lepsze utlenowanie krwi, a co za tym idzie, wszystkich tkanek. Badania przedkliniczne wykazały, że w ok. 90 proc. komórek macierzystych krwi dochodzi do pożądanej zmiany w DNA, co skutkuje wzrostem produkcji hemoglobiny płodowej, tak że stanowi ona nawet przeszło 40 proc. całej hemoglobiny. Według naukowców ma to wystarczyć dla poprawy stanu zdrowia pacjentów. Badania wykazały również, że modyfikacja DNA nie zachodzi w przypadkowych miejscach, co ma kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa terapii. Obecnie terapia pod nazwą CTX001 znajduje się na etapie prób klinicznych u pierwszych pacjentów z ciężką postacią anemii sierpowatej w USA, Kanadzie, Belgii, Niemczech i Włoszech.

Terapia w organizmie

Komórki krwi – takie jak limfocyty T czy erytrocyty zawierające hemoglobinę – można łatwo pobrać od pacjenta i „naprawić" w laboratorium. Inaczej jest w przypadku, gdy choroba dotyka całego organizmu albo wybranego organu. Naukowcy ciągle pracują nad rozpoznaniem możliwości skutecznej i bezpiecznej edycji genów systemem CRISPR/Cas9 na poziomie całego organizmu. Jedno z takich badań dotyczy leczenia wrodzonej ślepoty Lebera.

Jest to choroba o podłożu genetycznym, w której dochodzi do mutacji genu CEP290, powodującej obumieranie jednego rodzaju fotoreceptorów – pręcików – w siatkówce oka. Komórki te nie potrafią się zregenerować i następuje stopniowa utrata wzroku. Badanie kliniczne prowadzone wspólnie przez firmy Editas Medicine i Allergan ma sprawdzić, czy możliwe jest wprowadzenie we wnętrzu cząsteczki wirusa systemu CRISPR/Cas9 do komórek oka i usunięcie na miejscu mutacji w genie CEP290. Badanie kliniczne o chwytliwej nazwie „Brilliance" (blask) jest pierwszym na świecie, w ramach którego testuje się medycynę opartą na edycji genów bezpośrednio w organizmie człowieka.

Pierwszymi osobami, które zostaną poddane eksperymentalnej terapii, są dorośli pacjenci z prawie całkowitą ślepotą, ale naukowcy nie wykluczają też testów u dzieci. Początkowo małe ilości „molekularnych nożyczek" zostaną wstrzyknięte pod siatkówkę w celu określenia bezpiecznej dawki. Na tym etapie naukowcy nie będą jeszcze oceniać efektywności leczenia. Jeżeli terapia okaże się bezpieczna, ochotnicy otrzymają wyższe dawki, a lekarze będą obserwować, czy zachodzi poprawa widzenia u pacjentów.

W opisanym badaniu naukowcy wykorzystują wirusy do zapakowania maszynerii CRISPR/Cas9 i dostarczenia jej w miejsce działania. Ale wirusy mają stosunkowo niewielką pojemność, co może stanowić barierę dla niektórych terapii, a poza tym mogą wpływać na jej bezpieczeństwo – jak w przypadku konwencjonalnej terapii genowej. Dlatego naukowcy z firm Intellia i szwajcarskiego giganta farmaceutycznego Novartis chcą opracować lipidowe nanocząstki, do których można zmieścić system CRISPR/Cas9 i bezpiecznie przetransportować go wraz z krwią do komórek docelowych. Nośniki oparte na lipidach mają również tę zaletę, że łatwo dochodzi do ich połączenia się z błoną komórkową, również zbudowaną w znacznej mierze

z lipidów. Badania wykazują, że takie nanocząstki mają tendencję do gromadzenia się w wątrobie, dlatego naukowcy chcą się najpierw skoncentrować na terapiach w obrębie tego organu. Równocześnie będą pracować nad wprowadzaniem nanocząstek do innych organów, takich jak mięśnie czy mózg.

Rozcinanie koronawirusa

Badań nad zastosowaniem technologii CRISPR/Cas9 nie mogło także zabraknąć w obszarze zwalczania koronawirusa SARS-CoV-2. Naukowcy z Uniwersytetu Stanforda już jakiś czas temu rozpoczęli prace nad wykorzystaniem tej metody w leczeniu zwykłej grypy, ale w obliczu pandemii przekierowali swoje wysiłki w kierunku opracowania terapii na infekcję nowym koronawirusem. Innowacyjna metoda bazująca na technice CRISPR/Cas9 została nazwana PAC-MAN (ang. *Prophylactic Antiviral CRISPR in huMAN cells*, czyli „profilaktyczny antywirusowy CRISPR dla ludzkich komórek"). Skojarzenie z popularną grą komputerową nie jest przypadkowe.

System PAC-MAN oparty jest na enzymie Cas13 i cząsteczce gRNA, która kieruje Cas13 w odpowiednie miejsce w genomie wirusa. PAC-MAN wprowadza zmiany w materiale genetycznym koronawirusa, w wyniku czego dochodzi do jego neutralizacji i zahamowania namnażania w komórkach. Obecnie prowadzone są prace nad tym, żeby terapia mogła skutecznie dotrzeć do płuc pacjenta zakażonego SARS-Cov-2, co nie jest takie proste, biorąc pod uwagę znaczne zniszczenia tkanek, proces zapalny i wypełnienie zainfekowanych płuc płynem.

W tym celu naukowcy z Uniwersytetu Stanforda połączyli siły z laboratorium Molecular Foundry również zlokalizowanym w Kalifornii, gdzie prowadzone są prace nad lipitoidami, syntetycznymi nanocząsteczkami odkrytymi 20 lat temu. Lipitoidy mają szerokość jednej miliardowej metra, nie są toksyczne dla człowieka i łatwo można w nich upakować system PAC-MAN. Pod koniec kwietnia przeprowadzono pierwsze eksperymenty wykorzystujące Lipitoid-1, który łączy elementy składowe systemu PAC-MAN, w próbce ludzkich komórek nabłonkowych płuc. Wykazano, że ingerencja ta aż o 90 proc. zmniejszyła liczbę cząsteczek wirusa SARS-CoV-2. Wyniki tych prac są obiecujące, ale przed naukowcami jeszcze bardzo długa droga, zanim będą mogły stać się skuteczną i bezpieczną terapią antywirusową.

Reputacja techniki CRISPR/Cas9 została kilka lat temu nadszarpnięta z uwagi na badania chińskich naukowców idące w kierunku edytowania materiału genetycznego ludzkich embrionów, co jest kwestionowane pod względem bioetycznym. Prowadzone obecnie badania kliniczne nie są podważane pod tym względem, ponieważ edycja DNA przy pomocy „molekularnych nożyczek" dotyczy osób dorosłych, a wprowadzane zmiany nie mogą być dziedziczone (ponieważ dotyczą komórek somatycznych, a nie rozrodczych). Postępy w wielu terapiach są bardzo szybkie i obiecujące, zwłaszcza że od odkrycia systemu CRISPR/Cas9 nie minęła jeszcze dekada. W tym krótkim czasie edycja genów zrewolucjonizowała biologię molekularną i pozwoliła na szybki rozwój medycyny precyzyjnej. © ANNA BARTOSIK

Nowa droga: edycja mRNA

METODY EDYCJI GENÓW nie muszą opierać się wyłącznie na trwałej modyfikacji łańcuchów DNA – jak w przypadku systemu CRISPR/Cas9. Obecnie na znaczeniu zyskuje metoda edycji mRNA, odkryta w podobnym czasie co CRISPR/Cas9 i przez lata zostająca w jego cieniu; mRNA to robocza, jednoniciowa kopia DNA, na bazie której w komórkach syntetyzowane są białka. Ponieważ po spełnieniu swojej funkcji jest usuwana, edytowanie mRNA niesie za sobą mniejsze zagrożenia niż edycja DNA – obecnego stale w jądrze komórkowym. Dzięki tej metodzie pojawiły się szanse na opracowanie nowych terapii na raka, choroby genetyczne, leczenie przewlekłego bólu czy obniżanie poziomu cholesterolu.

Edycja mRNA opiera się na aktywności dwóch enzymów odkrytych w ludzkich komórkach: ADAR i APOBEC. Każdy z nich może dokonywać pojedynczego rodzaju zmian w łańcuchu mRNA. Jest to pewnym ograniczeniem w porównaniu do CRISPR/Cas9, gdzie występuje większa swoboda w rodzaju dokonywanych zmian. Z drugiej strony oba enzymy są pochodzenia ludzkiego, więc nie niosą ze sobą zagrożenia aktywacji układu odpornościowego, tak jak w przypadku bakteryjnego białka Cas9.

Naukowcy z Marine Biological Laboratory w Massachusetts pracują nad terapią przeciwbólową bazującą na edycji mRNA genu kodującego kanał sodowy o nazwie Nav1.7, który kontroluje przekaz sygnałów bólowych do mózgu. Trwała zmiana genu Nav1.7 mogłaby wyeliminować uczucie bólu i dodatkowo wpłynąć na funkcjonowanie układu nerwowego. Ale obniżenie jego poziomu w wybranych tkankach i przez określony czas – właśnie poprzez edycję mRNA, a nie DNA – pozwoliłoby uśmierzyć ból bez ryzyka związanego ze stosowaniem standardowych leków przeciwbólowych (które np. mogą uzależniać). Metodę tę bada się też w kontekście regulacji poziomu cholesterolu. Wykazano, że osoby z określonymi mutacjami w genie PCSK9 mają obniżony poziom cholesterolu we krwi. Wystarczyłoby odpowiednio edytować sekwencję mRNA, żeby osiągnąć podobny efekt u pacjentów z nadmierną ilością cholesterolu.

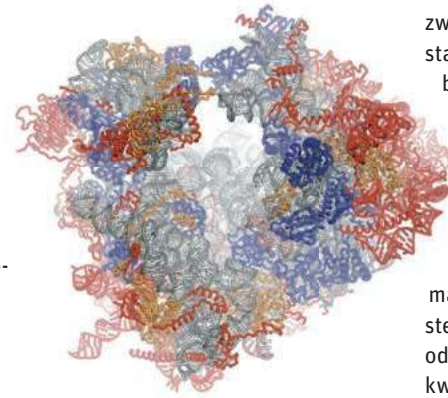

Rybosom: fabryka białek na podstawie mRNA

WIKIPEDIA

Podobnie jak w przypadku CRISPR/Cas9, jednym z głównych wyzwań stojących przed naukowcami jest skuteczne i bezpieczne wprowadzenie zestawu enzymów koniecznych do edycji mRNA do komórek w organizmie. W tym celu prowadzone są testy przy użyciu zarówno nośników wirusowych, jak i nanocząstek.

© AB

WOJCIECH

Bonowicz:
Coś między nami

„Rozumieliśmy się na mruczando”. Jest to zdanie genialne, a jego autorem jest Lech Wałęsa. Kiedy Bereś z „Baronem” kręcili film dokumentalny o księdzu Tischnerze, polecieli do pierwszego przywódcy Solidarności, żeby go spytać, jak się im (Wałęsie i Tischnerowi) układała współpraca. I on im odpowiedział właśnie tak: „Rozumieliśmy się na mruczando”. Nawet jeśli niektórym zawistnikom się powiedzie i wymażą Wałęsę z historii Polski lub przesuną go na drugi plan (w co nie wierzę), ta i podobne frazy zapewnią mu nieśmiertelne miejsce w historii polszczyzny. I to jest zresztą wielka kwestia: czy lepiej być w historii polszczyzny, czy w historii Polski, do gmerania przy której jest z oczywistych powodów więcej chętnych?

Przywołuję tę genialną i nieco krotochwilną frazę z okazji w żaden sposób nie krotochwilnej. Ale nic na to nie poradzę: to właśnie ona, jako pierwsza, przyszła mi do głowy, kiedy w telefonie wyświetliła się wiadomość o śmierci pani redaktor Hennelowej (kiedyś napiszę, jak inni, „pani Ziuty”, ale nie teraz, nie od razu, dobrze?). Bo to, co nas łączyło, można chyba tylko tak opisać. Nie widywaliśmy się często, a w ostatnim czasie to już naprawdę rzadko; dłuższych rozmów odbyliśmy zaledwie kilka, zazwyczaj zresztą wtedy, kiedy ona do mnie dzwoniła, żeby podzielić się czymś, co ją zachwyciło lub poruszyło. Ja tak spontanicznie zadzwoniłem tylko raz, po jakimś jej felietonie; grzecznie wysłuchała moich entuzjazmów, a potem w słuchawce zaległa cisza. Nie wiedziałem, co powiedzieć, wyrzuciłem z siebie już wszystko, co miałem przygotowane. Dopiero po chwili podsunęła jakiś temat i rozmowa potoczyła się dalej.

Łączyło nas mnóstwo rzeczy niewypowiedzianych. Chociaż lubiłem jej słuchać, bo mówiła całymi akapitami, starannie zbudowanymi, a tak to już prawie nikt nie mówi. Nawet kiedy była w słabszej formie, a akapity stały się z konieczności krótsze, zachowała tę cechę, dzięki której można było na chwilę odpocząć w cieniu rozłożystej polszczyzny, starannie pielęgnowanej i nietkniętej przez szkodniki. Raz jeden powiedziała mi wprost, że żałuje, iż odszedłem od tematyki społecznej na rzecz literatury i filozofii. Chyba musiałem się zafrasować, bo dodała z uśmiechem: „Ale widzę, że inni to pociągną”. Pisząc kolejne felietony, myślałem o tym, co powie. Wiem, że bywała krytyczna, cierpka, nawet trochę czepliwa, ale wobec mnie nigdy. Raz się pokłóciliśmy, ale tak elegancko, że właściwie nie wiem, czy można to nazwać kłótnią.

Nasze „mruczando” obejmowało sprawy, o których po prostu nie należy mówić za często i za wiele. Bo jeśli mówi się za wiele, bledną lub śniedzieją. Są pewne przekonania i wartości, wiary i nadzieje, które trzeba chronić przed słowami. Nie byliśmy z jednego świata i pewnie niejedna rzecz zdumiewała ją w tym, co pisałem, a jednak kiedy ja z kolei czytałem jej zapiski, czułem, że rozmawia właśnie ze mną, że mnie do swojego świata zaprasza. Spośród jej książek najbardziej lubię tę późną, zatytułowaną „Coraz bliżej albo coraz mniej”. Pisała, że świat wokół robi się coraz bogatszy, a ona się w tym bogactwie gubi. I martwiła się, czy w tym świecie będzie jeszcze miejsce dla ludzi takich jak ona, słabnących, tracących cierpliwość, coraz mniej odpornych. Ale też – czy sama będzie dla tego świata dostatecznie wyrozumiała, otwarta, gotowa go przyjąć w jego odmienności.

Co tu dużo mówić – imponowała mi. Wielkość niektórych ludzi zasadza się na trwaniu i na upartym upominaniu się o to, co najważniejsze. Często nie słyszymy ich głosów, a nawet jeśli w końcu skądś nas dobiegną, mówimy „wiem, wiem” i machamy ręką. Ale dopóki są wśród nas, nie jesteśmy zgubieni. ©

TYGODNIK POWSZECHNY
Podkast Powszechny

Zapraszamy do słuchania autorskich cyklów podkastów „Tygodnika Powszechnego”

Punkt zwrotny
Katarzyna Kubisiowska i jej goście

#DOM
czyli rozmowy Krzysztofa Storego o małej ojczyźnie

LEKtura
czyli Grzegorz Jankowicz o tym, co i dlaczego warto dziś czytać

Sztuka powszechnie nieznana
Magdaleny Łanuszki, która odkrywa dla nas na nowo średniowieczne dzieła

Miesiąc w nauce
z autorskim przeglądem newsów naukowych Łukasza Lamży

Opowieści z Izraela
korespondencje Karoliny Przewrockiej-Aderet

Więcej na powszech.net/podkast

weź, słuchaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

#wrzesień kobiet

We wrześniu do 3-miesięcznego dostępu do strony TygodnikPowszechny.pl – wydanie specjalne „Moc kobiet” w prezencie!

100 lat temu państwa zaczęły przyznawać kobietom prawa wyborcze. W następnych dekadach przekonywaliśmy się, że to nie był koniec, tylko początek walki o równouprawnienie. Sytuacja kobiet w niemal każdej dziedzinie życia społecznego była, a często nadal jest, trudniejsza niż sytuacja mężczyzn.
Z drugiej strony w tych warunkach poznawaliśmy moc kobiet, siłaczek, które wbrew przeciwnościom odnosiły spektakularne sukcesy i dokonywały heroicznych czynów, zarówno w walce o równe traktowanie, jak i w rozwoju całego społeczeństwa. W wydaniu specjalnym „Moc kobiet” pokazujemy źródła tej siły, a także jej wpływ na świat.

Jak skorzystać z promocji:

- wejdź na **powszech.net/wrzesienkobiet**
- wybierz w sklepie ofertę **#wrzesienkobiet** – 3-miesięczny e-dostęp do bieżących wydań i bogatego archiwum ORAZ drukowane na kredowym papierze wydanie specjalne „Moc kobiet”
- przy zamówieniu lub w UWAGACH wpisz adres wysyłki, a pismo dostaniesz do skrzynki pocztowej na **nasz koszt** – niezależnie od kraju dostawy!

TYGODNIK POWSZECHNY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ŚWIĘTA ZIEMIA

ANDRI SNÆR MAGNASON, ISLANDZKI PISARZ:

W przyszłości nie chodzi o technologię, lecz o babcię jedzącą z wnukami naleśniki przy kuchennym stole.

„Jestem na dalekiej północy, ale w piątek rano powinno się udać" – pisze Andri Snær Magnason, gdy proszę o wideorozmowę. Owa północ to jeden z islandzkich półwyspów pod samym kołem podbiegunowym. Stoi tam wielopokoleniowy dom, który w każde wakacje zaludnia się krewnymi pisarza i ich dziećmi. Lato 2020 r. spędza w nim około 30 osób, z czego połowa to dzieci, które bawią się samopas.

Żeby uświadomić mi skalę izolacji, Magnason opowiada anegdotę: kilka dni wcześniej zadzwonił do córki, bo dawno nie widział jej wokół domu. Usłyszał, że całą bandą poszli na sąsiednią farmę. Najpierw się przeraził, bo to 25 km dalej. Ale zaraz zrozumiał, że nic im nie grozi. Nawet ciemność, która w lipcu tak daleko na północy po prostu nie zapada. Wsiadł więc w auto, zawiózł dzieciom trochę jedzenia, które zapomniały wziąć ze sobą, a potem wrócił i przestał się martwić.

Jest też inna, bardziej ponura strona tutejszej geografii. – Myślałem, że usiądę na ganku z poranną kawą i pogadamy. Ale jest pięć stopni Celsjusza i pada. Ot, islandzkie lato – śmieje się pisarz. Kiedy rozmawiamy, spaceruje wokół domu, który wciąż śpi. Parę razy dolewa do kubka gorącą kawę, głównie po to, jak mówi, żeby ogrzać dłonie. W tle słychać jednostajny szum deszczu i ptaki. Takie okoliczności wywiadu po prostu domagają się didaskaliów.

ADAM ROBIŃSKI

MARTIN ZWICK / REDA&CO / GETTY IMAGES

Masyw wulkaniczny Kerlingarfjöll na wyżynie islandzkiej, sierpień 2018 r.

ADAM ROBIŃSKI: Zaczyna Pan swoją książkę od przywołania słynnej, choć prawdopodobnie zmyślonej klątwy: „Obyś żył w ciekawych czasach". W czym przejawia się ciekawość naszych czasów?

ANDRI SNÆR MAGNASON: Każdy odpowie na to pytanie inaczej. Jeśli jesteś geologiem lub glacjologiem, uznasz za niesamowite to, że na przestrzeni własnego życia obserwujesz procesy, które dawniej trwały setki, tysiące lat. Zdarzyło mi się słyszeć wśród naukowców przedziwny entuzjazm związany z faktem, że oto nagle geologia wyszła z podręczników i dzieje się na ich oczach. Również dla historyka świadomość, że świadkuje wielkiej historii, może być ekscytująca. Tymczasem naukowcy przewidują, że przed nami o wiele ciekawsze czasy. Najwyraźniej naszym najważniejszym zadaniem jest zadbanie o to, by przyszłość była jednak nudna.

Książka nosi tytuł „O czasie i wodzie", ale jest przede wszystkim o słowach. Posługuje się Pan nimi z precyzją aptekarza, którzy miesza składniki w trosce, by mu mikstura w rękach nie wybuchła, tylko jakoś zadziałała. Skąd ta ostrożność?

Wydaje mi się, że z poezji. Poeta stara się tak ogolić temat, by pozostało wyłącznie łyse zagadnienie. Mieliśmy swego czasu w Islandii modernistycznego poetę, który wbrew dominującemu wśród innych autorów ateizmowi był bardzo religijny. Niesamowite było dla mnie obserwowanie, jak poszukuje nowych metafor w systemie językowym stuletnich hymnów i psalmów, który kompletnie nie przystawał do tych czasów.

Jestem w podobnej sytuacji, gdy próbuję mówić o sprawach dla mnie kluczowych, dotyczących ochrony środowiska. Chcę wyrażać się bardzo szczerze w cynicznym świecie, który zdaje się już być znudzony tymi zagadnieniami. Zamyka się na przyjmowanie pewnych prawd. Ale ta ostrożność bierze się również z mojego buntu wobec prowadzenia dialogu „na tempomacie". Mógłbym napisać książkę na tempomacie, bardzo schematyczną, w dwa dni. Sztuczna inteligencja też by dała radę. Po prostu przeorać najważniejsze artykuły i prace naukowe. Przelecieć przez poziom wód w oceanach, niedźwiedzie polarne, spadek bioróżnorodności, zakwaszenie wód. Tymczasem „O czasie i wodzie" pisałem dziesięć lat. Tyle zajęło mi szukanie sposobu na dostosowanie języka do skali problemów.

Pamięta Pan słowa, które uświadomiły Panu skalę problemu?

Słyszy pan te ptaki w tle? To rybitwy popielate. Lęgną się tu, pod kołem podbiegunowym, a potem wędrują przez całą planetę aż do Antarktyki. Moje pokolenie w dzieciństwie żyło w strachu przed wojną jądrową. Pamiętam, że zastanawiałem się, tu, na końcu świata, co by było, gdyby pewnego razu rybitwy nie wróciły z południa, bo na drugiej stronie planety wydarzyło się coś strasznego. Zawsze byłem więc bardzo świadomy spraw ochrony gatunkowej. Chciałem zostać biologiem, jak wujek, którego opisałem w książce. Ale to wszystko nijak miało się do spraw klimatu. Zresztą Islandia to miejsce, gdzie zmiany klimatu zawsze były widoczne jak na dłoni, za sprawą erupcji wulkanicznych, małych zlodowaceń itp., więc dawniej trudno było brać współczesne doniesienia za coś poważnego.

To kiedy zadzwonił budzik?

Pobudka związana była z pewnym domem, innym niż ten, w którym teraz jestem. Dużym, rodzinnym domem, który zbudował mój dziadek. Potem dom przeszedł w ręce brata mojej babci, a gdy on zbankrutował, dom zniszczono. Każdy w rodzinie był temu przeciwny, ale nikt nie ruszył palcem, żeby go uratować. Gdy babcia i mama przechodziły potem obok miejsca, gdzie stał, za każdym razem roniły łzę. Pomyślałem, że to zadziwiające: zaradni, inteligentni ludzie wpadają w takie koleiny myślowe, w rutynę codzienności, że nie są w stanie uratować czegoś, co stanowi dla nich ogromną wartość.

Łatwo dopatrzyć się pewnej analogii.

Tak, ale po drodze były jeszcze sprawy islandzkie. Ludzie, którzy kochali Hálendiđ, Wyżyny Islandii, tłumnie głosowali na partię, która dążyła do rozmontowania tamtejszej przyrody. Chciała je zniszczyć, dolina po dolinie. W pewnym momencie życia poznałem ludzi mocno zaangażowanych w ochronę Wyżyn. Rozmawiałem z naukowcami, a oni dziwili się, że nie chcę napisać o tym książki. Odpowiadałem, że rozumiem emocje, ale nie procesy. Mam za mało wiedzy, żeby stać się adwokatem sprawy. Byle inżynier mógł mnie przekonać do swoich argumentów o potrzebie regulacji rzeki czy zabudowania doliny. Zanim stałem się klimatycznym nerdem, musiałem nauczyć się odróżniać, co jest nauką, a co zakłóceniem. To zresztą zadziwiające, że mamy kłopot z rozmawianiem na tematy najistotniejsze. Trochę tak, jakbyśmy nie umieli wytłumaczyć, po co nam prawa człowieka.

W końcu nauka zdobyła w Panu sojusznika.

Ja się zawsze bałem kontaktów z naukowcami. Na uczelni czasem spotykało się zarozumialców, którzy robili z ciebie głupka tylko dlatego, że w jakiejś wypowiedzi zahaczałeś o ich obszar badawczy. Śmiałeś poruszyć kwestie, w których nie jesteś specjalistą. Ale spotykałem ↦

↦ też takich, którzy wręcz błagali, żeby pisać o kryzysie klimatycznym. Jakby byli zdesperowani. Sami przekazywali swoje ustalenia od lat, ale ludzie nie rozumieli ich języka. Trochę jak lekarz, który mówi ci, że masz nieuleczalny nowotwór, a do ciebie to nie dociera, więc tylko przytakujesz. W pewnym momencie poczułem, że mam jednak pewien autorytet. Choćby z uwagi na moją babcię. Mogłem o niej opowiedzieć i podkreślić, że to punkt widzenia glacjologa. Osobisty kontekst dodał mi wiarygodności. Potem dostałem możliwość spotkania z Dalajlamą, zobaczenia Himalajów. Okazało się, że mam w ręku całą talię różnych opowieści.

Łatwo było je spleść?

To było wręcz fizycznie bolesne. Wiedziałem, że do siebie pasują, bo umiałem utrzymać przez godzinę uwagę różnych audytoriów, przed którymi je wcześniej opowiadałem. Zdawałem sobie sprawę, że to wszystko ma sens. Ale przekształcenie tego w postać książki trwało strasznie długo.

Znajomi do samego końca pytali mnie, czy jestem pewien, że w rzeczywistości nie piszę paru książek naraz: jednej o babci, drugiej o klimacie, trzeciej – wywiadu rzeki z Dalajlamą... A ja odpowiadałem, że jeśli chcę rzucić światło na nasz problem, to muszę przebrnąć przez te wszystkie zagadnienia, zabrać czytelników w podróż przez lądy, które normalnie nie mają ze sobą połączeń kolejowych.

Jedna z historii, które Pan opowiada, dotyczy Jørgena Jørgensena (1780--1841), zwanego Królem Kanikuły. O sto lat za wcześnie zaproponował Islandczykom wolność, a oni się na niego wypięli, bo to pojęcie było dla nich abstrakcyjne. Tak samo nierealnie brzmi dla nas dziś np. zakwaszenie oceanów. Żeby odczarować szereg podobnych pojęć, wplata Pan do książki swoich bliskich. Babcie, dziadków, dzieci.

Wzięło mi się to z pracy w archiwach historii mówionej. Słuchałem opowieści starszych ludzi, którzy nie byli ze mną nijak spokrewnieni, i chłonąłem ich codzienność np. z lat 40. XX wieku. To one stały się dla mnie bodźcem do spisania historii moich dziadków. Słuchając o moich bliskich, czytelnicy mogą mieć poczucie obcowania ze swoimi przodkami. Czasy były wtedy takie, że wszyscy żyli podobnie. Tu, na północy Islandii, kultura rozwijała się ekstremalnie powoli. Rodząc się, człowiek właściwie powtarzał życie swoich przodków. Jakby był zapętlony. Być może przez to ludzie w większym stopniu czuli się częścią jakiejś linii dziedziczenia? Całości? Wrzuceni w nowoczesność, w trendy, kultury, grupy docelowe, jesteśmy oderwani od minionych pokoleń i tych, które nastąpią po nas. Żyjemy wyłącznie w kotle teraźniejszości.

Pokolenia, które zawaliły sprawę, są zwykle zapominane. Wymazywane. Nikt nie jest zainteresowany ich kulturą, pisaniem, muzyką, sztuką, dokonaniami.

Ale kiedy pisze Pan o babci, chodzi o granie na emocjach? Ma się wrażenie, że chce Pan obliczyć czasowy zasięg miłości.

Nauka pomija zagadnienie miłości. Zupełnie jakby jej nie uznawała. Naukowcy nie mają prawa pisać o miłości w pracach o klimacie przyszłości. Kiedy słuchałem tych nagrań, zrodziła się we mnie obsesja: zastanawiałem się, jak daleko do przodu jesteśmy w stanie zanieść opowieść o sobie samych. Jeśli kobieta urodzona w 1880 r. opowiada o swojej babci, to tak, jakbym miał kontakt z kimś, kto urodził się około 1830 r. To trochę jak z islandzkimi sagami. Spisano je w XIV w., choć dotyczyły wydarzeń starszych o kilkaset lat. Ile osób musiało je zapamiętać, by ostatecznie trafiły na papier?

Poprosiłem moją babcię, by opowiedziała mi najstarszą historię, jaką pamięta, z ust swojej babci. Powiedziałem, że ją zapamiętam i przekażę swoim wnukom, gdy będę stary. Babcia urodziła się w 1924 r., ma 96 lat. Moje dzieci mają z nią świetny kontakt. Kiedy najstarszy, dziś 23-latek, osiągnie jej wiek, będzie mniej więcej rok 2100. Zaniesie do niego osobiste wspomnienia kogoś urodzonego 180 lat wcześniej. Dzięki temu prostemu eksperymentowi myślowemu chciałem przenieść abstrakcyjną datę – 2100 rok – do sfery intymnej. Uratować ją przed monopolem *science fiction*. Nazywam to naleśnikowym *science fiction*.

Wizja 2100 roku jako planety, na której człowiek smaży naleśniki?

Przyszłość nie polega na tym, jaką będziemy mieli technologię, jakie implanty w oczach. Ciągle będziemy przede wszystkim ludźmi. Będziemy zamieszkiwać planetę ramię w ramię z ptakami migrującymi między północą a Antarktyką. Będziemy mieć rodziny, będziemy z bliskimi zasiadać do stołu, jeść naleśniki i dzielić się historiami. Nikt z nas nie chce z tego rezygnować. To są przecież nasze oczekiwania wobec życia. W przyszłości chodzi więc o babcie, wnuki i naleśniki przy kuchennym stole. Nie chodzi o nic bardziej skomplikowanego niż bycie człowiekiem pośród innych ludzi na planecie, która jest w stanie utrzymać życie.

Ale jest jeszcze inna przyszłość. Rok temu dostał Pan zlecenie na napisanie elegii na temat lodowca Ok, pierwszego z islandzkich lodowców, który w wyniku zmiany klimatu przestał istnieć. Umieszczono ją na pamiątkowym kamieniu. Ma tytuł „List do przyszłości". Napisał Pan: „Ten pomnik jest dowodem na to, iż wiemy, co się dzieje i co należy zrobić. Tylko wy widzicie, czy tak się stało". O kim Pan wtedy myślał?

To było bardzo dziwne zlecenie. Zwykle piszemy na papierze, tymczasem miedź przetrwa pewnie dłużej niż kamień, na którym umieszczono tabliczkę. To dało mi do myślenia. Być może mówię do kogoś, kto natknie się na nią za dwieście lat? Czasami trafiamy na cmentarzu na podobne ślady przeszłości sprzed dwustu, trzystu lat. Więc tak naprawdę adresatów było dwóch: my sami, współcześni, oraz ktoś, kto będzie już umiał powiedzieć, co powie o nas historia. Jaką będziemy mieć reputację. Czy okażemy się pokoleniami mądrymi, ludźmi intelektu, czy też czasem straconych szans, bandą populistów. A pamiętajmy, że pokolenia, które zawaliły sprawę, są zwykle zapominane. Wymazywane. Nikt nie jest zainteresowany taką kulturą, pisaniem, muzyką, sztuką, dokonaniami. Wszystko to staje się zbędne.

Przypomniał mi się dokument „Jądro wieczności" Michaela Madsena. Pokazuje rozterki budowniczych

podziemnego składowiska nuklearnego Onkalo w Finlandii, którzy zastanawiają się, w jaki sposób zaalarmować przyszłych mieszkańców tamtych stron o tym, że to toksyczny śmietnik.

Uwielbiam ten film, myślałem o nim pisząc pożegnanie dla Ok. O języku, w jakim powinienem to zrobić, o symbolach. Radioaktywne odpady będą przechowywane w Onkalo przez tysiące lat, a więc wielokrotnie dłużej, niż trwa współczesna zbiorowa pamięć ludzkości. To przyszłość, której nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić. W jakim języku mówić do jej przedstawicieli? Budowniczowie Onkalo odwołują się do symboli i w efekcie wykonują coś na kształt egipskich hieroglifów. A potem dochodzą do wniosku, że to zła droga. Bo jeśli przyszła ludzkość dowie się, że coś jest pod ziemią, to z ciekawości zacznie kopać, ignorując wszelkie ostrzeżenia. Więc być może w związku z tym powinno się o tym miejscu po prostu zapomnieć? Każde pokolenie powinno kolejnemu nakazywać zapomnienie.

A jak Islandia radzi sobie z ochroną środowiska? Równie skutecznie jak z pandemią, którą szybko pokonaliście, i z kryzysem bankowym?

Jesteśmy nowoczesnym społeczeństwem, co wiąże się z ogromnym śladem węglowym. Reykjavík jako miasto jest uzależniony od samochodów. Mamy energię geotermalną, w związku z czym nie używamy ropy ani węgla, by w zimie grzać nasze domy. Z drugiej strony ta czysta energia ma swoje mroczne strony, bo nie zawsze używaliśmy jej do słusznych celów. Pasł się na niej ciężki przemysł, a my tłumaczyliśmy sobie, że w pustych islandzkich dolinach mniej szkodzi środowisku niż gdziekolwiek indziej. A przecież przemysł nie kombinuje, gdzie postawić hutę, by jak najmniej truła. Niszczyliśmy w ten sposób masę pięknej islandzkiej przyrody. Świętą ziemię. Ta świętość to również problem, o którym piszę w książce – nie ma już miejsc, które uważalibyśmy za święte. Nietykalnych, które nawet chciwy inżynier zostawiłby z własnej woli w spokoju.

Pytam Pana o to jako byłego kandydata na prezydenta Islandii. W 2016 r. dostał Pan ponad 14 proc. głosów.

ULF ANDERSEN / GETTY IMAGES

ANDRI SNÆR MAGNASON (ur. 1973) jest islandzkim pisarzem i poetą. Po polsku ukazały się jego „Historia błękitnej planety" (EneDueRabe 2014) oraz ostatnio „O czasie i wodzie" (Karakter), obie w tłumaczeniu Jacka Godka.

Byłem wtedy w połowie galimatiasu związanego z powstawaniem tej książki. Robiłem się strasznie niecierpliwy, tym bardziej, że to się działo, zanim świat usłyszał o Grecie Thunberg. Prezydent Islandii to bardzo dziwne stanowisko...

Poprzedni rządził przez 20 lat.

I nie miał za dużo do roboty. Prezydent Islandii to taki posążek. Trochę jak brytyjska królowa. Więc to tak, jakbym ubiegał się o posadę królowej. Ale zakładałem, że będąc na tym stanowisku, mógłbym łączyć ze sobą ludzi, wyciągnąć na światło dzienne trochę nauki. Wykorzystać prezydenturę do przyspieszenia debaty klimatycznej. Zamiast włazić po schodach, wjechalibyśmy schodami ruchomymi. Podjąłem się tego ruchu jako przedstawiciel środowiska aktywistów. Tak naprawdę nie mam żadnych ambicji politycznych. Czułem się, jakbym przez dwa miesiące kampanii wyborczej chodził goły i pokryty neonami.

Na fali tej kampanii włączył się Pan w starania o powołanie na Wyżynach parku narodowego.

Jeśli się uda, będzie największy w Europie. To prawie 40 proc. powierzchni Islandii. Czysta natura, więc nie ma mowy o przesiedlaniu kogokolwiek. Utworzenie tego parku będzie czymś na kształt manifestu: tak właśnie wygląda Islandia, taką ją kochamy i taką chcemy ją zachować. Gdyby park nie powstał, przemysł energetyczny mógłby stwierdzić, że skoro nikogo tam nie ma, to wystarczy wbić flagę i zacząć kopać. Politycy dotychczas traktowali te tereny jak nieużytki, a nie coś wartościowego. Wiele miejsc objętych projektem miało zostać zniszczonych ponad dekadę temu, ale zatrzymał to kryzys finansowy z 2008 r. Teraz sprawa jest już bardzo zaawansowana, uchwała miała być gotowa jeszcze w tym roku, choć pandemia może ją trochę opóźnić.

Powołanie tego parku będzie większym sukcesem niż zostanie prezydentem Islandii?

O wiele większym. Co najmniej o 40 proc. większym!

Z „O czasie i wodzie" trudno wywnioskować, czy jest Pan optymistą, czy pesymistą. Są pewne poszlaki: opis symbolicznych budynków w Reykjavíku czy słowa Dalajlamy o tym, że wierzy w swój powrót do Tybetu.

Nie napisałbym tej książki, gdybym uważał, że już po wszystkim. Nie chciałbym pisać cynicznej książki o końcu świata. Jestem optymistą, co nie oznacza, że jest jakaś nadzieja. Ale historia zna wiele przykładów na to, że gdy wszyscy ↦

POŻEGNANIE

Żegnamy Panią Profesor

Marię Janion

naszą Przewodniczkę.

Prowadziła nas na nieutarte szlaki rozmów o romantyzmie.
Uczyła wolności, wymagała odwagi, pracy i odpowiedzialności.
Zawdzięczamy Jej wszystko.

PRACOWNIA LITERATURY ROMANTYCZNEJ IBL PAN

↦ zaczynają pracować na jakiś cel, to sprawy szybko się zmieniają, niczym wiatr na łodzi. Z drugiej strony często obserwujemy w polityce te same schematy. Stany Zjednoczone od wojny secesyjnej debatują nad tymi samymi problemami. Przez dwieście lat nie potrafią uporać się z systemowym rasizmem. W sprawach klimatu mamy wąskie okno nadziei, że znajdziemy w sobie pokłady kultury, odkryjemy nowe paradygmaty. Przekonamy się np., że czysta energia nie ma zabarwienia politycznego. Możemy się kłócić o światopogląd, ale wszyscy chodzimy w takich samych butach. Alianci i naziści używali tej samej ropy. To, że przestaniemy się sprzeczać o źródła energii, nie jest więc trudne do wyobrażenia.

Ale to za mało.

Dlatego musimy też wypatrywać zmiany kulturowej. Pokolenie, które dziś idzie na uniwersytety, jest w stanie wkalkulować obrażenia, jakie zadajemy planecie, w czas trwania swojego życia. To pokolenie dźwiga na swoich barkach oczywisty cel, całe ich życie dotyczyć będzie tego kryzysu. Jest więc szansa, że swoje życiowe wybory wiązać będzie z konkretnymi wartościami. Kiedy wyjdzie z uczelni, będzie dysponować rzetelną wiedzą, która przełoży się na działanie.

W ich życiu chodzić będzie o coś więcej niż pieniądze i szczęśliwą rodzinę?

Ludzie zawsze mieli różne cele. Ale wydaje się, że tym razem nad wszystkim unosić się będzie duch czegoś większego. Rok temu miałem wykład podczas konwencji nauczycieli przedmiotów ścisłych w Bolonii. Przekonywałem ich, że nauczanie w szkole jest dziś czymś zupełnie innym niż dwadzieścia lat temu. Kiedy uczeń pyta, po co mu algebra, możesz odpowiedzieć: bo musimy pozbyć się tysięcy gigaton dwutlenku węgla z atmosfery i na razie nikt nie ma pojęcia, jak to zrobić. Może tobie się uda, ale najpierw musisz nauczyć się algebry.

Nuda nam prędko nie grozi?

Nuda to raczej coś, czego możemy oczekiwać po kolejnym stuleciu.

© Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI

Nowa normalność, stara wyobraźnia

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Filozofowie i intelektualiści poczuli imperatyw wieszczenia, co z tym globem po koronawirusie będzie.

Choć słowa Marka Twaina o tym, że „przewidywanie jest trudne, zwłaszcza jeśli dotyczy przyszłości", stały się truizmem, zapał do spekulowania o świecie, który ma nadejść, nie maleje. Przeciwnie, w ostatnich miesiącach jest na krzywej rosnącej – nawet wśród tych, którzy doskonale wiedzą, jak krótki termin ważności mają diagnozy formułowane pod wpływem chwili.

Diagnozy te przynoszą dwie wiadomości. Jedna jest dobra, druga zła. Zacznę od dobrej. Kultowi filozofowie, od Giorgia Agambena po Slavoja Žižka, zgodnie przewidują, że pandemia skończy się w nieodległej przyszłości i nastąpi jakaś epoka po koronawirusie. Są więc umiarkowanymi optymistami. Zła wiadomość dotyczy świeżości tych głosów.

I tak Giorgio Agamben w lutym i marcu opublikował serię wypowiedzi o „rzekomej epidemii koronawirusa", która trwale zredukuje życie Włochów do wymiaru biologicznego, do nagiego życia kontrolowanego przez władzę wprowadzającą stan wyjątkowy, przypominający ustrój totalitarny.

Z kolei w ramach The New Republic of Letters (Nowa Republika Uczonych), wspólnego projektu Instytutu Nauk o Człowieku w Wiedniu i Instytutu Stosunków Międzynarodowych w Pradze, Jan-Werner Müller przekonuje, że populiści zaraz dostaną wiatr w żagle i jedynie rozsądni politycy będą w stanie wspólnie stawić im czoło. Jan Sowa odpowiada mu, że nie tyle populistom będzie łatwiej manipulować opinią publiczną, co sami ludzie jeszcze mocniej zapragną populistycznych rządów. Chantal Mouffe liczy na przebudzenie się lewicowego populizmu, choć nie postawiłaby na to dużych pieniędzy, a Marek Cichocki wierzy, że po pandemii „zdrowy" populizm zmiecie neoliberalne wypaczenia globalizacji.

Natomiast środowisko „Kultury Liberalnej" w zbiorowej publikacji „Liberalizm po koronawirusie" pod redakcją Jakuba Bodzionego i Piotra Kieżuna szacuje straty, jakie w wyniku walki z pandemią poniesie jego opcja światopoglądowa i polityczna. Za oceanem podobnie – w lipcu do amerykańskich księgarń trafił „Zmierzch demokracji: uwodzicielski urok autorytaryzmu" Anne Applebaum, na kartach którego spotykają się Donald Trump i Jarosław Kaczyński, a koronawirus dopisuje epilog perypetiom autokratów wszystkich krajów. Także w lipcu ukazała się książka posła Grzegorza Brauna, który w rozmowach z Tomaszem Sommerem przedstawia własny scenariusz na tytułową „Nową normalność". Jest to jednak rzecz bliższa niezamierzonej dystopii niż głębokiej analizie, więc ją zmilczę.

Godne uwagi są dwie pozycje: „Pandemia! COVID-19 trzęsie światem" jest autorstwa Slavoja Žižka, „Nadeszło jutro. Jak pandemia zmienia Europę" napisał Iwan Krastew. Obaj pochodzą z państw postsocjalistycznych i nie zamykają się w wąskiej przegródce jednej dyscypliny. Na tym podobieństwa się kończą.

Już po tytułach widać dzielącą ich przepaść. Słoweniec wykrzykuje, Bułgar analizuje. Žižek jest akademickim celebrytą i kulturalnym wszystkożercą, flirtującym z wielką polityką (w 1990 r. startował w pierwszych wolnych wyborach prezydenckich w Słowenii). Ma tyle samo żarliwych wielbicieli, co zagorzałych przeciwników. Iwan Krastew to poważany filozof polityki, związany z Instytutem Nauk o Człowieku w Wiedniu i kierujący Centrum Strategii Liberalnych w Sofii. Nie prowokuje ani nie „śmieszkuje", ale zależy

VALERY HACHE / AFP / EAST NEWS

Mural na jednej z ulic Cannes, maj 2020 r.

mu na tym, by dotrzeć do młodego czytelnika.

Bitwa na metafory

Każdy kryzys domaga się metafory, która wyniesie go ponad inne plagi albo pohańbi. Być może, jak przekonuje ojciec historii pojęć, Reinhart Koselleck, sama kategoria kryzysu jest kluczową metaforą społecznej patogenezy i skrywa lęk przed wyczerpaniem się dotychczasowego języka opisywania (albo zaklinania) rzeczywistości. Koronawirus jest kryzysem na tylu polach życia i nauki, że domaga się metafory o misternej konstrukcji, która udźwignie jego ciężar.

Czyli jakiej? Dla Rolanda Barthes'a współczesna metafora to nieślubne dziecko literatury i rynku. Balsamuje szczątki kultury dworskiej, a potem składa je w sarkofagu zrobionym z masowych skojarzeń i politycznego zapotrzebowania. Dla George'a Lakoffa metafora jest podstawową strukturą rozumienia świata i zarazem jedyną formą skutecznego porozumiewania się elit z ludem. Jeśli wziąć to za dobrą monetę, to intelektualistom nie pozostaje nic innego jak szukać idealnego zlepku słów do wyrażenia wyjątkowości aktualnego kryzysu. I faktycznie – zarówno Žižek, jak i Krastew gonią za symbolem, który o pandemii koronawirusa powie więcej niż tysiące słów.

Dla Słoweńca to, czego doświadczamy w trakcie pandemii, jest odwróconą wersją „Wojny światów" H.G. Wellsa, w której zamiast Marsjan błękitną planetę grabią sami Ziemianie, ale ich potęga pada pod naporem namnażających się i ślepo atakujących wirusów. Pozostając humanistą, Žižek przywołuje jednocześnie słowa Jezusa, „Nie dotykaj mnie" (J 20, 17), skierowane po zmartwychwstaniu do Marii Magdaleny. Ten – jak sam o sobie mówi – „zaprzysięgły chrześcijański ateista" czyta ów fragment Ewangelii jako zapowiedź ponadwyznaniowego wyzwania, by zwalczać wirusa miłością do bliźniego, nieucieleśnioną w dotyku, lecz w solidarności z nim.

Podczas gdy Žižek sięga do *science fiction* i Biblii, Krastew zaczyna od Alberta Camusa. Zaznacza przy tym, że „po epidemii wszyscy żyjący będą przecież ocaleńcami". Wynosi ich razem – i tych, którzy rygorystycznie zachowują reżim sanitarny, i tych, którzy wierzą, że za koronawirusem stoi sieć 5G – do rangi ostatnich ludzi, którzy przesądzą o tym, czy historia się powtórzy. Pandemię COVID-19 określa mianem „szarego łabędzia", czyli zdarzenia, w którego nadejście nikt nie chce uwierzyć, mimo jego wysokiego prawdopodobieństwa. „Nieprzypadkowo – dodaje – w »Jeziorze łabędzim« nie ma szarych łabędzi; są one przykładem czegoś przewidywalnego, a i tak nie do pomyślenia".

Z pochodu metafor dowiadujemy się, że epidemie są trochę jak sieroty nieznające swych rodziców, a trochę jak seriale Netfliksa (można się spodziewać kolejnego sezonu). Z gatunków literackich pandemia koronawirusa najmocniej przypomina Krastewowi powieść modernistyczną, którą od klasycznej powieści odróżnia brak „czytelnej fabuły". Erudycyjne czy skrojone pod szeroką ↦

↦ publiczność – powyższe próby opisania COVID-19 łączy założenie, że obecna pandemia jest zbiorowym wynalazkiem ludzkości. Dlatego najmocniej zagraża innym społecznym konstrukcjom, takim jak demokracje liberalne Zachodu, które Krastew nazywa, jakżeby inaczej, jednostkami „z chorobami współistniejącymi".

U Žižka patogeneza zarazy jest inna i odczarowana. „Obecna epidemia to wynik naturalnej przypadkowości zdarzeń w najczystszej postaci" – przekonuje, wiedząc, że niektórym trudno to zaakceptować. I to oni będą upatrywać w pladze COVID-19 „boskiego planu" albo bezlitosnej dintojry, podjętej przez wyzyskiwaną naturę.

Dla autora „Pandemii!" tropienie ukrytego znaczenia wirusa to samooszukiwanie się i relikt epoki przednowoczesnej, która wierzy w nierozerwalność człowieka i wszechświata. Mimo to sam wikła się w opisywanie choroby jako parodii interakcji między przyrodą a ludźmi. Porównując koronawirusa do memu (w szerokim znaczeniu, jakie nadał temu pojęciu jego autor Richard Dawkins), twierdzi, że natura kopiuje w ten sposób niszczycielski przekaz, który ma dla niej człowiek. Czy tym razem jej komunikat zostanie zrozumiany? Prędzej znajdziemy sobie kolejną metaforę, która oswoi lęk, ale zdemotywuje do samonaprawy.

Widma nad Europą

„Kiedy skończy się pandemia, ludzi dopadnie nostalgia za minioną epoką" – zauważa Krastew, dodając, że „w świecie wczorajszym też jest coś niepokojącego". Mimo że obiera za drogowskaz słowa Aleksandra Hercena o tym, że „historia nie ma żadnego libretta", to przekonuje, iż w przeszłości tkwią przyczyny dzisiejszego strachu, które można było zawczasu odczytać.

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

DAVID LEVENE / EYEVINE / EAST NEWS

SLAVOJ ŽIŽEK

Obecna epidemia to wynik naturalnej przypadkowości zdarzeń w najczystszej postaci.

Nowa normalność oznacza dla Krastewa destabilizację systemów politycznych, które znamy. Przedłużająca się pandemia to również zła wiadomość dla autokratów, ponieważ odbiera im dowolność decydowania o tym, który kryzys jest ważny, a który nie. Chiny też nie wyjdą wzmocnione z wirusowej epopei, nawet jeśli ich gospodarka relatywnie nie ucierpi – jako partner polityczny i symboliczny straciły już zaufanie reszty świata. Demokracje przetrwają, o ile elity polityczne nie ulegną pokusie, aby doraźne środki, jakimi były ograniczenia wolności obywatelskich, zmienić w permanentne rozwiązania (jak uczynił to już Viktor Orbán).

Wiele zależy tu od aktywności liberałów w debacie publicznej i od samych obywateli, którzy będą strzec tymczasowości radykalnych cięć ich praw i czuwać, by pandemia nie dała paliwa do państwowego szowinizmu. Będzie to trudne, twierdzi Krastew, ponieważ obostrzenia antypandemiczne usuwają z przestrzeni publicznej „ludzi placu" (określenie autorstwa publicysty Thomasa Friedmana, trzykrotnego laureata Nagrody Pulitzera), a bez nich demokracji brakuje tlenu. Wydarzenia ostatnich tygodni, np. w Polsce i na Białorusi, pokazują jednak, że „ludzi placu" nie tak łatwo jest zamknąć w domach, a proroctwa wielkich umysłów nie nadążają za dynamiką współczesnego świata.

Krastew nie projektuje nowego systemu światowego, który miałby być remedium na powirusowe turbulencje, za to Žižek chce rewolucji. Dla czytelników jego prac nie będzie zaskoczeniem kierunek tej „dobrej zmiany". Inspiracja przychodzi, jak sam wirus, z Chin, lecz nie z Zhongnanhai (siedziba KPCh), ale od marginalnych dziś i prześladowanych przez rząd Xi Jinpinga dziedziców maoizmu. Być może, spekuluje autor „Wzniosłego obiektu ideologii", tzw. chiński wirus będzie początkiem końca aktualnych władz w Pekinie, ich własnym Czarnobylem. Nie przeniesie jednak Chin na orbitę autorytaryzmu lub patodemokracji, lecz „zmusi (...) do wymyślenia na nowo komunizmu opartego na zaufaniu do ludzi i nauki".

Według Słoweńca to Europa najgorzej wyjdzie na kryzysie spowodowanym pandemią. Jeśli nie jesteśmy gotowi przyjąć jej za swój los, trzeba nam prawdziwie politycznego zwrotu. „Tu właśnie wkracza moja koncepcja »komunizmu« – oznajmia Žižek – nie jako jakiś niewyraźny sen, ale po prostu nazwa na to, co już się dzieje (a przynajmniej jest postrzegane przez wielu jako konieczność), na środki, które już są brane pod uwagę, a nawet częściowo egzekwowane. Nie jest to wizja świetlanej przyszłości, ale bardziej »komunizm katastrof« jako antidotum na »kapitalizm katastrof«".

Po takiej zapowiedzi strach się bać. Autorowi „Pandemii!" chodzi jednak o dość klasyczny pakiet działań etatystycznych i socjalnych. Państwo ma być aktywne, organizować środki ochronne, zapewniać minimum egzystencji nowym bezrobotnym, porzucić mechanizmy rynkowe, ratować zagrożone gałęzie gospodarki (np. branżę turystyczną), wspierać opiekę zdrowotną lokalnie i globalnie.

Filozof mgliście kreśli wizję organizacji światowej, która będzie sterować walką z zarazą. Nie wyklucza też odgórnej mobilizacji ozdrowieńców do pilnych prac publicznych. I nie waha się nazywać tych rozwiązań nową wersją radzieckiego „wojennego komunizmu". Twierdzi, że taki ład uchroni ludzkość przed wirusami fake newsów, teorii spiskowych, rasizmu oraz przed prymitywną myślą o eliminacji jednostek starych i chorych. Jednak lekarstwo, które proponuje, nie wydaje się wystarczająco lepsze od choroby, którą ma leczyć.

Z ksiąg czy z fusów?

„Kiedy jednak COVID-19 spuścił polityczną wyobraźnię ze smyczy, paradoksalnie, w tym samym czasie sparaliżował polityczną wyobraźnię elit. Rządy poczuły się zmuszone wdrożyć całą serię nadzwyczajnych rozwiązań, ale wciąż działają w przekonaniu, że gdy tylko kryzys się skończy, świat wróci do punktu, w którym znajdował się wcześniej" – tak Krastew rozlicza polityków z ciasnoty horyzontów. Można by to samo powiedzieć o elitach intelektualnych. Czy stać je na sformułowanie takiej wizji nowej normalności, która nie będzie przypisem do Hegla, opakowanym w bieżącą politykę i popkulturę?

Ten deficyt widać chociażby w polemikach ze wspomnianym Giorgiem Agambenem. Žižek bez wahania zrównuje reakcję Agambena ze wczesnymi enuncjacjami Donalda Trumpa na temat COVID-19. Czy sam potrafi wynieść refleksję nad pandemią na wyższy poziom? Jego nowa książka to kompulsywnie spisywana wiązanka rozpoznanych tropów i naprędce odkurzanych pomysłów, w pośpiechu także tłumaczona (w przekładzie znajdziemy „gołe życie" zamiast „nagiego życia", prawie to samo, ale dla czytelników Agambena czyni to różnicę).

Dla elit radą jest widmo nowego-starego komunizmu, dla pracowników na pierwszej linii walki z wirusem – hasło *Arbeit macht frei!*, w którym Žižek widzi „wciąż właściwe motto, chociaż brutalnie nadużyte przez nazistów" (!). Z kolei dla maluczkich, których koronawirus skazuje na samoizolację – skupienie się na dniu dzisiejszym, drobnych rytuałach, oglądanie seriali i filmów wszelkiej klasy i gatunków. Dla zdesperowanych ma radę tyleż Agambenowską („żyjemy w wielkim obozie koncentracyjnym"), co niestosowną – „Możesz rozważyć zagranie w grę przedstawioną w filmie »Życie jest piękne«: udawaj, że zamrożenie kraju to tylko gra, do której ty i twoja rodzina przyłączacie się z własnej woli, z perspektywą wielkiej nagrody w razie wygranej".

Zniknął gdzieś z pogoni za duchem czasu dawny analityk-koneser, który potrafił mówiąc o polityce, prawić o duszy (jak chociażby w eseju „Raduj się swoim narodem, jak sobą samym!" z „Przekleństwa fantazji", pol. wyd. 2001). Nie zabraknie więc zawiedzionych i plujących sobie w brodę, że słono zapłacili za tę niewielkich rozmiarów rozprawkę złożoną w dużej mierze z komunałów. Może pocieszy ich to, że decyzją sławnego filozofa honorarium autorskie nie trafi do jego kieszeni, lecz wesprze Lekarzy bez Granic. Pracę medyków Žižek zdaje się bowiem traktować poważniej od własnych wywodów.

MARCIN KALIŃSKI / PAP

IWAN KRASTEW

Kiedy skończy się pandemia, ludzi dopadnie nostalgia za minioną epoką.

Krastew obchodzi się z Agambenem łagodniej niż Słoweniec, ale kwestionuje główną oś stanowiska Włocha. Broni inwigilacji wykorzystywanej przez rządy do walki z COVID-19 jako narzędzia doraźnie służącego dobru wspólnemu i nauce. Jednocześnie próbuje zrozumieć tych, którzy odrzucają nie tylko wyjątkowe ustawodawstwo, ale także samo istnienie wirusa.

„Co ciekawe, im bardziej strach przed COVID-19 będzie dogasać, tym mniej będziemy skłonni przyznać, że niebezpieczeństwo było realne. Paradoks polega więc na tym, że w tych właśnie krajach, które najskuteczniej ograniczyły szerzenie się wirusa czy też miały szczęście go uniknąć, opinia publiczna najchętniej będzie krytykowała swoje władze za politykę kwarantanny" – przekonuje i trudno nie przyznać mu racji. Z jedną wszakże erratą – w Polsce polityka kwarantanny będzie odrzucana bez względu na to, czy ten rok zakończy są tragicznymi żniwami czy nie.

Krastew, kończąc swój esej, zapowiada, że przedłużające się ograniczenia wolności będą zniechęcać Europejczyków do popierania rządów o autorytarnych ciągotach. Ponadto twierdzi, że „COVID-19 zaraził świat kosmopolityzmem", w tym szlachetnym kantowskim znaczeniu horyzontów szerokich, a uodpornił na patologie globalizacji. Zaznacza jednak, że to, co przewiduje, wcale nie jest pewne. Podobnie u Anne Applebaum uwagi, które poświęca koronawirusowi w „Zmierzchu demokracji", wydają się naprędce dopisaną kodą bez wyraźnej puenty (będzie dobrze albo beznadziejnie). Zresztą pandemia nie interesuje jej jako zjawisko *sui generis*, ale jako test dla władzy o ciągotach absolutystycznych.

Po wypełnione konkretem scenariusze rzeczywistości postcovidowej trzeba się więc udać nie do filozofów, ale do możnych tego świata, którzy współkształtują politykę zdrowotną i rynek szczepionek, nie szczędząc krytyki rządom i konkurentom, jak chociażby Bill Gates w niedawnym wywiadzie dla magazynu „Wired". Od intelektualistów takich jak Agamben, Applebaum, Krastew czy Žižek można by jednak oczekiwać jakiejś introspekcji ducha czasu, która pozwoliłaby nam zamyślić się nad tym, kim będziemy po pandemii albo w kolejnych latach jej trwania. Na razie żyjemy na kredyt przeszłych wyobrażeń o tym, jaka będzie trzecia dekada XXI wieku. Wydaje się, że wielkie umysły też na razie spłacają intelektualne długi, które zaciągnęły w poprzedniej epoce, kiedy wirus chorobowy był częściej metaforą niż nagim faktem.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Iwan Krastew
NADESZŁO JUTRO. JAK PANDEMIA ZMIENIA EUROPĘ
przeł. Michał Sutowski, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2020

Slavoj Žižek
PANDEMIA! COVID-19 TRZĘSIE ŚWIATEM
przeł. Jowita Maksymowicz-Hamann, Wydawnictwo Relacja, Warszawa 2020

JAZZY SHOTS / MATERIAŁY PRASOWE

Sonia Roszczuk i Jan Peszek w spektaklu „Powrót Tamary", Teatr Studio, Warszawa, sierpień 2020 r.

Narzędzia dystynkcji

DARIUSZ KOSIŃSKI

Kiedyś Warszawa huczała od opowieści o wykwintnej kolacji, którą w towarzystwie aktorów można zjeść w Teatrze Studio. Trzydzieści lat później, w tym samym teatrze, torty są z plastiku.

Teatr Cezarego Tomaszewskiego, choreografa, śpiewaka i teatrologa, a w ostatnich latach jednego z najbardziej wziętych polskich reżyserów, oparty jest na wyrazistych konceptach. Ich zasadę stanowi zaskakujące zderzenie tekstów kultury, konwencji, stylów czy wręcz okoliczności.

„Wesoła wdówka" zaśpiewana w Wiedniu przez polskie sprzątaczki (2009), madrygały Monteverdiego serwowane w barze mlecznym („Bar. okowa uczta", 2010), Młody Werter jako bohater „I nie było już nikogo" Agathy Christie (Instytut Goethego, 2018) czy musical o Gracjanie Roztockim („Gracjan Pan", 2020) to – niezależnie od jakości samych przedstawień – pomysły frapujące i kuszące, by przyjść i sprawdzić: „o co chodzi?". Na atrakcyjnym koncepcie oparty jest też bodaj największy jak dotąd sukces Tomaszewskiego: „Śpiewnik domowy" Stanisława Moniuszki wykonany przez czterech rekrutów jako seria antywojennych i antymaczowskich skeczy muzycznych („Cezary idzie na wojnę" w Komunie Warszawa, 2017).

„Powrót Tamary" (premiera 15 sierpnia 2020) nie jest wyjątkiem. Koncept jest hollywoodzko prosty i atrakcyjny zarazem: po 30 latach od premiery, do tego samego co we wrześniu 1990 r. Teatru Studio im. Stanisława Ignacego Witkiewicza, wraca „Tamara" – jedna z towarzysko-artystycznych sensacji teatralnych początku transformacji, a zarazem jej symptom i symbol.

Ku teatrowi bogatemu i z powrotem

„Niezwykłą przygodę proponuje bywalcom warszawskiego Teatru Studio dyrektor Waldemar Dąbrowski. W ciągu kilku godzin będą po prostu gośćmi Gabriela d'Annunzio, włoskiego pisarza, polityka, żołnierza i... uwodziciela kobiet. Właśnie odwiedza go utalentowana malarka polska, Tamara de Lempicka, aby namalować jego portret.

Widz nie siedzi grzecznie na widowni, tylko krąży po willi, jej luksusowych wnętrzach. Uczestniczy bezpośrednio w życiu osób, które w niej przebywają. Może wybrać dla siebie miejsce w salonie muzycznym, wpaść do kuchni, łazienki, sypialni, podążając tropami wybranego bohatera. Akcja odbywa się bowiem jednocześnie w wielu pomieszczeniach. Mieszkańcy willi spędzają weekend, który wypełniają romanse, intrygi, polityka – jest rok 1927, czas Mussoliniego". Tak „Tamarę" Johna Krizanca i Richarda Rose'a zapowiadał we wrześniu 1990 r. „Twój Styl".

W podobnym tonie pisały niemal wszystkie dzienniki i świeżo powstałe kolorowe pisma. Przypominano, że „Tamara", wystawiona po raz pierwszy w 1981 r. w Toronto, „odniosła ogromny sukces" w Los Angeles i w Nowym Jorku. Tam zobaczył ją ówczesny dyrektor Teatru Studio, w przyszłości rzutki minister kultury, a dziś dyrektor Teatru Wielkiego – Opery Narodowej, Waldemar Dąbrowski. To on był sprawcą teatralnego hitu początków transformacji. Zdobył prawa do wprowadzenia tytułu na warszawską scenę i pozyskał sponsorów, którzy wyłożyli 700 milionów ówczesnych złotych na inscenizację i takie specjalne atrakcje, jak kolacja wydawana na cześć Tamary dla aktorów i widzów (dwa dania mięsne, sałatki, wina i szampan, przygotowane przez Holiday Inn).

Bilety kosztowały astronomiczną na owe czasy kwotę 120 tys. złotych (przeciętne wynagrodzenie w 1990 r. wynosiło nieco ponad 12,3 tys. zł), ale i tak dostanie ich graniczyło z cudem, bo publiczność waliła drzwiami i oknami na tę pierwszą w nowej Polsce produkcję zrealizowaną według reguł i konceptów kapitalistycznego rynku teatralnego.

Podchodząc racjonalnie i z dystansem do artystycznych walorów przedstawienia, redaktor naczelny „Teatru" Andrzej Wanat z uznaniem i nadzieją pisał, że Dąbrowski „pokaźną sumę, którą otrzymał od ludzi biznesu (...), wydał (...) z efektem dobrym (...) dla obu zainteresowanych stron: teatru i sponsorów. To bardzo ważne jako przykład. Może z czasem wspomaganie teatru przez ludzi bogatych, albo tylko dysponujących pieniędzmi, stanie się także w Polsce czymś naturalnym i opłacalnym. Może ktoś kiedyś zainwestuje również w »Dziady« albo kupi dobry reflektor dla szkolnego teatru budowanego przy Miodowej".

Nadzieje Wanata się nie spełniły. „Powrót Tamary" rozpoczyna aukcja resztek kostiumów i scenografii, odbywająca się w dekoracjach z kartonowych pudeł...

Historia na karuzeli

Autor scenariusza Michał Buszewicz nie tylko zgrabnie wyszedł z kłopotu, jakim jest przekazanie widzom podstawowych wiadomości o premierze sprzed trzech dekad, ale też pozwolił, by zgromadzony i przedstawiony na scenie materiał sam podpowiedział pytania najważniejsze dla jego zrozumienia. W przypadku „Tamary" dotyczą one nie twórców, estetyki spektaklu czy strategii reżyserskich, ale widzów – ich fascynacji i pragnień.

Jak ze scenicznego eseju Buszewicza wynika, tamta „Tamara" nie miała znaczenia jako kreacja artystyczna. Była za to ważna i skuteczna jako narzędzie wytwarzania dystynkcji w kraju, w którym właśnie nastąpiło wielkie zmieszanie. Zdobycie biletów stawało się oznaką przynależności do elity, która budowana była częściowo z dawnych środowiskowych hierarchii (scena z Agnieszką Osiecką wchodzącą na spektakl bez kolejki), a częściowo już z kapitalistycznych mechanizmów finansowych.

W tym sensie „Tamara" nie była produktem komercyjnego rynku, którego celem jest zakup towaru przez jak największą grupę osób. Była kreacją kultury świadomie limitowanego dostępu, która choć posługuje się kapitalistycznymi mechanizmami popytu i podaży, bazuje raczej na pozycji niż zasobności portfela. Tak jak d'Annunzio nie może sobie kupić Łempickiej za cenę majątku i władzy, tak widzowie nie mogą po prostu kupić biletów, dysponując określoną kwotą pieniędzy. Potrzebne jest jeszcze coś specjalnego, coś ekstra, czego potwierdzeniem jest właśnie zdobycie (zdobycie, a nie nabycie) prawa wejścia do teatru.

Przewodnim wątkiem „Powrotu Tamary" jest historia urodzonego w 1990 r. Mariusza (Mateusz Smoliński), którego ojciec właśnie w dniu jego narodzin usiłował bezskutecznie kupić bilety na spektakl. Choć miał pieniądze, to biletów nie zdobył, a ponieważ stał w kolejce, nie był też przy narodzinach syna. Ta klęska położyła się cieniem na całym życiu jego i jego żony. Zostali wykluczeni z czegoś, co „Tamara" w roku 1990 wytwarzała. Syn usiłuje zrozumieć, co to było, i za tym pytaniem wchodzi (a my wraz z nim) w reinscenizowany spektakl. Przyjmując rolę spiskowca i rewolucjonisty, nowego szofera d'Annunzia – Maria (w 1990 r. grał go Karol Strasburger – wówczas wciąż bohater serialu „Polskie drogi", dziś pan od sucharów z „Familiady").

Przed 30 laty recenzenci narzekali, że fabuła „Tamary" jest nie dość precyzyjnie spleciona i rozpada się na serię monodramów, które trudno ze sobą połączyć, zwłaszcza gdy z konieczności chodzi się za pojedynczymi wątkami. To samo wrażenie odnieść można w trakcie „Powrotu Tamary", choć Tomaszewski rozgrywa akcję w jednej przestrzeni, uruchamiając karuzelę wirującej w szalonym tempie sceny obrotowej z przemyślnie zbudowaną na niej dwupiętrową konstrukcją willi (scenografia i kostiumy duet Bracia, czyli Agnieszka Klepacka i Maciej Chorąży). Buszewicz przepisał oryginalny scenariusz, zachowując tematy poszczególnych postaci, ale i niejako unieważniając je.

Zamiast wciągać widzów w fabułę, nakręca się ją jako wirujący mechanizm banalnych intryg, nad którymi góruje monstrualne, ale i groteskowe ego d'Annunzia. Styl gry przyjęty przez Jana Peszka nadaje ton nie tylko tej postaci, ale i całej tej partii przedstawienia. Połączenie precyzji i ekscentryczności sprawia, że obserwujemy postać z fascynacją, ale i chłodem. Peszek nie szuka empatii, lecz prezentuje nam niezwykle interesujący okaz. W tej tonacji świetnie odnajdują się pozostali aktorzy, zwłaszcza mający za sobą wrocławską szkołę nowoczesnego teatru Bartosz Porczyk (de Spigna) i Marcin Pempuś (Finzi) oraz wychowana w podobnej szkole, tylko głównie bydgoskiej – Sonia Roszczuk, czyli tytułowa Tamara.

W zasadzie cała pierwsza połowa części „rekonstrukcyjnej" wypełniona jest oczekiwaniem na nią. Tomaszewski bardzo sprytnie wykorzystuje tu przypadkową w końcu okoliczność, że Roszczuk właśnie wchodzi jako „nowa siła" do zespołu Studia. Długie oczekiwanie, nowa w tym teatrze twarz, oryginalna uroda i osobowość aktorki – wszystko to składa się na odmienność jej postaci. Bo ta Polka przybywa do faszystowsko-modernistycznego światka przerafinowanych pragnień, jakby wyjętego z filmów Viscontiego i Sorrentina, by podważyć i zablokować nakręcający go mechanizm. Odmawiając wejścia w grę pożądań, pozostając na pozycji patrzącej z dystansu portrecistki, Tamara wywołuje serię kolejnych demaskacji. Ujawnia się wreszcie to, co najważniejsze – sens „Tamary" z 1990 r.

Żale wcale

„Czemu nie powiedzieli mi, że to jest przedstawienie o śmierci rewolucji?" – słyszymy dramatyczne pytanie, a dramatyzm ten brzmi jak zgrzyt w świecie opanowanym dotąd przez ekscentryczne groteski. Karuzela zatrzymuje się i wracamy do polskich „trudnych pytań".

D'Annunzio konfrontuje się z własną klęską – przegraną artysty, który oddał swoje idee politycznemu hochsztaplerowi za luksus rzekomej wyjątkowości. Iluzję dopełnia klęska „arystokraty ducha" wykorzystanego przez dyktatora. Morał jest oczywisty i wcale nie dotyczy zapomnianego włoskiego poety: miraż kapitalistycznego dobrobytu wiedzie do rezygnacji ze zmiany świata, a to ostatecznie kończy się uległością wobec władzy budowanej na przemocy.

Twórcy i jakaś (może wcale nie mała?) część widzów mogą żywić przekonanie, że sformułowana w ten sposób diagnoza padająca w teatrze znajdującym się tuż obok miejsc niedawnych protestów przeciwko przemocy wobec osób LGBT+ brzmi szczególnie mocno i jest czymś w rodzaju ostrzeżenia, a zarazem oskarżenia. Wprawdzie to pandemia spowodowała, że premiera „Powrotu Tamary" ↦

↦ odbyła się nie w marcu, ale 15 sierpnia, niemniej jednak ta data wydaje się wcale nieprzypadkowa. W samym środku „polskiego sierpnia", sto lat po „cudzie nad Wisłą", 40 lat po „cudzie Solidarności" Tamara powraca, by powiedzieć, że nie spełniliśmy swojej misji, daliśmy się oszukać jak dzieci i już na zawsze zostaniemy w kartonowym świecie tych, którym nie udało się dostać do środka.

Ja jednak wychodziłem z teatru bez poczucia, że stało się coś ważnego czy nowego. Polska kultura, polityka, rozrywka, media, a nade wszystko tzw. praktyczny rozum realizowany w codziennych decyzjach wyrzekły się wiary w rzeczywistą zmianę na długo przed „Tamarą". „Przemiana" roku 1989 była wymianą jednego gotowca na inny, przeprowadzoną przez ludzi wychowanych w społeczeństwie, które wprawdzie lubi śnić o tym, co się stanie, „kiedy prawdziwie Polacy powstaną", ale nigdy tego snu nie traktowało serio.

Ojciec Mariusza cudzą fikcję socjalizmu bez problemu zamienił na cudzą fikcję kapitalizmu, by teraz pozwolić ją sobie opakować w cudzą wersję miękkiego (jak długo?) autorytaryzmu. Wszystko po to, by dać sobie spokój z „polityką" i móc robić „swoje". Jeśli czegoś poza tym potrzebuje, to potwierdzenia własnego znaczenia, choćby przez to, że uda mu się od czasu do czasu dostać na jakąś „Tamarę", nawet jeśli w tej roli wystąpi Zenek na sylwestrze w Zakopanem.

Czy Mariusz na pewno różni się od taty? Kiedy w banalnie polskiej scenie mierzy z rewolweru do d'Annunzia (figury oczywiście ojcowskiej), a potem załamuje się, by teatralnie zadać „dramatyczne" pytanie, myślę, że nie. I że gdyby mu rodzice powiedzieli, o czym jest „Tamara", co najwyżej posmęciłby chwilę nad bezcelowością ludzkich dążeń i złem świata. Całe jego dochodzenie ostatecznie okazuje się jałowe, a wszystkie reżyserskie i dramaturgiczne pomysły wiodą do tego samego: ach, jakże przydałaby się nam rewolucja, ale – ach! – jakże żadna nie jest możliwa...

Na szczęście nie sami Mariusze i nie sami synowie niespełnionych ojców wokół. Są jeszcze inne płcie i inne imiona na M. © DARIUSZ KOSIŃSKI

MATERIAŁY PRASOWE

Elizabeth Debicki i Kenneth Branagh w filmie „Tenet"

Kołowrót Nolana

ANITA PIOTROWSKA

Czy przez ostatnie pół roku nasz czas drastycznie zwolnił, czy może na odwrót – gwałtownie przyspieszył, spełniając tym samym ponure antyutopie?

Odpowiedź zależy pewnie od skali jego pojmowania i od indywidualnego punktu widzenia. Jedno jest pewne: czasu cofnąć nie sposób, nie ma powrotu do stanu „sprzed".

Christopher Nolan w swoim najnowszym filmie zastanawia się, co by było, gdyby jednak można było przesunąć się wstecz na własnej osi czasu. Jego scenariusz wyrasta z odwiecznej ludzkiej fantazji i ze zdobyczy współczesnej nauki, jakkolwiek obie te dziedziny traktuje cokolwiek mechanicznie, w imię widowiska na sterydach. Trzymany do ostatniej chwili w tajemnicy, kończony w cieniu pandemii, z przesuwaną kilkakrotnie datą premiery, „Tenet" pozwala oderwać się od swojego czasu i zanurzyć na dwie i pół godziny w temporalnych meandrach. Ma być także, ze swym niebotycznym budżetem 205 mln dolarów, wyczekiwaną lokomotywą, która przyniesie – kinu i przede wszystkim poszczególnym kinom – nowe otwarcie. To drugie jest dużo bardziej prawdopodobne.

Kiedy apokalipsa czai się tuż za rogiem i wydaje się, że innego końca świata nie będzie, dziwnie się ogląda na ekranie tak wyabstrahowane wizje wojny totalnej. Już nie w wyniku katastrofy ekologicznej, nie z użyciem arsenału nuklearnego, ale „broni odwróconej", pozwalającej dokonać inwersji czasu i unicestwić wszystko. W jednej ze scen Protagonista (tak nazywany jest główny bohater, grany przez Johna Davida Washingtona), zanim ruszy z impetem na misję zażegnania końca, ogląda w gablocie „pozostałości po nadchodzącej wojnie". Musi odnaleźć głównego wytwórcę broni i powstrzymać atak z przyszłości. Kluczem do tej największej zimnowojennej tajemnicy ma być tytułowy Tenet – przedmiot? Technologia? Algorytm? – którego palindromiczna nazwa określa też główną atrakcję filmu Nolana, czyli dwukierunkowość działania czasu.

Już 20 lat temu w „Memento", filmie o utracie pamięci krótkotrwałej, reży-

ser poprowadził akcję na wstecznym biegu, odpominając krok po kroku cały łańcuch zdarzeń. Błądzenie w czasoprzestrzeni było tematem kosmicznego „Interstellara" z 2014 r., a jej zagęszczenie i rozrzedzenie budowało oryginalność „Dunkierki" (2017). Tym razem Nolan bawi się samą fizyczną możliwością cofania obiektów w czasie i w pewnym momencie zaczyna spektakularnie „przewijać" ich ruch do tyłu, równocześnie zachowując teraźniejsze tło. Owo podążanie z prądem i pod prąd, które w finale przynosi istną „wojnę czasów", bywa w filmie ekscytujące. Zwłaszcza że w przeciwieństwie do innych tytułów, których bohaterem jest agent ratujący świat, tu zastosowano umiarkowaną ilość komputerowych efektów specjalnych (na lotnisku w Oslo prawdziwy samolot wbija się w prawdziwy hangar). Również w zdjęciach Hoyte'a Van Hoytemy, absolwenta łódzkiej Szkoły Filmowej, w montażowych cięciach Jennifer Lame czy industrialnej muzyce Ludwiga Göranssona daje się odczuć „rzemieślniczy" sznyt.

Skąd więc bierze się dezorientacja widza? Przez rozszczepienie czwartego wymiaru została ona niejako w ten projekt wpisana, co może być pocieszeniem dla tych, którzy nie nadążają za ustawiczną zmianą wektorów. Bo „Tenet", przy wszystkich swoich afiliacjach z kinem szpiegowskim czy katastroficznym, najbliższy jest podgatunkowi tzw. mózgotrzepów, czyli filmów na kształt figur niemożliwych, ryjących w naszych głowach labiryntowe korytarze bez gwarancji wyjścia. Z drugiej strony można odnieść wrażenie, że Nolan pieczołowicie konstruuje skomplikowane filmowe ustrojstwo, choć sam do końca nie dowierza jego narracyjnej sile. Dlatego przyczepia doń masę tabliczek objaśniających – czy to prawa fizyki kwantowej, czy prawidła samej fabuły. Żebyśmy czuli w powietrzu metafizykę, a jednocześnie mieli pod stopami twardszy grunt.

Kijów, Mumbaj, Londyn, Tallin, to znów „zamknięte miasto" gdzieś w byłym ZSRR – już sama różnorodność scenerii wciąga widza w kołowrót. Kręcą się w nim psychopatyczni rosyjscy oligarchowie (Kenneth Branagh), ich nieszczęśliwe żony przypominające hitchcockowskie piękności (Elizabeth Debicki), indyjskie pośredniczki w handlu bronią (Dimple Kapadia) czy ekscentryczni Brytyjczycy na usługach CIA (Robert Pattinson). Ścigają się z czasem katamaranami, ciężarówkami, luksusowymi autami, mówią z dziwacznym akcentem, mrugają cytatami z popkultury... „Tenet" nie ma jednak tak ciekawej architektury fabularnej, jak „Incepcja" sprzed dekady czy wspomniane „Memento". Tam częścią spektaklu były przygody ludzkiego umysłu, tutaj jest proste w gruncie rzeczy przesuwanie suwaka czasu, które staje się pretekstem dla odwróconych pościgów, wybuchów i bijatyk, nie pozwalając na zanurkowanie w głąb czy choćby na mały skok w bok, w jakieś nieoczywiste kłącze czasu. Afroamerykanin Washington w roli nieustraszonego agenta uderza co prawda w stereotyp białej maści Bondów czy Bourne'ów, ale nie znajduje w scenariuszu możliwości, by przełamać gatunkowy stereotyp. Toksyczne małżeństwo miliardera i Kat, któremu patronuje duch podrobionego Goi, ekscytuje wyłącznie na poziomie smakowitego aktorstwa.

Ktoś powie: a czegóż więcej wymagać od hollywoodzkiego blockbustera, zwłaszcza w ten czas morowy? I będzie miał rację. Lecz jako czysta dystrakcja „Tenet" również nie do końca swoje zadanie spełnia. Owszem – przeczołguje, olśniewa choreografią cofniętego ruchu, to znów tumani, a na koniec dostarcza stosownej gratyfikacji moralnej, jakkolwiek czarny charakter też ma tu swoje racje. Co więcej: udało się Nolanowi przełożyć na język kina pojęcie wstecznej entropii, które reżyser przestudiował pod okiem najwyższej klasy specjalistów. Gorzej z samą opowieścią, której pod względem światotwórczym zupełnie tej powagi nie dostaje. Próżno także szukać w filmie wyszukanej ironii czy autoironii. Można zrobić właściwie tylko jedno: wsiąść na ten rozpędzony, dudniący rollercoaster i po prostu dać się ponieść na złamanie karku. Donikąd. ©

TENET – *reż. Christopher Nolan. Prod. Kanada/USA/Wielka Brytania 2020. Dystryb. Warner Bros Entertainment Polska.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Wojennymi śladami dziadków

Serial dokumentalny, reż. Leo Burley i inni, Wielka Brytania 2019, BBC BRIT, 6 IX, 21.00

Brytyjscy aktorzy i aktorki (Kristin Scott Thomas, Mark Rylance, Helena Bonham Carter, Carey Mulligan) w czterech odcinkach podążają tropem swoich dziadków i ich aktywności podczas II wojny światowej. Jedni wsławili się na froncie, inni z narażeniem życia pomagali ludności żydowskiej w okupowanej Europie.

2. Co zrobisz, gdy świat stanie w ogniu?

Dokumentalny, reż. Roberto Minervini, Włochy/USA/Francja 2018, mojekino.pl, dostępny do 14 września

To lekcja empatii, jaką może dać tylko kino dokumentalne dużego formatu. Reżyser tworzy intymny obraz społeczności Afroamerykanów i rdzennych mieszkańców USA. W cieniu zamieszek na tle rasowym z 2017 r. śledzimy cztery kameralne historie, których bohaterowie próbują przetrwać i jednocześnie zachować godność.

3. Asystentka

Dramat, reż. Kitty Green, USA 2019, CHILI, ipla.tv, Player+, vod.pl

Seksualna afera ze znanym producentem filmowym stanowi tu jedynie luźną inspirację. Na pierwszym planie jest świeżo zatrudniona sekretarka, która odkrywa nadużycia swojego szefa. Pozostaje jednak samotna i bezbronna wobec biurowej zmowy milczenia. A sam film, subiektywnie demonizując postać sprawcy, równocześnie stara się ją symbolicznie unieważnić.

4. Przysięga

Serial dokumentalny, reż. Karim Amer, Jehane Noujaim, USA 2020, odc. 1–9, HBO GO

Pod nazwą NXIVM kryje się prężnie działająca firma amerykańska, która oferuje usługi z zakresu rozwoju osobistego. W rzeczywistości to groźna sekta – jej przywódcom zarzuca się m.in. sutenerstwo, wymuszenia czy kradzież tożsamości. Jedna z byłych uczestniczek szkoleń zdecydowała się prześwietlić mechanizmy działania grupy.

Sarny mają pierwszeństwo

JAKUB KORNHAUSER, POETA:

W jeździe na rowerze jest coś atawistycznego – może przypominać dziką radość ludzi, którzy wymyślili pierwsze wozy.

KATARZYNA KUBISOWSKA: Opowiesz o żabach?

JAKUB KORNHAUSER: A mogę najpierw o rowerach?

Bo ważniejsze?

Bo żaby zaczęły się od rowerów. Gdy byłem mały, tata zabierał mnie na wycieczki, on jechał na gigantycznej damce sprowadzonej z Indii. Bolała go pupa od twardego siodełka, podkładał sobie jaśka. Gdy spotykał znajomych, próbował go ukryć, było mu głupio.

To tata nauczył Cię jeździć na rowerze?

Tata. Ale to mama kupiła mi pierwszy rower, BMX-a, przywieźliśmy go pociągiem z Brzeska. Gdy biegliśmy na dworzec, stoczyłem się razem z BMX-em na peron. Taki był mój pierwszy kontakt z rowerem, ale bynajmniej się nie zraziłem. Zresztą szybko mi tego BMX-a zwinęli z piwnicy, więc nie zdążyłem się najeździć. Dostawałem kolejne rowery, które kończyły swój żywot w ten sam sposób.

Złodzieje rowerów.

Nie, sprzedawcy dywanów! Chodzili po budynku prezentując towar, a ich kolega w tym czasie czyścił piwnicę.

Jakim tata był nauczycielem?

Cierpliwym. Żyjącym we własnym świecie, trochę gdzieś obok.

A te żaby?

W Krakowie jest kilka stawów, jeździliśmy tam z tatą rowerami. Nasz ulubiony był w Opatkowicach, niedaleko zakopianki, tuż przy wyjeździe z Krakowa. Na wiosnę żaby przechodzą z łąk do stawu, by złożyć w nim skrzek. Niezwykły widok: stada żab z całej Małopolski skaczą przez ruchliwą jezdnię, niektóre w ampleksusie godowym, jedna na drugiej, tworząc piętrowe konstrukcje. I część z nich ginęła pod kołami samochodów. W tamtym czasie nie było jeszcze eleganckich znaków drogowych z informacją: „uwaga, płazy". Dlatego tata wpadł na pomysł, by je przenosić.

Gołymi rękami?

Wiesz, jakie one są przyjemne w dotyku? Ciepłe, raczej suche, rzadko które mokre i brudne. Bierzesz żabę albo wieżę z żab i przenosisz z jednej strony ulicy na drugą. Zaraziłem tym moich kolegów, którzy ze swoimi rodzicami jeździli nad stawy i robili to samo. Do tej pory, gdy jestem w okolicznościach przyrody, które pozwalają na tę działalność, oddaję się jej z radością.

No dobrze, a czy pamiętasz moment, w którym po raz pierwszy trzymasz kierownicę i jedziesz na rowerze?

Cudowne, nie do zapomnienia uczucie, kiedy stajesz się panem sytuacji. Rower jest fantastyczny, jeśli chodzi o spełnienie potrzeby swobody w najbardziej elementarnym sensie. Siadasz i właściwie nic cię nie krępuje, możesz jechać, gdzie koła poniosą. W jeździe na rowerze jest coś atawistycznego – to może przypominać dziką radość ludzi, którzy wymyślili pierwsze wozy.

Chodzi o kontakt ze światem?

Do tego ten kontakt jest osobisty. Przyznam, że jeżdżę bez kasku, a to dlatego, że w Polsce nie jest obowiązkowy. Ale nie dość, że jeżdżę bez kasku, to też jeżdżę bez okularów, by mieć jeszcze bliższy kontakt z naturą, z zapachami, obrazami. Kończy się tym, że pod koniec dnia mam mnóstwo much w oczach i muszę je cierpliwie wydłubywać. No i te wszystkie zmarszczki, które się robią, bo non stop mrużę oczy, z wysiłku, słońca, by lepiej widzieć. Cóż, ponosi się straty na urodzie, by szalały endorfiny.

W „Bicycle Race" pada zdanie: „Chcę jeździć tam, gdzie będzie mi się podobało". Freddie Mercury

JACEK TARAN DLA „TP"

Kraków, 27 sierpnia 2020 r.

napisał tę piosenkę inspirowany Tour de France.

A ja w brulionach mojego taty znalazłem jego stare, nigdzie niepublikowane opowiadanie, w którym rower jest dla niego synonimem wolności. Główny bohater wsiada na rower i pędzi w nieznane. Z jednej strony „rower rządził nim, jakby sam miał duszę i to nie byle jaką", z drugiej zapewniał mu lekkość, ucieczkę od trosk. Jazda na rowerze staje się synonimem znikania, wyłamywania się z karbów codzienności. Postrzegam to podobnie. A co do wolności, to tata realizował ją zawsze w najbardziej brawurowy sposób, bo nie ma kompletnie poczucia orientacji przestrzennej. Gdy miał decydować – jechać w lewo czy w prawo – to zawsze wybierał tę złą drogę. Wielokrotnie z wypraw wracał z podartymi spodniami, bo musiał się przedzierać przez chaszcze albo jechał na wozie z sianem, bo utknął nad rzeką i nie mógł się przez nią przeprawić.

Ty jaką masz orientację w terenie?

Niestety, aż za dobrą.

Dlaczego niestety?

Bo to jednak przekleństwo. Nie mogę sobie poflanerować, zgubić się w mieście czy lesie.

Chciałbyś?

Czasami.

W „Premiach górskich najwyższej kategorii", Twojej najnowszej książce, w której piszesz o wyprawach rowerowych w okolicach Krakowa, rzeczywiście cały świat wydaje się być pod Twoją ścisłą kontrolą.

Z jednej strony pisałem te teksty w trybie lekko felietonowym, bałaganiarsko-impresyjnym, a z drugiej są one wyrazem mojego poukładania oraz fascynacji nazwami ulic i miejsc. Nie piszę „na żywioł", choć na pierwszy rzut oka mogłoby się tak wydawać. Lubię szarady i gry słowne, używanie w zdaniu określonej liczby czy sekwencji słów.

Pozostaję pod nieustannym wrażeniem grupy literackiej OuLiPo, której członkowie konstruowali dzieła na podstawie praw obowiązujących w matematyce. Najbliższy jest mi Italo Calvino. W jego „Niewidzialnych miastach" miasta są realistyczne i dotykalne, a jednocześnie oniryczne, dziwaczne, odrębne od znanego nam doświadczenia. Coś takiego chciałem też oddać w moim pisaniu: jest ono w tej książce jednocześnie dziennikowo-autobiograficzne i fikcjonalno-kreacyjne. Obok kronikarskiej dokładności jest pole na harce wyobraźni.

Ciekawe, bo w „Premiach..." jest dużo kronikarskiej dokładności. Peryferie Krakowa wyglądają identycznie jak w Twoich opisach.

Fotografuję oczami. Zapamiętuję mijane napisy i zasłyszane rozmowy. Potem z tych fragmentów buduję opowieść, zawsze jednak filtrując ją przez wymogi świata tekstowego.

Napis, który ostatnio zapadł Ci w pamięć?

„Budynek grozi zawaleniu". Nie, że „zawaleniem grozi", tylko „zawaleniu", więc trudniejsza sprawa. Widziałem też reklamę ubojni drobiu o nazwie „Exodus". A w miejscowości Masłomiąca, koło Michałowic, jest zakład asenizacyjny, czyli zajmujący się wywozem nieczystości z przydomowych szamb, który nazywa się „Szambelan". Do tego „Szambelan" ma fantastyczne logo: słonia, który wysysa trąbą nieczystości z szamba, aż mu się ta trąba trzęsie. Dobrze to świadczy o wyczuleniu społeczeństwa na słowne gierki.

A ludzie, których spotykasz?

Zazwyczaj rozmawiam z mieszkańcami miejscowości, w których robię sobie przerwy. Kiedyś przyjechałem do Szczawy w Beskidzie Wyspowym. Wchodzę do sklepu i pani zza lady o coś mnie pyta, a ja się zacząłem zastanawiać, kiedy przekroczyłem niewidzialną granicę z Węgrami. Okazało się, że ta pani była przedstawicielką górali niskopiennych, zwanych Zagórzanami. I kiedy zorientowała się, że nie jestem stamtąd, to przeszła na hiperpoprawną polszczyznę, taką polonistyczną. Ale gdy wszedł do sklepu kolega z okolicznej miejscowości, od razu przełączyła się na gwarę.

A gwara, która robi na Tobie szczególne wrażenie?

↦

↦ Jeżdżę często rowerem po Śląsku, wtedy chętnie wsłuchuję się w gwarę. Tata, który pochodzi z Gliwic, zna godkę, choć w domu niechętnie jej używał...

Dlaczego?

Moim zdaniem nie chciał przywiązywać się do określonej tożsamości. Wolał być na przecięciu tradycji i kultur – polskiej, śląskiej, żydowskiej i niemieckiej. Z siostrą, jako dzieci, prosiliśmy go, by powiedział coś po śląsku. I on to robił, ale nie umieliśmy ocenić, czy udaje gwarę, czy mówi prawdziwą.

Gdy wyjeżdżasz na obrzeża Krakowa, kogo spotykasz?

Zastanawiam się, czy ludzie, którzy mieszkają na Kępie Grabskiej, w Stryjowie, we Wróżenicach, Cle czy Górce Kościelnickiej, które administracyjnie należą do Krakowa od kilku dekad, a kiedyś były wsiami za Nową Hutą, czują się krakowianami czy lokalnymi patriotami.

I?

Oczywiście czują się lokalsami, nie krakowianami. Do centrum mają 25 kilometrów, niby mieszkają jeszcze w Krakowie, ale takim rozmytym, który wygląda jak sielska wioska z drewnianymi chałupami. Żyją w swojej małej ojczyźnie. To ta część Krakowa, w której jak jedziesz z jednej byłej wioski do drugiej byłej wioski, to widzisz stare tablice z ich nazwami, jakby dzielnice nadal były odrębnymi osadami. Symbolem podwójnego życia może być ulica Gwarecka w Pleszowie – istnieje tylko na mapie. Kiedyś stało przy niej kilka domów, ale ludzie się stamtąd wyprowadzili i wszystko zarosło chaszczami.

Te tereny są nieznane mieszkańcom centrum Krakowa, którzy zapuszczają się w najlepszym razie do „nowej" Nowej Huty, a dalej niekoniecznie. A tam czekają fascynujące rzeczy: cmentarzyk ariański z XVII wieku na górce, z której widać Kraków, choć na pierwszy plan wybija się kombinat hutniczy, a Wawele i Mariackie są małe i daleko. Ciągną się tam kilometrami gigantyczne tunele kolejowe, są kościółki romańskie i dwory, w których straszy. Turystów za to nie ma.

Czyli raj.

„Premie" to poniekąd dług spłacony tacie za te wycieczki, za to, że mnie zaraził rowerowym sposobem patrzenia na świat.

> Fotografuję oczami. Kiedyś jadę rowerem przez Beskid Mały, jestem w Jaszczurowej i widzę, że z lasu zbiega coś dziwnego. Myślałem, że człowiek przebrany za niedźwiedzia. Ale to był niedźwiedź.

Teraz Ty jesteś jego oczami, bo Julian Kornhauser nie może dziś jeździć na rowerze – to konsekwencja udaru, który przeszedł 12 lat temu.

A właśnie cały czas jeździmy na wycieczki. Tata na wózku, który ja pcham. Jutro jedziemy w stronę Ojcowa, będziemy wędrować parę godzin po polach, łąkach, pod górę, w dół. Tata to lubi. Przynajmniej raz w tygodniu staram się go zabierać na dłuższą wycieczkę. Pandemia to zastopowała – bałem się o jego zdrowie. A ja sam, przyznam, jeździłem na rowerze bez przerwy. To było fantastyczne, bo wszędzie pustki, żywej duszy, cisza i spokój, na drogach krajowych byłem sam jak palec, w lasach spotykałem tylko zwierzęta, a rynki miast przypominały skanseny.

W czasie pandemii ludzie pochowali się w domach, a zwierzęta wyszły ze swoich kryjówek.

Raz jechałem szosą przez Lędziny, to miasto między Oświęcimiem, Tychami i Mysłowicami. I nagle robi się poruszenie – jakiś pies zaczyna szczekać, drugi mu wtóruje, coś się dzieje, widzę, że za domami przy drodze coś się porusza, słychać tętent. Jadę dalej, a tu stado saren – ze 40, 50 – sprintem przebiega metr przed moim rowerem.

Sarny mają pierwszeństwo.

Oczywiście! A pod stację kolejową w Piwnicznej-Zdroju wieczorem przyszły jelenie, najwyraźniej spieszyły się na pociąg. W ogóle do zwierząt mam dużo szczęścia. Kiedyś jadę rowerem przez Beskid Mały, jestem w Jaszczurowej i widzę, że z lasu zbiega coś dziwnego. Myślałem, że człowiek przebrany za niedźwiedzia. Ale to był niedźwiedź.

I co?

Ja się zatrzymałem, on się zatrzymał, popatrzył na mnie, ja na niego, była chwila napięcia, ale w końcu coś tam odburknął i sobie poszedł.

Naprawdę masz dużo szczęścia.

Żyjemy w mieście razem z całą masą gatunków. Nad Białuchą, Rudawą czy Dłubnią można spotkać sowy uszate i puszczyki, nie mówiąc o wydrach i bobrach, które, jak kiedyś ogłosił jeden z tabloidów, „ukradły boisko" w Toniach. A w centrum, w parku Jordana, żyje dzięcioł zielony, najpiękniejszy na świecie ptak. Obserwowałem go przez długie tygodnie. Jest całkiem spory, większy od kosa i szpaka, ciemnozielony, od brzucha jaśniejszy, z czerwoną czapeczką na głowie. W poszukiwaniu pożywienia rozgrzebuje mrowiska. Ma wyjątkowo donośny głos, tzw. czarci chichot, słychać go z kilkuset metrów! Ostatnio prawie we mnie wjechał opel astra prowadzony przez buldożka francuskiego. Obok niego siedział facet, który rzucił tylko „o, przepraszamy".

Piszesz w „Premiach..." o ptakach obserwowanych znad kierownicy: gawronach, kwiczołach, szpakach, trznadlach, kulczykach. Nie znalazłam w Twojej książce żadnego wróbla, a w Krakowie jeszcze niedawno było ich mnóstwo.

Wróble mają w Krakowie mniej pożywienia, choćby dlatego, że mniej jest koni, a wróble żywią się końskim łajnem. Teraz przerzuciły się na pizzę i ciastka w kawiarnianych ogródkach. Coraz więcej jest za to srok, które z gniazd wybierają młode ptaki. W Krakowie żyje też dużo drapieżników, w tym jastrzębi i myszołowów. Niektóre z nich wprowadziły się do centrum, jak pustułki, czyli małe sokoły, które niczego się nie boją. To dobry znak od przyrody. Przechodzę kiedyś przez pasy w okolicach Muzeum Narodowego i widzę pustułkę pikującą na kwiczoła – jeden cios w głowę i koniec. Pustułki mają gniazda na wieży kościoła Karmeli-

tów przy Dworcu Głównym. I na Mariackim gniazdują. A na obrzeżach Krakowa – w Branicach, Wolicy czy Toniach – żyje sporo bocianów. Ich młode na tyle już podrosły, że uczą się latać. Rodzice pokazują im, jak wylatuje się z gniazda i robią hop na najwyższy słup wysokiego napięcia. Młode najpierw próbują się wzbić, ale nie za bardzo im to wychodzi, boją się, lądują spłoszone na dachu czy latarni i nie wiedzą, co dalej.

Nauka chodzenia.

Ale to nie wszystko. W okolicach Krakowa, za Czernichowem, można spotkać żurawie, co kiedyś w ogóle się nie zdarzało. Zimorodki, ptaki, które kojarzą się bardziej z piaszczystymi skarpami na dzikich odcinkach rzek, gniazdują niedaleko Zalewu Nowohuckiego. Podobnie wilgi, które mieszkają nad Drwinką koło osiedla Na Kozłówce. Znad kierownicy rowerowej to dobrze widać, tylko musisz oglądać się na lewo i prawo. Masz szansę zobaczyć cały świat.

Rower ma jakieś negatywne strony?

Powoduje ból kręgosłupa. Zwiększa się, gdy jeździsz dużo na kilku rowerach o różnych nachyleniach. Wiadomo, na szosowych prawie leżysz na kierownicy. Dlatego najlepiej mieć na różnych rowerach tę samą geometrię, czyli ustawienie poszczególnych elementów – ramy, kierownicy z mostkiem i sztycy podsiodłowej. I najważniejsze: nie jeździć z plecakiem, choć mnie zdarzało się to dość często. Albo sakwy na bagażniku lub pod siodłem, albo bez niczego, żadnego obciążenia. Druga sprawa to, niestety, pupa.

JACEK TARAN DLA „TP"

JAKUB KORNHAUSER (ur. 1984) jest poetą, eseistą i tłumaczem. Opublikował cztery tomy poetyckie, za „Drożdżownię" otrzymał Nagrodę im. Wisławy Szymborskiej. Niedawno ukazała się jego książka „Premie górskie najwyższej kategorii".

Czyli jednak jasiek na siodełku to podstawa!

Na rowerze szosowym to za bardzo nie pomaga. Ja mam kolarskie spodenki z tzw. pieluchą, czyli miękkim wkładem. Na dłuższą metę to nie daje rezultatu, bo wiadomo: gdy jedzie się dzień w dzień w upale na długie dystanse, to niestety, ale po jakimś czasie robią się odparzenia. To druga rzecz. Trzecia: wiatr. Zanim wybiorę trasę, sprawdzam strony, na których są wykresy z kierunkiem wiatru w różnych miejscach w Polsce. No i patrzę, że jak będzie wiatr wiał ze wschodu, to jadę na zachód, bo chcę mieć wiatr, który będzie mnie popychał. Najgorsze dla kolarza jest jechać przez wiele kilometrów z wiatrem czołowym albo bocznym. Może być wszystko: deszcz, upał, grad, zimno, ale jak wiatr dmie prosto w twarz, to po kilkunastu kilometrach człowiek ma dość wszystkiego. Czwarta rzecz: w cienkich oponach łatwo złapać gumę. Bywa to kłopotliwe, gdy jest się w górach albo gdzieś poza cywilizacją. Czyli złośliwość rzeczy martwych. Choć nie wiem, czy rower jest do końca martwy.

To jaki jest?

Według nowoczesnych teorii antropologicznych środki lokomocji są żywe, zwłaszcza w interakcji z człowiekiem. Kiedy jedziesz autem, to stanowicie rodzaj symbiotycznego organizmu, prawda? Tak samo jest z rowerem, ta więź jest nawet silniejsza. Być może dlatego, że pod względem rozmiaru człowiek i rower są do siebie podobni. Na to nakłada się sposób wprowadzania rowerów w ruch za sprawą mięśni. Rower wydaje odgłosy, skrzypi, gdy coś mu się nie podoba, łańcuch mu spada, trzeba go wyczyścić i naoliwić. Więc to bardzo bliska relacja.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

REKLAMA

MARMIEŁADOW

Reżyseria: Wojciech Mierkułow
Scenografia i kostiumy: Agata Mierkułow
Przekład: Czesław Jastrzębiec-Kozłowski
Fotografia do plakatu: Laura Makabresku
Premiera: 18 września 2020 r.

Spektakl ,,Marmieładow" oparty na fragmencie „Zbrodni i kary" Fiodora Dostojewskiego – tzw. ,,spowiedzi Marmieładowa" jest pierwszą realizacją Teatru Słuchowisko. Bohaterem spektaklu jest były urzędnik państwowy, pijanica – Siemion Marmieładow. W ohydnej spelunce opowiada ,,dzieje żywota swego" – pełne bólu, cierpienia i poniżenia. Marmieładow staje się rzecznikiem i obrońcą godności każdego biednego człowieka. Końcowy fragment wyznania Marmieładowa jest jednym z najpiękniejszych w całej literaturze światowej.

Teatr Słuchowisko założony we wrześniu 2020 roku przez Agatę i Wojciecha Mierkułowów mieści się w piwnicy Kamienicy Pod Śpiewającą Żabą przy ulicy Retoryka 1 w Krakowie. Proponujemy Państwu inny rodzaj doświadczenia teatralnego – opartego na intymności. Widownia mieści zaledwie 20 osób więc każdy spektakl ma charakter kameralny. Scenografia tworzona jest w skali 1:1, więc można powiedzieć, że widz nie podziwia świata przedstawionego, lecz staje się jego częścią.

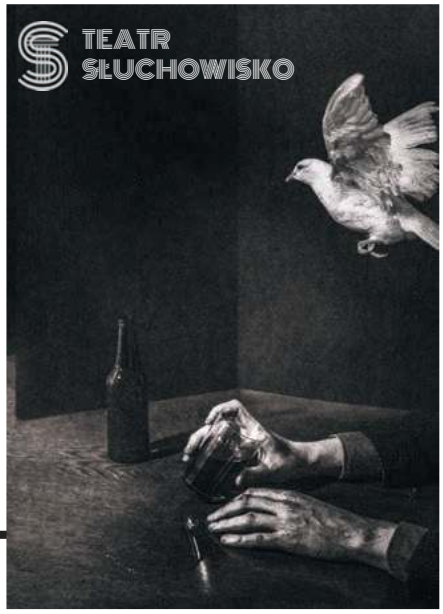

TEATR SŁUCHOWISKO
KRAKÓW UL. RETORYKA 1

WWW.TEATRSLUCHOWISKO.PL
KONTAKT@TEATRSLUCHOWISKO.PL

REZERWACJA BILETÓW:
661 315 019

Nagroda Literacka im. Kazaneckiego

NAGRODA LITERACKA Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego to jedna z najstarszych nagród literackich w Polsce. Po raz pierwszy wręczono ją w roku 1992 (nagradzając najlepszą książkę wydaną w roku poprzednim). Od początku ma charakter regionalny. Najpierw – za sprawą osoby patrona – związana była ściśle z Białymstokiem i jego środowiskiem twórczym. Później jej zakres poszerzył się o całe Podlasie.

„KSIĄŻKA REGIONALNA" to pojęcie szerokie i elastyczne – może oznaczać publikację powstałą na Podlasiu, jak również z nim związaną, nawet jeżeli napisaną i wydaną zupełnie gdzie indziej. Bywa też tak, jak w przypadku wybitnie warszawskiej powieści „ości" Ignacego Karpowicza, że o związkach tekstu z regionem przesądza biografia autora.

W 2019 ROKU, nie rezygnując z misji Nagrody, czyli wspierania lokalnej literatury i jej twórców, ustanowiono nową kategorię – „za najlepszy ogólnopolski poetycki debiut roku, rozumiany jako pierwszy wydany tom danego autora". Motywacja pozostaje niezmienna od początku istnienia nagrody: nobilitacja i wzmocnienie dwóch niszowych, a jednocześnie ważnych i wartych uwagi obszarów literatury współczesnej. Piśmiennictwo regionalne, z różnych powodów (i bynajmniej nie chodzi tu o jego poziom) nie zawsze trafia do szerszego, ogólnopolskiego odbiorcy. Podobnie jest w przypadku poezji.

POMYSŁ OKAZAŁ SIĘ TRAFIONY – chociaż to dopiero pierwsza edycja Nagrody w zmienionej formule, do konkursu zgłoszono aż 34 tomiki. Wśród nich te, które zdążyły już zdobyć renomę i uznanie krytyków: wiersze Juliusza Pielichowskiego, Patryka Kosendy, Kaspra Pfeifera czy Joanny Lewandowskiej. Kapituła po zażartej dyskusji wyłoniła piątkę finalistów. Każdy z nich reprezentuje zupełnie inną poetykę i wrażliwość: od drapieżnego, transgresywnego „Czarnego organizmu" (Pielichowski) po klasycyzujący na poziomie treści i formy zbiór Magdaleny Kicińskiej „Środki transportu".

RÓWNIE ZRÓŻNICOWANE I INTERESUJĄCE okazały się tegoroczne nominacje regionalne: debiutanckie „Dropie" Natalki Suszczyńskiej, okrzyknięte manifestem pokolenia prekariuszy, interesujący nie tylko ze względu na temat (losy mieszkańców wschodnich rubieży Polski), ale przede wszystkim z powodu pisarskiej strategii autorki reportażu Agnieszki Pajączkowskiej „Wędrowny zakład fotograficzny" oraz „Wszystkojedność" Grzegorza Sobaszka, czyli ukłon Kapituły w stronę literatury popularnej.

WYPADA ŻYCZYĆ NAGRODZIE, by kolejny, jubileuszowy rok (w 2021 zostanie przyznana po raz 30.) był równie udany.

© KATARZYNA SAWICKA-MIERZYŃSKA

MATERIAŁ SPONSOROWANY

NOMINACJE 2020

POEZJA
- Magdalena Kicińska „Środki transportu", Wydawnictwo Literackie
- Nina Manel „Transparty", Biuro Literackie
- Juliusz Pielichowski „Czarny organizm", Instytut Mikołowski
- Przemysław Suchanecki „Wtracenie", Biuro Literackie
- Tomasz Ważny „Godzina wychowawcza", Wydawnictwo j

KSIĄŻKA REGIONALNA
- Agnieszka Pajączkowska „Wędrowny zakład fotograficzny", Czarne
- Grzegorz Sobaszek „Wszystkojedność", Szafa
- Natalka Suszczyńska „Dropie", Korporacja Ha!art

Laureatki Nagrody

MICHAŁ SOWIŃSKI

Agnieszka Pajączkowska „Wędrowny zakład fotograficzny"

Zdjęcie za opowieść – tak najkrócej można opisać projekt Agnieszki Pajączkowskiej, który później stał się podstawą książki „Wędrowny zakład fotograficzny" – połączenia reportażu, eseju i powieści drogi. Autorka postanowiła ruszyć w podróż do miejsc zazwyczaj pomijanych w mediach i wyobraźni głównego nurtu. Przejechała setki kilometrów wzdłuż wschodniej granicy Polski, odwiedzając przypadkowych ludzi i oferując im zrobienie zdjęcia portretowego (później drukowanego na przenośnej drukarce). Nie chciała nic w zamian, czasem dostawała słoik domowych przetworów albo koszyk jajek.

Ta nieoczekiwana propozycja budziła najróżniejsze emocje – od wzruszenia, przez niedowierzanie, aż po wrogość (najczęściej wynikającą ze strachu przed byciem oszukanym). Dla większości osób spotkanych przez Pajączkowską podarowane zdjęcie było pierwszym portretem, jaki zrobiono im od lat, a nawet dekad. Posiadanie własnej podobizny w epoce wszechobecnej fotografii cyfrowej wydaje się oczywiste – a jednak dla ludzi żyjących na uboczu współczesnego świata to nieosiągalny luksus. Jakby stali się niewidzialni.

Przy tej okazji pojawiały się również historie – niektóre zwyczajne, inne niesamowite. W opowieściach ludzi starszych

DAWID GROMADZKI / URZĄD MIASTA BIAŁYSTOK

Od lewej: Prezydent Miasta Białegostoku Tadeusz Truskolaski oraz laureatki Nagrody, Nina Manel i Agnieszka Pajączkowska

powracały tragiczne wydarzenia sprzed wielu dekad – odległa przeszłość, która dla wielu wciąż pozostaje bolesną tkanką doświadczenia. Opowieściom towarzyszą opisy codziennego życia polskiej prowincji: ubogiej, pozostawionej samej sobie, wyludniającej się coraz szybciej.

Nie ma tu sielanki, ale są zachwyty nad niespodziewanym pięknem. Także wątki krytyczne – wszechobecny seksizm, patriarchat czy antysemityzm – jednak bez wyższościowego tonu i epatowania patologią. Dlatego książka Pajączkowskiej, która zdaje sobie sprawę z ograniczeń własnej percepcji, to wyjątkowy, wielowymiarowy portret polskiej prowincji.

Nina Manel „Transparty"

Nagradzając debiutancki tomik „Transparty" Niny Manel kapituła Nagrody im. Kazaneckiego pisała o udanym połączeniu kognitywistyki z feminizmem, a także akademii z dyskoteką. W przypadku poezji zgrabne podsumowania zazwyczaj bywają krzywdzącymi uproszczeniami – tu jednak udało się uchwycić istotny element tego zbioru.

Wiersze Niny Manel faktycznie oscylują między różnymi językami, z rozmachem i odwagą łącząc różne rejestry wyobraźni. W ostry i bezpośredni sposób artykułowana jest tu lista krzywd, wyrządzanych z wyrachowaniem, ale też nieświadomie – ot, szarosina codzienność w świecie przesiąkniętym patriarchalną przemocą. Jednak, jak podkreśla sama poetka, opresja nie zawsze nadciąga z zewnątrz. Jesteśmy w niej zanurzeni po czubki głów, bo wylewa się z każdej szczeliny naszego języka.

Na szczęście mamy poezję z jej subwersywnymi mocami, którymi Manel włada nad wyraz sprawnie. Kolejne wiersze w tomiku skutecznie mylą tropy, meandrują w nieoczekiwanych kierunkach, rozpulchniając skostniałe pokłady naszej zbiorowej wyobraźni. Dlatego jest tu miejsce na kicz, ograne i wyświechtane kalki oraz wyznania jak najbardziej serio – wszystko bowiem tańczy i wiruje, przez co błyszczy nowymi i nieoczywistymi znaczeniami. W ten sposób powstaje również przestrzeń dla postaci, zdań i myśli, które nie mieszczą się w naszej coraz ciaśniejszej i klaustrofobicznej rzeczywistości. A przy tym ton nigdy nie jest do końca ustalony, co broni tę poezję przed łatwym użyciem w bieżących sporach politycznych.

Najskuteczniejszą bronią przeciwko brutalnym podziałom, które próbują przyciąć nasz świat do kilku prymitywnie rozumianych kategorii, jest właśnie nieoczywistość – ciągłe igranie słowami i ich znaczeniami. Bo tylko lekkim, tanecznym krokiem można wyprowadzać ciosy celne i skuteczne. ©℗

REKLAMA

5 IX
19.00
Aula UAM

110-LECIE TEATRU WIELKIEGO W POZNANIU

CZARODZIEJSKI FLET

Die Zauberflöte

Wolfgang Amadeusz Mozart
wykonanie koncertowe
GABRIEL CHMURA, MARIUSZ OTTO

2 X
19.00
Kościół oo. Karmelitów

BEETHOVEN

KONCERT Z OKAZJI
250. ROCZNICY URODZIN KOMPOZYTORA
uwertura *Egmont* op. 84
aria *Ah, perfido!*
Msza C-dur op. 86
GABRIEL CHMURA, MARIUSZ OTTO

PREMIERA
23 X
19.00
foyer I ptr.

IZOLACJA: DON GIOVANNI / CARMEN / DON PASQUALE

KATARZYNA TOMALA-JEDYNAK,
KRZYSZTOF CICHEŃSKI, JULIA KOSEK

PREMIERA
6 XI
19.00
Aula ARTIS

BER. Tryptyk baletowy

BONDARA / EKMAN / RIMEIKIS

PROJEKT JEST REALIZOWANY WE WSPÓŁPRACY Z INSTYTUTEM MUZYKI I TAŃCA W RAMACH KONKURSU „ZAMÓWIENIA CHOREOGRAFICZNE 2020"

7 XI
19.00
Aula UAM

BACH / MAHLER

Koncert fortepianowy A-dur BWV 1055
Koncert fortepianowy d-moll BWV 1052
IV Symfonia G-dur na sopran i orkiestrę kameralną
ARTUR PIZZARO, GABRIEL CHMURA

BILETY DOSTĘPNE W KASACH TEATRU ORAZ NA STRONIE WWW.OPERA.POZNAN.PL

TEATR WIELKI
IM. STANISŁAWA MONIUSZKI
W POZNANIU

INSTYTUCJA KULTURY
SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA
WIELKOPOLSKIEGO

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Enea
MECENAS TEATRU

110
- LECIE TEATRU

BARTEK BARCZYK / LEICA CAMERA POLAND / TEATR IM. J. SŁOWACKIEGO W KRAKOWIE

„Ameri Cane" autorstwa Mirka Kaczmarka, Teatr im. Juliusza Słowackiego w Krakowie

W świecie zapowiedzianego końca

DARIUSZ KOSIŃSKI

Po miesiącach wirtualnego oglądania i wymuszonych zmianach planów sezon teatralny zaczął się wcześniej i z ogromną dynamiką. Włóczykij to za mało – potrzebny będzie pędziwiatr.

Pandemia przerwała poprzedni sezon w połowie, pozostawiając jedynie w sferze zapowiedzi tak oczekiwane spektakle jak „Odyseja" Krzysztofa Warlikowskiego czy „Burza" Weroniki Murek i Grzegorza Jarzyny. Jesień przynosi nadzieję na odrobienie strat. Najważniejsze, żeby się nie bać iść do teatru. Ja już byłem i zapewniam: jest bezpieczniej niż na wyborach prezydenckich, ponadto nikt nie zasłania. Prawdziwy luksus pozwalający w spokoju zająć się spełnianiem obowiązków widza.

Zaraza i apokalipsa

Od lat żyjemy w świecie zapowiedzianego końca. A jednak pandemia jako potencjalna apokalipsa zaskoczyła. Nie hukiem, nawet nie skomleniem, tylko jakoś tak – blaknąc stopniowo i po cichu być może kończy nam się świat. Ludzie teatru już na przymusowej kwarantannie starali się zmierzyć z tym tematem, a jesienią będą te wysiłki kontynuować.

Reagujący błyskawicznie **Teatr im. Szaniawskiego w Wałbrzychu** już 4 września pokaże autorską inscenizację ↦

ŁUKASZ PEPOL / MATERIAŁY PROMOCYJNE TEATRU

„Kamień" według Mariusa von Mayenburga w reżyserii Adama Nalepy. Teatr im. Stefana Jaracza w Olsztynie

↦ „Pani moru" Seba Majewskiego – próbę przemyślenia tego, co się nam wszystkim od marca tego roku przydarzyło. Wałbrzyska scena na pandemiczne ograniczenia reaguje też w inny sposób: tworząc całosezonowy program przedstawień w formie monodramów. Będą to zarówno adaptacje tekstów klasycznych („Cyrano de Bergerac" Rostanda, „Iwanow" Czechowa, „Pani Bovary" Flauberta), jak i projekty odwołujące się do okoliczności jak najbardziej współczesnych (teorie spiskowe w spektaklu Beniamina Bukowskiego czy figura „pacjenta zero" w projekcie Wojtka Ziemilskiego).

Z plagą przy pomocy literackiego filtra zmierzy się Jan Klata, który w **poznańskim Teatrze Nowym** ma reżyserować „Czerwone nosy" Petera Barnesa. Ta osadzona w czasach czarnej śmierci opowieść o zakonnikach, którzy na zagładę próbują odpowiedzieć śmiechem, niemal 30 lat temu cieszyła się już na tej samej scenie popularnością – reżyserował wtedy Eugeniusz Korin. Literacko to może trochę już anachroniczne, ale w rękach Klaty ma szansę odzyskać dotkliwość.

Pandemia przesłoniła na chwilę inne wiszące nad nami zagrożenia, na czele z ekologicznymi, którymi teatr od kilku lat zajmuje się bardzo intensywnie. W gronie artystek konsekwentnie podejmujących tę tematykę czołowe miejsce zajmuje laureatka tegorocznego Paszportu „Polityki", Weronika Szczawińska. Tej jesieni reżyserka wraz z **Wrocławskim Teatrem Współczesnym** zaprosi widzów do świata „Miejskiego ptasiarza", wykorzystując teatr jako narzędzie uwrażliwienia na życie dosłownie przelatujące tuż obok. Lekcję praktycznej ekologii przeprowadzają też twórcy projektu „Grupa Warszawska" realizowanego od lutego w **Nowym Teatrze w Warszawie** pod kierunkiem litewskiej reżyserki Eglė Švedkauskaitė. Jego tematem jest młodzieżowy aktywizm ekologiczny.

Nowy Teatr mierzyć się będzie z problemami współczesnego świata także poprzez gościnne spektakle głośnych reżyserów pokazywane w ramach **Festiwalu Nowa Europa. Zbliżenia**. Otworzy go znany już publiczności polskiej Markus Öhrn, który pokaże sześciogodzinny spektakl „Trzy epizody z życia" odwołujący się do ruchu #MeToo i badający przypadki nadużyć w środowisku pracy. W kolejnych miesiącach w ramach festiwalu będzie można zobaczyć nowe przedstawienia Olivera Frljicia, Driesa Verhoevena i Philippe'a Quesne'a. Polskie warianty swoich projektów stworzą też Markus Öhrn oraz Gob Squad. W Warszawie i Krakowie będzie można obejrzeć współprodukowany przez TR i Stary Teatr spektakl innej gwiazdy europejskich scen Luka Percevala – oparte na dramacie Czechowa „3SIOSTRY".

O końcu świata można też opowiadać z ironicznie-popkulturową przewrotnością. Tak ma zamiar uczynić Marcin Liber w przedstawieniu na podstawie scenariusza Michała Kmiecika. „Król potworów" **Teatru Współczesnego w Szczecinie** dziać się będzie w świecie po katastrofie klima-

REKLAMA

tycznej i przegranej przez Polskę wojnie z USA. Scenografem tego przedstawienia jest Mirek Kaczmarek, który od kilku już lat tworzy też swój autorski teatr. Jego kolejnym dziełem jest „Ameri Cane" – spektakl odwołujący się do twórczości Freda Buscaglionego i Charlesa Bukowskiego, napisany, wyreżyserowany i oczywiście skomponowany przestrzennie i plastycznie przez Kaczmarka będzie można zobaczyć w **Domu Machin krakowskiego Teatru im. Słowackiego**. Monodram będący połączeniem teatru i koncertu to zarazem analiza figury męskiego bohatera. Co ciekawe, w tym samym kierunku krytycznej analizy męskości podąży w tym samym teatrze Szymon Kaczmarek w „Agamemnonie" Rodriga Garcíi.

Męski idol, popkultura i jej muzyka, krytyczne spojrzenie na współczesną ludzkość, a nawet scenografia Mirka Kaczmarka pojawią się na scenie także w największym potencjalnym hicie teatralnym początku jesieni – „Lazarusie" Davida Bowiego i Endy Walsha, który we **wrocławskim Capitolu** reżyseruje specjalista od takich mieszanek, Jan Klata.

Staje się jutro

Jesień będzie też czasem ataku nowych artystek i artystów, którzy nie tyle przekraczają tradycyjne granice teatru i innych sztuk, co po prostu ich nie uznają. Od dawna matecznikiem tego ruchu, który Tomasz Plata nazwał „postteatrem", jest **Komuna Warszawa**. Zmuszona do przeprowadzki z Pragi do dawnej szkoły przy ulicy Emilii Plater, prezentować będzie jesienią efekty cyklu rezydencji „Teren wspólny".

Na początek sensacja: „Musical o musicalu Metro" – zrealizowany przez Roberta Wasiewicza i Marcina Miętusa „queerowy remiks" kultowej produkcji, dekonstruowanej z pozycji nieheteronormatywnych. Kolejne premiery „Terenu" odbywać się będą właściwie co weekend od połowy października do początku listopada (wśród twórczyń Marta Jalowska, Natasza Gerlach i Zorka Wollny oraz Piotr Urbaniec), a całość zwieńczy w grudniu premiera nowego przedstawienia Grzegorza Laszuka „Utopia. Kryminał kartograficzny".

Młode twórczynie i twórców proponuje też od lat **TR Warszawa**. Na jego scenie zobaczymy w tym sezonie kolejne ich przedstawienia: „Stream" Katarzyny Minkowskiej, laureatki nagrody Debiut TR 2018, łączący mit o Demeter i Korze ze współczesnością internetu, oraz inspirowane „Jądrem ciemności" Josepha Conrada „Serce" Wiktora Bagińskiego, zdobywcy tej samej nagrody w roku 2019. Swoje zapowiadane już na poprzedni sezon, a bardzo oczekiwane projekty autorskie zrealizują też w końcu dwie reżyserki cieszące się już znacznym uznaniem, a wciąż wytrwale eksperymentujące: Katarzyna Kalwat i Weronika Szczawińska.

W tyle nie pozostaje **Nowy Teatr**. We wrześniu będzie w nim gościć nominowany w tym roku do Paszportów „Polityki" w kategorii „sztuki wizualne" (sic!) choreograf i tancerz Alex Jenkins-Baczyński, a jeden z najważniejszych polskich artystów „postteatralnych", Wojtek Ziemilski, pokaże przedstawienie online zatytułowane „Enter full screen". W kolejnych miesiącach na scenie przy Madalińskiego Małgorzata Wdowik zajmie się „Wstydem", a Katarzyna Kalwat z Jackiem Poniedziałkiem poszuka w biografii aktora sytuacji analogicznych do opisanych w głośnej książce Didiera Eribona „Powrót do Reims".

Gwiazdy w literaturze

Spieszę uspokoić tych, którzy mają alergię na wszelkie „postteatry": teatr wystawiający „sztuki" w możliwie najlepszej interpretacji reżyserskiej i aktorskiej wciąż ma swoim miłośnikom do zaoferowania wiele potencjalnie niezwykłych wieczorów.

Na początek wielki kaliber: „Król Lear". Tragedię Szekspira już 12 września będzie można obejrzeć w **Teatrze im. Modrzejewskiej w Legnicy** w reżyserii Anny Augustynowicz. W przedstawieniu współprodukowanym przez opolski Teatr im. Kochanowskiego tytułową rolę zagra gościnnie Michał Zbrojewicz. Później ten sam tekst w **warszawskim Teatrze Dramatycznym** wyreżyseruje Wawrzyniec Kostrzewski, a w premierze planowanej na styczeń rolę tytułową zagra... Halina Łabonarska.

KAROL BUDREWICZ / MATERIAŁY PRASOWE TEATRU

W teatrze im. Heleny Modrzejewskiej w Legnicy trwają próby do spektaklu „Król Lear" w reżyserii Anny Augustynowicz, 16 czerwca 2020 r.

Do tej legnicko-warszawskiej refleksji nad upadkiem władzy dołącza **Teatr Współczesny**, który zaprosił Jacka Głomba do wyreżyserowania światowej prapremiery sztuki rosyjskiego pisarza Artura Sołomonowa „Jak grzebaliśmy Stalina". W roli Chruszczowa zobaczymy Marcina Trońskiego, Berię zagra Leon Charewicz, a Lenina – Damian Damięcki.

Teatry warszawskie proponują na ten sezon wiele przedstawień tworzonych według recepty: „atrakcyjny tekst, znani aktorzy, sprawny reżyser". **Teatr Dramatyczny** przygotowuje takie klasyki współczesności, jak „Kariera Artura Ui" Bertolta Brechta (reż. Artur Tyszkiewicz) i „Pani Dalloway" Virginii Woolf (reż. Magdalena Miklasz), oraz aspirujące dopiero do tej kategorii nowe teksty, na czele z „Aby ci o tym donieść" Caryl Churchill (reż. Agnieszka Glińska). **Teatr Polski** zapowiada premierę znakomitej sztuki Edwarda Albeego „Trzy wysokie kobiety" z Grażyną Barszczewską, Hanną Skargą i Joanną Trzepiecińską. **Ateneum** zaprasza na typowo gwiazdorską produkcję: znany z kin „Kwartet" Ronalda Harwooda z Magdaleną Zawadzką, Marzeną Trybałą, Krzysztofem Gosztyłą i Krzysztofem Tyńcem. Zapewne ambitniejsze cele stawia sobie Wojciech Faruga ↦

przygotowując w **Teatrze Narodowym** inscenizację „Matki Joanny od Aniołów” Jarosława Iwaszkiewicza, ale i tak dla wielu widzów tej sceny najważniejsze będzie to, że tytułową rolę gra Małgorzata Kożuchowska.

Także poza Warszawą miłośnicy teatru dramatycznego nie powinni narzekać. W **łódzkim Teatrze Nowym** będzie trwać festiwal mistrza inteligentnych i inteligenckich gier scenicznych, Macieja Wojtyszki, który wyreżyseruje dwie idealne na warunki dystansu społecznego sztuki kameralne („Kto odkrył Amerykę?” Chrisy Spilioti i „Obietnicę poranka” Romaina Gary’ego) oraz własną „Żelazną konstrukcję”, wariację na temat „Wesela” Wyspiańskiego.

PIOTR LIS / TEATR ZAGŁĘBIA W SOSNOWCU

W Tearze Zagłębia w Sosnowcu „Ślub” według Witolda Gombrowicza reżyseruje Radosław Rychcik

Reżyserzy wciąż mają pomysły

Wiele teatrów zapowiada przedstawienia, w których ze znanymi tekstami mierzyć się będą twórczynie i twórcy o wyraziście własnym charakterze scenicznego pisma. Po okresie pewnego uśpienia i przesuwanych premier pełen takich propozycji sezon zapowiada **Narodowy Stary Teatr w Krakowie**. Rozpocznie go przedstawienie Tadeusza Nyczka i Mikołaja Grabowskiego według korespondencji Wisławy Szymborskiej i Zbigniewa Herberta, a potem... napięcie wzrośnie. Do Starego wrócą Monika Strzępka i Paweł Demirski z przedstawieniem o seksualności, Michał Borczuch i Tomasz Śpiewak z własną wersją „Aktorów prowincjonalnych”, których sednem będzie spotkanie teatrów Starego i... Polskiego w Podziemiu oraz Agnieszka Glińska z inscenizacją „Wiśniowego sadu” Czechowa.

Nie zabraknie też propozycji młodszych twórczyń (Agnieszka Jakimiak i Magda Szpecht z adaptacją „Fiaska” Stanisława Lema) i twórców (Karol Klugowski reżyserujący własny poetycki scenariusz „Tonąca dziewczyna”, Beniamin Bukowski jako autor i reżyser „Braci polskich”). Wiosną Anna Smolar zmierzy się w autorskim spektaklu z postacią Halki, a Paweł Miśkiewicz z „Biesami” Dostojewskiego.

W wielu miastach część premier została przeniesiona z wiosny, część to propozycje nowe. Do tych pierwszych należą: „Nana” Emila Zoli w reżyserii Moniki Pęcikiewicz w Teatrze Polskim w Poznaniu, adaptacja „Końca z Eddym” Édouarda Louisa w reżyserii Anny Smolar (**warszawskie Studio**) i „Cud mniemany, czyli Krakowiacy i Górale” Wojciecha Bogusławskiego w wersji Cezarego Tomaszewskiego w **Teatrze im. Słowackiego w Krakowie**. Na czoło tych drugich wysuwa się zapowiadana przez **warszawski Powszechny** adaptacja „Biegunów” Olgi Tokarczuk w reżyserii Michała Zadary. Uwagę przykuwa także „Matka” Witkacego, którą w **poznańskim Teatrze Nowym** przygotowuje Radosław Stępień.

Dawne i nowe łączy inny znany reżyser, Radosław Rychcik, który najpierw pokaże w Sosnowcu przełożony z marca „Ślub” Gombrowicza, a potem w Gdańsku nową „Norę” Henryka Ibsena. Formalnie w sezonie poprzednim odbyła się w **lubelskim Teatrze im. Osterwy** premiera adaptacji „Nad Niemnem” Elizy Orzeszkowej przygotowana przez dramaturgiczno-reżyserski duet Hubert Sulima – Jędrzej Piaskowski. W lipcu jednak pewnie jeszcze mało kto ją widział, warto się spieszyć.

Sezon poprzedni i kolejny niejako zlały się w jedno także **w Olsztynie**, gdzie pod koniec sierpnia odbyła się premiera „Opętanych” Witolda Gombrowicza w inscenizacji Igora Gorzkowskiego. Do **Teatru im. Jaracza** wypadnie jesienią wrócić, choćby ze względu na podwójny jubileusz: 95 lat sceny miejskiej i 75 lat polskiej. Z tej okazji zapowiadane są dwa przedstawienia o skomplikowanej i niejednoznacznej historii Europy Środkowej: „Kamień” Mariusa von Mayenburga w reżyserii Adama Nalepy oraz adaptacja reportaży Melchiora Wańkowicza „Na tropach Smętka” w reżyserii Rudolfa Zioły.

Jesienią przypada też jubileusz **Teatru im. Horzycy w Toruniu**, jednak główne obchody jego stulecia przesunięte zostały na wiosnę 2021 r. Ale i tak dla widzów świętem będzie 7 listopada – dzień premiery opartego na księgach biblijnych przedstawienia Jerneja Lorenciego, który kilka lat temu zachwycił publiczność Festiwalu Kontakt swoją „Iliadą”. Z pewnością wiele dyskusji o historii i współczesności wzbudzi „Cholernie mocna miłość” Lutza van Dijka w reżyserii Aleksandry Jakubczak – historia miłości Polaka i żołnierza Wehrmachtu, która w czasie wojny wybuchła właśnie w Toruniu.

W minionych miesiącach wszyscy poznaliśmy trafność przysłowia „chcesz rozśmieszyć Pana Boga – opowiedz mu o swoich planach”. Zastrzec więc na koniec trzeba, że wszystko, co zapowiedziano wyżej, może ulec zmianie.

©DARIUSZ KOSIŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 36/2020

REDAKCJA: Monika Ochędowska | PROJ. GRAF. Marek Zalejski // Do Lasu
FOTOEDYCJA: Jacek Taran | SKŁAD: Zuzanna Kardyś

PARTNER NOSPR

REKLAMA

3. Międzynarodowy Festiwal / 3rd International Festival

OPEN THE DOOR

24 — 27.09.2020
Katowice | TEATR ŚLĄSKI

zagraniczne spektakle | pokazy plenerowe | seanse filmowe | spotkania z artystami

SPOŁECZNA OTWARTOŚĆ W CZASACH FIZYCZNEGO DYSTANSU

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
sponsor
partnerzy

MATERIAŁ PROMOCYJNY

KONRAD ĆWIK / MATERIAŁY PRASOWE NOSPR

Ewa Bogusz-Moore i Lawrence Foster

NOSPR w innym wymiarze

JAKUB PUCHALSKI

„Inny wymiar" — takie hasło przyświeca programowi nowego sezonu artystycznego Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach.

JAKUB PUCHALSKI: Patrząc na program nadchodzącego sezonu wydaje się, że NOSPR uniknął pandemicznej frustracji. Plany wyglądają bardzo okazale.

EWA BOGUSZ-MOORE, DYREKTOR NACZELNA I PROGRAMOWA NARODOWEJ ORKIESTRY SYMFONICZNEJ POLSKIEGO RADIA W KATOWICACH: Nasza rzeczywistość bardzo się zmieniła, ale muzyka niezmiennie pozwala nam rozwijać się emocjonalnie i intelektualnie, odkrywać różne wymiary. To był nasz punkt wyjścia do myślenia o nowym sezonie, który ostatecznie też stąd zaczerpnął tytuł: „Inny wymiar". Inny wymiar muzyczny, inny wymiar rzeczywistości – w przestrzeni, w której możemy czuć się bezpiecznie. Aby osiągnąć ten podstawowy cel, stworzyliśmy plany A i B. Plan A to jest koncepcja pierwotna, która powstawała już od trzech lat, bo tak planuje się sezony. Plan B powstał w reakcji na nową sytuację: mamy przecież obostrzenia nie tylko co do liczby publiczności, ale i liczby muzyków, którzy mogą znajdować się na estradzie. Już w marcu-kwietniu zaczęliśmy więc zastanawiać się, jak stworzyć alternatywny program, dostosowany do ewentualnych ograniczeń, dający bezpieczeństwo, a zarazem będący przemyślaną ideą. Plan B ułożony jest z utworów przeznaczonych na mniejsze składy, które rzadko wykonywane są przez wielkie orkiestry symfoniczne. Wracamy do symfonii Haydna i Mozarta, a także odkrywamy wiele innych fascynujących dzieł.

Ale wśród składów bardziej kameralnych nie brak i wielkich dzieł, np. XIV Symfonii Szostakowicza. Udało się więc w ten sposób ułożyć ciekawe i zróżnicowane programy. Widać też, że początkowo koncerty będą trwały około godziny: rozumiem, że będą grane bez przerwy?

Tak, przerwa zawsze oznacza zwiększone kontakty w zamkniętej przestrzeni. W wielkiej sali koncertowej NOSPR mieści się na widowni 1800 słuchaczy. W tej chwili możemy wypełnić ją w połowie, ale 900 osób to cały czas jest duża liczba – eliminujemy więc ryzyko, bo bezpieczeństwo jest najważniejsze.

A czy – covidowym zwyczajem – przewidują Państwo transmisje online?

Faktycznie planujemy streamingi *live*. Chcemy rozpocząć je od pierwszego koncertu, z Pinchasem Steinbergiem.

NOSPR jest zatem gotowy na różne scenariusze – ale co nowego, specjalnego znalazło się w Państwa scenariuszu dla słuchaczy?

Nowością jest, że mamy artystę rezydenta – to nasz Tymoteusz Bies [śląski pianista, zwycięzca organizowanego przez NOSPR pierwszego Międzynarodowego Konkursu im. Szymanowskiego w 2018 – red.]. Cieszymy się z tego tym bardziej, że w zeszłym roku dołączyliśmy do sieci największych europejskich sal koncertowych European Concert Hall Organisation i w jej ramach współtworzymy serię „Rising Stars" – przedstawiamy wschodzące gwiazdy muzyki klasycznej. W ten sposób młodzi artyści mają okazję zagrać na najważniejszych estradach w Europie.

Wracając do programu: jednym z wątków jest muzyka Beethovena, która w roku jego jubileuszu miała być szczególnie mocno eksponowana, co się przez pandemię niestety nie udało. Wracamy do niego od początku sezonu, zamykając Rok Beethovenowski jego czterema koncertami fortepianowymi. Wykonawcą będzie Saleem Ashkar oraz NOSPR pod batutą Larry'ego Fostera. Natomiast żeby uczcić urodziny kompozytora, przypadające w grudniu, zaprosiliśmy solistę, który gościł u nas w ubiegłym roku podczas specjalnego koncertu dla Medici TV: Marca Coppeya. Wykona sonaty wiolonczelowe.

Wbrew pozorom – wielkie dzieła.

Właśnie! Wybieramy sonaty zamiast pewnie oczekiwanej symfonii, trochę nietypowo, oryginalnie, a jednocześnie bezpieczniej pod względem realizacji, biorąc pod uwagę pandemię.

Inną ważną sprawą jest prezentacja naszych wspaniałych muzyków NOSPR: w sezonie czterech z nich wystąpi w roli solistów. Bardzo będziemy chcieli kontynuować ten kierunek w kolejnych sezonach.

W programie widać też dużo kameralistyki – czy obok gwiazdorskich zespołów, jak Royal String Quartet albo Kwartet Śląski, muzycy NOSPR-u często mają okazję prezentować się i na tych koncertach?

Mamy od lat specjalną serię „NOSPR kameralnie". Kameralistyka jest przecież podstawą rozwijania umiejętności grania w zespole, a w szerszej perspektywie: budowania orkiestry.

Tę umiejętność grania na poły kameralnego w wielkim zespole słychać zwłaszcza, gdy dyryguje Lawrence Foster. Szczęśliwie nie brakuje go w tym sezonie – obawiałem się, że z powodu wirusa jego udział będzie ograniczony.

Dla Larry'ego to jest drugi sezon w roli naszego pierwszego dyrygenta i dyrektora artystycznego. Kolejne też planujemy wspólnie. Naturalnie są utrudnienia wynikające z pandemii, ale Larry jest bardzo zaangażowany i uważa, że jego miejsce jest tutaj, z nami.

A czy to też nie jego rękę widać w zamówieniu utworu u Marca Neikruga?

Tak, to była jego sugestia. Po wsłuchaniu się w muzykę Neikruga stwierdziliśmy, że rzeczywiście jest to coś, co chcielibyśmy zrobić.

To będzie twórczość XXI-wieczna, ale wiele w programie jest też muzyki XX-wiecznej – nawet w ramach serii muzyki dawnej Orkiestra Historyczna będzie grała w połowie taki właśnie program.

Fakt – wynika to z rozmów na temat tego, jak nasza orkiestra chce się rozwijać i w jakim repertuarze poruszać. Podobnie Mozart i Haydn wiążą się po części z ograniczeniami w składzie, ale też z tym, że chcemy do tej muzyki wrócić. Muzyka XX-wieczna jest repertuarem dobrze znanym naszym muzykom, ale bliskim także Larry'emu – są to więc też jego wybory.

Muzyki dawnej, o której wspomniałem, również jednak nie zabraknie. NOSPR od kilku lat ma poświęconą jej serię.

W jej ramach będziemy mieli również Jakuba Józefa Orlińskiego z Il pomo d'oro, „Pasję Mateuszową" z Markiem Padmore'em, „Orlando paladino" Haydna z René Jacobsem. Z innych dużych wydarzeń trzeba też wymienić recital Joyce DiDonato oraz „Potępienie Fausta" z Domingo Hindoyanem.

Na pewno dużymi wydarzeniami mają być też występy gościnne zagranicznych orkiestr. Nie obawia się Pani planować tak ogromnych projektów?

Wizyty są dopiero w planach wiosennych, z Orchestre de Paris z Tilsonem Thomasem w czerwcu jako ukoronowaniem. Rzecz jasna, niczego nie da się w tej chwili zagwarantować ze stuprocentową pewnością, musimy jednak myśleć do przodu. Partnerzy rozumieją to tak samo jak my. Trzeba być przygotowanym na najgorsze scenariusze, ale trzeba też optymistycznie patrzeć w przyszłość.

Ze względu na sytuację przesunęliśmy natomiast na następny sezon nasze własne podróże: powrót do zaprzyjaźnionej Elbphilharmonie w Hamburgu i do Berlina, podobnie trasę po Szkocji.

A może pojawią się nagrania z Państwa pierwszym dyrygentem – którego widzę często na nowych płytach, ale z innymi orkiestrami?

Jako orkiestra radiowa dokonujemy wielu nagrań dla Radia, coraz częściej z Larrym, ale planujemy też wspólne duże nagranie płytowe. Duże, bo ma to być „Czarna maska" Krzysztofa Pendereckiego. Projekt ten niestety został trochę opóźniony przez pandemię.

„Czarna maska" wywołała temat opery, istotny, bo w programie znalazłem „Bal maskowy". Rzecz jasna, w wersji koncertowej. Rozumiem, że to także pomysł Larry'ego. I że skoro pojawił się raz – to będzie wracał?

Tak, ma pan zupełną rację, ten pomysł będzie wracał. Łączy się tu kilka wątków: jeden – opery rozwijają, uelastyczniają orkiestrę, drugi – urozmaicają program, a trzeci – ten gatunek także lubi Larry.

Wreszcie widać też recitale wybitnych pianistów: Sokołowa, Ohlssona. To bardzo cieszy, bo w Polsce, poza Warszawą, recitale pianistyczne praktycznie nie istnieją. Nigdzie nie ma szans usłyszeć mazurków czy sonat Chopina, a w tym roku choćby sonat Beethovena. Sokołow ostatnio już nie przyjeżdża do Krakowa – może zacznie przyjeżdżać do Katowic?

Mam nadzieję!

© Rozmawiał JAKUB PUCHALSKI

Repertuar oraz kalendarz wydarzeń na stronie **nospr.org.pl**

NOSPR

JAN

Klata:
Zmień zakątek

Przypadek gentlemana z Wrocławia, który był łaskaw spontanicznie zaatakować pod kościołem proekologiczny napis „Zmień piec", biorąc go za „Zmień płeć", jest fascynujący tudzież krzepiący, i to z wielu powodów.

Po pierwsze: wbrew oikofobicznym opiniom wyobcowanych elit, nasi rodacy czytają. Gdyby Polacy nie czytali, nie byłoby sprawy. Świadkowie przyznają, że wychodzący ze świątyni ludzie gremialnie odczytywali napis, po czym dawali wyraz swoim odczuciom. Po drugie: stoisko fundacji proekologicznej prowokacyjnie uplasowane zostało pod kościołem Michała Archanioła, stojącego na czele niebieskich hufców dających niezły wycisk Przeciwnikowi oraz jego pomagierom. „Zmień piec"? To są żarty z piekła, one nie mogą ujść płazem. Po trzecie: nie wolno pozostać obojętnym, trzeba reagować adekwatnie do zagrożenia, a nawet wyprzedzać niebezpieczeństwo. Postawny pan z Wrocławia uświadomił sobie, że lepiej zapobiegać, niż leczyć. Jeśli on tak przeczytał dwa wyrazy, to co dopiero dzieci!

Po czwarte: lepiej zdemolować piekielne „Zmień piec", niż przepuścić LGBT „Zmień płeć". Na wszelki wypadek.

Po piąte: sprawca demolki nawiązał uprzednio dialog z ekologami, wykrzykując „Nawet pod kościołem stoicie?". Ekolodzy nie podjęli dialogu, a mogli przytaknąć, co z pewnością rozładowałoby napiętą sytuację. Jak widać, sprawa nie jest czarno-biała. Po szóste: kopnął, a mógł zabić. Zareagował adekwatnie do zagrożenia. Po siódme: był na rowerze, a to zdrowo. Po ósme: sprawca nie jest prawicowym radnym protestującym przeciwko nazwaniu żłobka Tęczowy Zakątek. To dwaj różni ludzie z Dolnego Śląska w Polsce. Po dziewiąte: żłobek nie miał się nazywać Tęczowy Zakątek, tylko Tęczowa Kraina. Radny nie doczytał, ale... Po dziesiąte: kraina to jeszcze gorzej niż zakątek.

Kiedyś było tu ściernisko, teraz będzie San Francisco. Hańba! Ludzie chwytają za widły, tną po oczach brzytwą Ockhama, walcząc z mnożeniem literek w skrótach i kolorów w tęczy, zastrachani o nie dość czarno-białe jutro, co to się kojarzy. ©

Lektor:
Poszerzenie mapy

▪ **CZARNA KSIĘGA** *pod redakcją Ilji Erenburga i Wasilija Grossmana. Z języka rosyjskiego przełożyli Małgorzata Buchalik, Halyna Dubyk, Halina Grubowska, Mirosława Jankowska, Maria Karachentseva, Kacper Miklaszewski, Tamara Monko-Ejgenberg. Opracowała Joanna Nalewajko-Kulikov. ŻIH, Warszawa 2020, ss. 882.*

Potężny tom przynosi świadectwo podwójne. Warstwę pierwszą stanowią zawarte w nim relacje niedoszłych ofiar bądź świadków Zagłady na wschodzie. To – jak pisze w słowie wstępnym prof. Marian Turski – „zetknięcie z ludźmi, którzy jeszcze wczoraj mieli być rozstrzelani lub potopieni". Pomysł dokumentowania zbrodni przeciwko narodowi żydowskiemu wysunął Albert Einstein, podjął go Żydowski Komitet Antyfaszystowski w ZSRR, redakcję „Księgi" powierzono Erenburgowi i Grossmanowi – znanym już pisarzom i korespondentom wojennym. Erenburg uważał, że do „Księgi" powinny wejść „nie akty oskarżenia, nie protokoły, lecz żywe relacje mające plastycznie uwidocznić cały wymiar tragedii". Tak się też stało – ale „Czarna Księga" w pełnym kształcie wydana została dopiero... w 1993 r. w Wilnie, na podstawie odbitek korektorskich rozsypanego w 1948 r. składu.

I to jest warstwa druga tego świadectwa: historia (nie)wydania „Księgi", spleciona z tragicznymi losami wspomnianego Komitetu, istniejącego od 1941 r. W opowieść o Zagładzie wplata się wątek narastającego urzędowego antysemityzmu w stalinowskiej Rosji. Marek Radziwon przypomina we wstępie, że idea powołania w ZSRR międzynarodowej organizacji żydowskiej wyszła jesienią 1941 r. od działaczy Bundu, Henryka Erlicha i Wiktora Altera, którzy zginęli potem w sowieckim więzieniu. Że powstała w 1944 r. „Księga" nie spodobała się władzy. Że nagonka na Komitet zakończyła się w 1948 r. jego likwidacją, a w 1952 r. odbył się proces, w którym skazano na śmierć pisarzy języka jidysz – Lejba Kwitkę, Pereca Markisza, Dawida Bergelsona. Przewodniczący Komitetu, aktor i reżyser Solomon Michoels, już nie żył. Erenburg i Grossman uniknęli aresztowania.

Kowno, Ryga, Klooga w Estonii, Mińsk, Berdyczów, Babi Jar pod Kijowem, Charków, Odessa, Czerniowce, Kiszyniów, Krym... Nasza mapa Zagłady z gettem białostockim, podwileńskimi Ponarami, Sobiborem, Treblinką i Oświęcimiem bardzo się poszerza, ofiary przestają być anonimowe, wchodzimy w tamtą straszliwą codzienność. Jak w dzienniku Eleny Kutorgene-Buivydaite, dzielnej litewskiej lekarki z Kowna – jednego z nieobojętnych świadków. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Powab pleśni

Trzy biliony siedemset miliardów. Tyle mniej więcej dolarów kontroluje grupa funduszy inwestycyjnych, która niedawno umówiła się, żeby docisnąć władze Brazylii w kwestii wycinania lasów w Amazonii i innych grzechów środowiskowych. Do ambasad brazylijskich w paru stolicach Europy i Ameryki poszły stosowne pisma domagające się spotkań i wyjaśnień. Nie zawierały wprost sformułowanych gróźb – ale wiadomo, czym to się może skończyć. Ot, choćby miesiąc temu jeden z liderów tej grupy Nordea Asset Management wyrzucił ze swojego portfela największą na świecie firmę mięsną JBS właśnie za to, że zbyt wiele przerabianej przezeń wołowiny pochodzi z hodowli odpowiedzialnych za niszczenie lasów i lekceważących standardy humanitarne. Te trzy biliony siedemset to mniej więcej roczny produkt krajowy Niemiec. Oczywiście nie ma co bezpośrednio porównywać, ale chodzi o to, żeby zrozumieć, jak twarda jest pięść przystawiona do szczęki prezydenta Bolsonaro.

Oczywiście trudno się nie cieszyć, że panowie finansiści martwią się o puszczę albo dobrostan rzeźnego bydła. Warto jednak zauważyć, co to oznacza dla naszego życia publicznego: jako pełnoprawni gracze polityczni pojawiają się nam podmioty, które dotychczas uchodziły za neutralne, więc niepoddane żadnym ograniczeniom czy choćby wymogom przejrzystości. Kiedy Facebook albo Apple robi coś, co ma wpływ na życie publiczne, to przynajmniej wiadomo, kogo ewentualnie wezwać na przesłuchanie przed komisją Kongresu czy Parlamentu Europejskiego. Ale w przypadku wielkich funduszy zabierających się za naprawę świata trudno dojść, jak wygląda proces decyzyjny, kto kogo namawia i na co naciska. Podkopuje to demokrację nie mniej niż marsze populistów, telewizyjne pralnie mózgów czy farmy trolli.

Ale może nie ma się co martwić na zapas. Tzw. społeczna odpowiedzialność biznesu pozostaje nadal domeną pustych, wizerunkowych gestów. Jeśli już mówimy o wołowinie i zagładzie planety, to jedna z wielkich sieci fastfoodowych zachwala „niskometanowe" hamburgery. W czym rzecz? Otóż gazy trawienne uwalniane przez krowy to poważne źródło metanu w atmosferze. Gdyby tak sieć zredukowała udział wołowiny w ofercie, a może nawet zamknęła część placówek, planeta by odetchnęła. Na razie wymyślono, żeby krowy karmić trawą cytrynową, przez co będą uwalniać nawet o jedną trzecią mniej gazów, a uzyskane po ich zarżnięciu mięso będzie można ogłosić niskoemisyjnym.

To nie jedyny śmiały ruch tej sieci w grze ze śmiesznością. Postanowiła zacząć sprzedawać hamburgera bez konserwantów i żeby nas przekonać, jaki on naturalny, umieściła w sieci minutowy klip, na którym metodą poklatkową ukazano, jak w miarę upływu czasu buła z kotletem pokrywa się cieniutkim puszkiem pleśni. Po 34 dniach staje się zielonym, oklapłym kapciem. „Piękno prawdziwej żywności polega na tym, że się psuje i staje się brzydka", głosi hasło. Wielkie zaiste odkrycie: jest jeszcze jakieś życie na Ziemi. Bakterie, grzyby, a może i nawet jakiś robaczek – od dzisiaj są dozwolone w kuchni. Odrobina biologii zamiast chemii – rzecz jasna w ściśle określonych ramach i pod nadzorem procedur, proszę tego nie powtarzać w domu, gdyby się wam zdarzyło, że jogurt w lodówce spleśnieje, proszę opuścić mieszkanie, zabezpieczyć okna i wezwać straż pożarną.

Dość tych kpin, przedłużanie trwałości to w granicach rozsądku dobrodziejstwo zwiększające dostępność jedzenia i pomocne w walce z głodem. Sam uważam, że dopiero po przekroczeniu daty ważności jedzenie zaczyna być interesujące. Doceniam też śmiałość menedżerów fast foodu – zestawić „piękno" i „brzydotę" to spore ryzyko. Toż to tak, jakby firma kosmetyczna ogłosiła: „piękno prawdziwej kobiety polega na tym, że dostaje zmarszczek". Święta prawda, ale jednak biznesowe samobójstwo. Piękno prawdziwego życia polega na tym, że wszystko rośnie, a potem kurczy się, kwitnie, więdnie, pachnie i śmierdzi.

Prawdziwie odpowiedzialny biznes, kiedy już zaszczepi światu myśl, że dobra bułka może spleśnieć, mógłby przypomnieć, że jedzenie oznacza trawienie, a trawienie oznacza objawy, które niepotrzebnie tak tłamsimy, łykając kolejne zbędne piguły. Chyba że ludzkie gazy trawienne też okażą się poważnym problemem dla klimatu – ale wtedy już wiemy, co czynić: żujmy trawę cytrynową. ©℗

TEUBNER FOODFOTO / FC / EAST NEWS

Cieszę się, że zjawisko trawiennych gazów przestaje być problemem w dobie dystansowania społecznego, bo jestem prawdziwy Jaś Fasola (czy też Gianni Fagiolo). Właśnie pojawił się świeży jaś – cóż to za rozkosz pojadać go tak bez niczego albo skropionego octem winnym i oprószonego pieprzem. Z drobniejszej białej fasoli robię często danie fagioli all'ucelletto, czyli toskański odpowiednik naszej bretonki. Gotujemy tak ze trzy garści fasoli na osobę w dużej ilości wody, do której dodaliśmy czosnek i parę liści szałwii. Odcedzamy, zachowujemy wodę. Na dużej patelni obsmażamy krótko na oliwie po jednej białej kiełbasce dla każdego, lekko ponakłuwanej. Odkładamy je na bok, na tej samej patelni i tłuszczu podgrzewamy ząbek czosnku i gałązkę rozmarynu, dodajemy pół litra dobrego przecieru pomidorowego, sól, doprowadzamy do lekkiego wrzenia, dusimy bez przykrywki kwadrans, w miarę, jak gęstnieje, dolewamy wody z fasoli. Po tym czasie przekładamy kiełbaski oraz fasolę, dusimy wszystko razem pod przykryciem jeszcze z dobry kwadrans. Udział kiełbasy w tym daniu nie jest konieczny – w wersji „biednej" jest to bezmięsny dodatek do chleba.

GŁOWA LEWANDOWSKIEGO

Wśród romantycznych wzorców polskich bohaterów drugiego takiego ze świecą szukać. Tytaniczna pracowitość i rozum zawsze ponad porywami serca. No, prawie zawsze.

MICHAŁ OKOŃSKI

Kiedy w meczu z Paris Saint-Germain wszystko zostało rozstrzygnięte, kiedy było już wiadomo, że Bayern Monachium wygrał Ligę Mistrzów, a grający w nim Robert Lewandowski został czwartym Polakiem w historii (po Zbigniewie Bońku i bramkarzach: Józefie Młynarczyku i Jerzym Dudku), który sięgnął po najważniejsze w klubowym futbolu trofeum, kiedy owinięty w biało-czerwoną flagę napastnik zapozował już do zdjęć z wielkim uszatym pucharem, to stanął przed kamerami polskiej telewizji. Stanął i się rozpłakał.

Kompleks polski

Ta historia mogła się potoczyć zupełnie inaczej. Kiedy w 2006 r. w warszawskiej Legii uznano, że chłopak nie ma zdrowia do wielkiej piłki, mógł się załamać albo – jak tylu innych młodych zawodników w podobnej sytuacji – zadowolić namiastką kariery. Kiedy cztery lata później w poznańskim Lechu mówiło się o jego zagranicznym transferze, mógł trafić nie do Borussii Dortmund, ale np. do londyńskiego Tottenhamu, tam zaś – na karuzeli zmian trenerów i generalnie prześladującej klub niemożności – zatrzymać się w rozwoju.

Po wyjeździe za granicę mógł nie przełamać polskiego kompleksu, o którym sam wielokrotnie mówił: poczucia, że jako przybysz znad Wisły z definicji jest kimś gorszym od rywali do miejsca w podstawowym składzie. Mógł mieć gorszego agenta, nastawionego raczej na własny szybki zysk niż na rzeczywiste dobro zawodnika. Mógł trafić na inną życiową partnerkę, bo przecież wpływu Anny Lewandowskiej na drogę życiową męża nie sposób sprowadzić do dbania o jego dietę („To jest etykietka, która potrafi przygnieść do ziemi: jestem żoną piłkarza, więc każdy zakłada, że jestem głupią dziunią, która leży i pachnie" – mówi ona sama, będąca tego stereotypu zaprzeczeniem). Mógł nie trafić na najlepszych trenerów świata, z których – jak zgrabnie podsumowano w jednym z artykułów na jego temat, ukazujących się w przeddzień finału Ligi Mistrzów w najważniejszych europejskich dziennikach – Jürgen Klopp nauczył go autoekspresji, Pep Guardiola rozumienia niuansów piłkarskiej taktyki, Carlo Ancelotti sposobów na pozbywanie się nadmiaru presji, a Jupp Heynckess dyscypliny.

Chociaż tę ostatnią miał chyba zawsze, bo jeśli już powyższą wyliczankę zbierze się w jedno, kiedy dołoży się jeszcze fenomenalne zdrowie piłkarza (wśród zawodowych sportowców ze świecą szukać takich, którzy kontuzje łapaliby równie rzadko), kiedy spojrzy się na jego sylwetkę, wyrzeźbioną w sposób dający się porównać jedynie z innym superbohaterem piłki nożnej XXI wieku Cristianem Ronaldo („ma 185 centymetrów i ok. 80 kilogramów samych mięśni", napisał biograf napastnika Bayernu Paweł Wilkowicz) – widać, że tego wszystkiego jest za dużo, by mówić po prostu o szczęściu.

Nazwisko portugalskiej ikony futbolu często przychodzi do głowy, kiedy mówi się i myśli o Robercie Lewandowskim. Podobna wydaje się ich dbałość o własne ciało, o właściwy trening, odpowiednie odżywianie (ostatni kebab kapitan reprezentacji Polski zjadł ponoć w 2012 r., stopniowo eliminując z diety nabiał, słodycze, w końcu gluten), optymalną regenerację (słyszeliście, że śpi tylko na lewym boku, żeby oszczędzać silniejszą prawą nogę?) czy właściwą koncentrację (stosuje ponoć wyrafinowane techniki oddechowe i ćwiczenia stymulujące mózg, co ciekawe: unika tak popularnych w świecie zawodowych piłkarzy gier wideo, za to sporo czyta).

„Nie spotkałem nigdy równie profesjonalnego zawodnika" – mówił o nim podczas pobytu w Monachium Pep Guardiola, który w czasach wcześniejszej pracy z Barceloną miał przecież do czynienia z najlepszym futbolistą naszych czasów, Lionelem Messim.

Pomnik w Lesznie

Messi, Ronaldo, Lewandowski... Zaraz, zaraz, czy my odrobinę nie przesadzamy? Oczywiście: kiedy w polskiej telewizji komentatorzy z emfazą unoszą się nad faktem, że oto nasz słynny napastnik zechciał wrócić we własne pole karne i wybić głową piłkę zagraną przez rywala z rzutu rożnego, trudno nie wzruszać ramionami: robią to wszyscy napastnicy świata. Podobnie trudno nie uśmiechać się ironicznie, kiedy polscy sprawozdawcy potępiają próbujących faulować go bez piłki ↦

OLIVER BEHRENDT / PIXATHLON / EAST NEWS

Robert Lewandowski po meczu Werder Brema – Bayern Monachium, 24 kwietnia 2018 r.

↦ obrońców: kopniaki i kuksańce w takich sytuacjach to również elementarz futbolowego arsenału.

To, że jego twarz spogląda na nas z tylu billboardów, że o narodzinach jego drugiej córki (a wcześniej o kolejnych ciążach Anny Lewandowskiej) informowały najpoważniejsze media, że tabloidy rozpisują się o jego inwestycjach w nieruchomości, a sportowe portale wiedzą, że samo umieszczenie jego nazwiska w tytule materiału jest gwarancją tzw. klikalności, nie jest również niczym nadzwyczajnym w świecie piłkarskich celebrytów. Zresztą napastnik Bayernu nie ma jeszcze pomnika w podwarszawskim Lesznie, gdzie się urodził, czy w Pruszkowie, gdzie zaczął seryjnie strzelać bramki, a statua Ronaldo na Maderze stoi już od dobrych paru lat.

Może nawet jest tak, że dzielimy z Lewandowskim ów prześladujący go na wczesnym etapie kariery „polski kompleks"? Nawet jeśli nie chodzi już o niewiarę, że nasz rodak naprawdę mógł osiągnąć sukces największej kategorii, w naszym wydaniu ten kompleks polega po prostu na utracie zdolności do realistycznej oceny jego talentu.

Trudno nie wyśmiewać fali oburzenia, jaka wybuchła w Polsce po ogłoszeniu wiadomości, że w związku z pandemią koronawirusa miesięcznik „France Football" odwołał swój tradycyjny plebiscyt na przyznanie Złotej Piłki najlepszemu piłkarzowi świata – no bo kto inny, zdaniem oburzonych rodaków, miałby go teraz wygrać? Nawet patrząc na to z dystansem, nie sposób jednak nie zauważyć, że w tym roku – naznaczonym utrzymującym się kryzysem Barcelony Messiego, po wczesnym odpadnięciu z Ligi Mistrzów Juventusu Ronaldo – do rozegrania finału Ligi Mistrzów na placu boju o to wyróżnienie zostawało właściwie tylko dwóch piłkarzy, Polak i grający w PSG Brazylijczyk Neymar. I że gdyby wyizolować z wszelkich rywalizacji tylko jego koronną pozycję, środkowego napastnika, klasycznej boiskowej „dziewiątki" – wśród grających dziś zawodników Robert Lewandowski nie miałby sobie równych.

Statystyki tegoroczne miał zaiste niewiarygodne: 55 goli w 47 meczach, z czego w Lidze Mistrzów 15 (tylko Ronaldo zdobywał w przeszłości więcej, ale w sezonach o dwa mecze dłuższych; w czasie pandemicznym ćwierćfinały i półfinały Champions League rozstrzygano już po jednym spotkaniu, bez możliwości rozegrania rewanżu). Od lat goni lub śrubuje rekordy w Bundeslidze, w Lidze Mistrzów i w reprezentacji Polski. Kibice pamiętają jego cztery gole w meczu Borussii z Realem Madryt, po których zaczęły się podchody Hiszpanów pod sprowadzenie Polaka (on zaś, który miłości żadnemu klubowi nie wyznawał – wcale nie był od tego...), pamiętają też pięć bramek w spotkaniu Bayernu z Wolfsburgiem. Od lat sięga z monachijczykami po mistrzostwa i Puchary Niemiec.

Jestem w pracy

„Głowa. Głowa. Głowa. Nie ma dla napastnika ważniejszej części ciała. Strzelasz bramki tylko wtedy, jeśli jesteś pewny siebie. Masz na boisku ułamek sekundy. I w tym ułamku sekundy albo zostaniesz bohaterem, albo winowajcą" – mówił Pawłowi Wilkowiczowi wspomniany już dawny agent piłkarza Bayernu, sam przed laty utalentowany napastnik Cezary Kucharski.

Przypominały mi się te słowa, kiedy Robert Lewandowski – np. w meczu półfinałowym Ligi Mistrzów z Olympique Lyon – długo nie mógł trafić do siatki, aż w końcu, bynajmniej niespeszony i w sytuacji może nawet trudniejszej niż poprzednie, idealnie wybił się w powietrze i zdobył swojego gola, pieczętującego awans Bayernu do finału. Przypominały się też w trakcie finału, kiedy w pierwszej połowie trafiał w słupek albo kiedy jego główkę – znalazł do niej miejsce w nieprawdopodobny sposób zresztą, całym tułowiem cofając się, a tylko głową robiąc ruch w kierunku piłki – zatrzymał bramkarz PSG Keylor Navas. Było jasne, że następnym razem spróbuje z tą samą pewnością siebie, której przez cały mecz dodawał kolegom, klaszcząc po ich każdym udanym zagraniu. „My, napastnicy – opowiadał Wilkowiczowi jego bohater – żyjemy z automatyzmów". „Zamiast trenować głową, trenowałem sercem" – wspominał z kolei niełatwe początki kariery w Borussii Dortmund, i bynajmniej nie miał to być komplement.

Jego głowa pracuje więc także nad wyłączeniem emocji, wyzbyciem się wątpliwości, nad powierzeniem się nieomylnemu instynktowi. Kiedy jest w pracy – czyli na boisku – nie pozwala sobie na jakikolwiek gest, który w tym bezlitośnie rywalizacyjnym świecie mógłby zostać uznany za przejaw słabości. Oto, dlaczego łzy wydają się ostatnim skojarzeniem z piłkarzem, któremu skuteczność strzelecka nieprzypadkowo przyniosła pseudonim „Terminator".

Może zresztą to, że Robert Lewandowski zdaje się przypominać tak fenomenalnie naoliwioną maszynę, również jest przyczyną niemożności naszego oddania mu sprawiedliwości? Może nasz szacunek i podziw ogranicza nieco ta aż bijąca w oczy doskonałość? Może w świecie futbolowym do kochania wolimy wybierać raczej ludzi mniej idealnych, czasem niewykorzystujących kluczowego rzutu karnego, zmagających się z wielomiesięczną kontuzją albo z cieniem życiowej tragedii, np. poprzedzającego Lewandowskiego w funkcji kapitana reprezentacji Jakuba Błaszczykowskiego?

Trening odpoczynku

Spieszcie się kochać Lewandowskiego. Nie tylko dlatego, że ma już 32 lata, bo sposób, w jaki dba o siebie, gwarantuje, że przed nim jeszcze kilka sezonów na futbolowych szczytach. W jego wieku Zbigniew Boniek kończył już karierę, ale dziś – wraz z rozwojem medycyny sportowej i w ogóle wiedzy o ludzkim organizmie – piłkę nożną można uprawiać wyczynowo znacznie dłużej, a piszący o niej dziennikarze coraz częściej głoszą pochwałę dojrzałości.

Warto zresztą zauważyć, że Lewandowski nie jest aż tak wyeksploatowany, a jego światowa kariera eksplodowała znacznie później niż tych, z którymi bywa porównywany: Messi debiutował w Barcelonie jako szesnastolatek, osiemnastoletni Cristiano Ronaldo przechodził do Manchesteru United, a osiemnastoletni Neymar debiutował w reprezentacji Brazylii. Lewandowski w tym wieku był odrzutem z Legii, za 5 tysięcy złotych przechodzącym do trzecioligowego Znicza Pruszków. W polskiej ekstraklasie pierwszy mecz rozegrał jako dwudziestolatek, w Bundeslidze, gdzie jego kariera również nie eksplodowała od razu – jako zawodnik dwudziestodwuletni.

Ale spieszcie się go kochać również dlatego, że wśród zawsze romantycznych wzorców polskich bohaterów drugiego takiego ze świecą szukać. Takiego, który do talentu dorzuca tytaniczną pracowitość i który po zajęciach przepisanych przez

klubowego trenera dołoży także indywidualne – to jeszcze w Lechu, zachęcony przez Kucharskiego, doskonalił np. technikę biegu, żeby podczas startu do piłki czy w pościgu za nią być o ułamek sekundy szybszy, ale oprócz boiska i bieżni pracował też na siłowni, równocześnie nie tracąc świadomości, że odpoczynek to również „jednostka treningowa". Świadomego siebie nie tylko na poziomie każdego mięśnia, ale także w kwestii może najtrudniejszej – tego, że na szczycie nie zostanie wiecznie.

Znajomi Lewandowskiego mówią, że wśród książek, którymi się otacza, biografie byłych sportowców zajmują od zawsze poczesne miejsce; że myślenie o tym, co będzie po skończeniu kariery piłkarskiej, obchodzi go równie mocno jak przygotowanie do najbliższego meczu.

ADAM CIEREŚZKO / PAP

W barwach Lecha Poznań, lipiec 2008 r.

Komu pachnie strudel

Mówienie o tym, co będzie, jak skończy karierę w chwili, gdy właśnie osiągnął swój największy sukces, również wydaje się tak bardzo niepolskie. Jest jednak bardzo Lewandowskie. A może zresztą przez cały ten tekst próbuję powiedzieć po prostu to jedno zdanie: oto jeden z nas. Możemy mieć wszystko, i to niekoniecznie nagłym zrywem i budową barykady. Niekoniecznie zawsze tylko sercem. Głową. I niekoniecznie zawsze samemu.

W „Nienasyconym" – bo taki jest tytuł biografii Wilkowicza – jest wiele dobrych fragmentów, a ten, w którym widzimy, jak w monachijskiej kawiarni są nagle we czworo: Robert, Anna, autor i strudel, który pożera autor, a w który tamci wpatrują się ze wstrętem, wystawia talentowi biografa może najlepsze świadectwo. Moje ulubione akapity dotyczą jednak przełomowej rozmowy ówczesnego napastnika Borussii z trenerem Jürgenem Kloppem, przed wyjazdowym meczem z Olympique Marsylia.

Jako się rzekło: pierwsze miesiące Polaka w Dortmundzie do łatwych nie należały. To były początki drugiego sezonu: niby Lewandowski miał już pewne miejsce w składzie, ale wszyscy czuli, że to jeszcze nie to, o co chodzi. „Potrzebowałem tego – wspominał Polak tamtą długą dyskusję z charyzmatycznym szkoleniowcem. – Szybko straciłem tatę [w chwili śmierci Krzysztofa Lewandowskiego Robert miał 17 lat – MO]. Musiałem stać się z dnia na dzień mężczyzną. Nie miałem kogoś starszego, z kim mógłbym porozmawiać. I nagle jest ktoś taki".

Innymi słowy: Robert Lewandowski nagle docenił coś, co w świecie futbolu, pełnym pozamykanych w sobie, wrażliwych, ambitnych, wiecznie rywalizujących, a wystawionych przy tym na mnóstwo pokus młodych mężczyzn, jest rzadkością. „Od małego chowałem się na potęgę, wolałem się nie odzywać. A wtedy odkryłem siłę rozmowy" – opowiadał. „To jest częsty problem w sporcie, nie tylko w piłce: brak dobrej rozmowy" – komentował Wilkowicz. Czy tylko w sporcie?

Siła dobrej rozmowy to – inaczej – siła zespołowości. Coś, co bardzo długo szwankowało w gwiazdorskim Paris Saint-Germain. Coś, co od dawna jest siłą Bayernu – nade wszystko zespołu właśnie. W finale, podczas którego Lewandowski wcale nie grał pierwszych skrzypiec, było to widać bardzo wyraźnie. I dobrze: żaden piłkarz – także Ronaldo, Messi albo niewspomniany dotąd inny gigant Zlatan Ibrahimović – nie osiągnie sukcesu w pojedynkę, żeby nie wiem jak piękne bramki zdobywał po solowych akcjach.

Mamy więc: zdrowie i odpowiednie prowadzenie się, trening mentalny i wiarę w sukces, pracowitość, profesjonalizm i samodyscyplinę, sporą dawkę szczęścia i sprzyjające otoczenie (drużyna, której częścią jesteś, agent, rodzina). Wszystko ważne, ale wciąż nie wystarczy. Nie wystarczy, prosta rzecz, także naśladowanie najlepszych. „To jest największa sztuka: odkryć jak najszybciej, co jest twoją mocną stroną, i krzesać, krzesać – tłumaczy fenomen swojego kolegi z reprezentacji Polski pomocnik Mariusz Lewandowski. – Robert sobie zadawał pytania: z kim mam problemy? Mam problemy z samym sobą. Żeby wyciągnąć z siebie maksimum. I krzesał dalej".

Nie wiem, czy właśnie o tym myślał, klęcząc na murawie po ostatnim gwizdku finału Ligi Mistrzów. Wiem, że ostatecznie odpowiedź na pytanie, co zrobić, by być jak Robert Lewandowski, brzmiałaby: nie bądź jak on. Szukaj własnej drogi.

Na trybunach

Nadal wolicie bohaterów romantycznych? Te łzy w trakcie pomeczowego wywiadu były dla was. „Dziękuję wszystkim, którzy mi kibicowali i wierzyli, że mi się uda. Dzięki ich wsparciu było łatwiej. Całe życie grałem dla kibiców, staram się dawać im radość przez strzelanie goli, wygrywanie" – mówił Lewandowski.

Te słowa brzmiały mocniej niż zwykle, bo ze względu na pandemię finał rozgrywano przy pustych trybunach i – autentyczne przecież – wsparcie fanów napastnik Bayernu również musiał sobie zwizualizować. Oddawał też sprawiedliwość drużynie – jej zbiorowemu wysiłkowi w trakcie całego sezonu. Mówił o spełnieniu marzenia, na które ciężko pracował przez tyle lat. O tym, co znaczy dla niego ten sukces jako dla Polaka.

Ale mówił coś jeszcze: „Ten puchar dedykuję mojej rodzinie – żonie, dzieciom i mojemu zmarłemu tacie, który na pewno cały czas gdzieś na mnie patrzył, wierzył we mnie...".

To właśnie wtedy do oczu napłynęły mu łzy. Na chwilę przerwał. Z łamiącym się głosem, spocony i czerwony na twarzy, nie wyglądał już jak doskonale zarabiający model z reklamy albo jak bezwzględna maszyna do strzelania bramek. Był prawdziwy.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

Tekst jest zmienioną i rozszerzoną wersją artykułu, który ukazał się na stronie internetowej „TP" wieczorem po finale Ligi Mistrzów.

STANISŁAW

Mancewicz:
Nizanie literek

Nieprzygotowany do przebywania na otwartej przestrzeni dzisiejszego świata trzydziestoparoletni Polak rzucił się we Wrocławiu na uliczne stoisko propagujące wymianę pieców na urządzenia mniej szkodliwe dla środowiska naturalnego. Stoisko wywrócił i popsuł. Nie był, i zdaje się wcale nie jest, uzależniony od zaciągania się pyłami zawieszonymi czy dwutlenkiem węgla. Po prostu pomylił się i hasło „zmień piec" odczytał jako „zmień płeć". Powszechnie o tym wiadomo, bo niemieckie media głównego nurtu wyżywają się na tym panu, jak nie przymierzając Unia Europejska na gminach wolnych od rozumu, miłości bliźniego i LGBT.

Wadliwy odczyt nietrudnej treści, zamieniony w impuls, wyłączył u tego najzwyklejszego pod naszym czarnym słońcem człowieka elementarną zdolność panowania nad gniewem i aktywnością ruchową. Jego odporność na wizualną perswazję, dość przecież normalną w świecie opętanym reklamą, musimy uznać za zerową. Przekonanie, że oto podczas przechadzki natknął się właśnie na prawdziwie i jawnie działający uliczny warsztat-stragan, w którym wre odrażająca ślusarka zmieniania wrocławianom płci na życzenie, świadczy jednak o znakomitej sile państwowej i kościelnej propagandy. Zdarzenie to powinno dać do tzw. myślenia wszystkim, którzy wciąż jeszcze uprawiają tę skomplikowaną i niewdzięczną czynność, a historia owa jest do zapisania na wołowej skórze, do odczytania głośno, kiedyś tam, gdy będzie tu może nieco mądrzej i nudniej.

Atak na stoisko z piecami zbiegł się nam bardzo szczęśliwie z wizytą na pewnym krakowskim targowisku, gdzie co niedziela kwitnie handel wszelaką starzyzną, w której z niesłabnącą od lat przyjemnością grzebiemy. Tamże – to obserwacja nieco boczna – widać, w co naród przez ostatnie dziesięciolecia z szeroko pojętego piśmiennictwa się zaopatrzył, czego na pewno nie przeczytał i co chce rozpaczliwie sprzedać, a czego absolutnie nikt nie chce kupić. Nie powiemy wprost, co to są za książki i albumy, powiemy tylko tyle, że nie są to wcale zeszyty z rozebranymi paniami.

No więc tamże, przechadzając się pomiędzy hałdami niepopularnych wydawnictw, dosłownie kilka dni temu kupiliśmy sobie niedrogo poszarpaną broszurkę pod tytułem „Jak czytać książki i gazety – wskazówki dla samouków i kółek samokształceniowych". Podręcznik ten, autorstwa Janiny Skarżyńskiej, ukazał się w roku 1946 (wydanie drugie), nakładem wydawnictwa Światowid. Rzecz napisana wartko, drukowana czytelną czcionką, jest w zaskakującym stopniu aktualna, a jej tytuł należy koniecznie rozumieć dosłownie. Słowem, książka ta nie jest jakimś zbiorem wskazówek, jak interpretować literaturę, nowiny, żarciki czy publicystykę, ale jak przygotować się do otwarcia książki bądź gazety (umyć ręce), jak siedzieć (wygodnie, ale bez przesady), jak przewracać stronice i jak czytać (wolno, tylko oczami, nie ruszać w trakcie czytania wargami) oraz w jakim robić to świetle (odpowiednim). Dowiadujemy się, że czytanie książek i gazet to nie jest to samo. Są to zupełnie inne przedmioty, o innym przeznaczeniu, o czym czytelnik powinien wcześniej – zanim zasiądzie do czytania – wiedzieć. Są tam opinie na temat czytania w zespole, na głos i w samotności. Pani Skarżyńska, która była bodaj bibliotekarką, nauczycielką i zaangażowaną działaczką oświatową, daje nam obraz czytania jako czynności wszechstronnie trudnej, i to się zgadza.

Trzeba teraz, na deser, dać tu kluchę ogromnie ciężkostrawną. Jakoś wtedy, w latach 40. XX w. komunistyczne państwo rozpoczęło walkę z analfabetyzmem. Po II wojnie światowej lekko licząc 20 proc. ludności nie składało literek albo miało problem z podpisaniem się, nie było bowiem podpisów elektronicznych. Otóż walka, która przez jakiś czas wydawała się zwycięska, jest – jak widzimy – przegrana. Precz z komuną! – chciałoby się teraz zawołać, rzucając się z pięściami na stoisko z napisem „zmień piec". ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

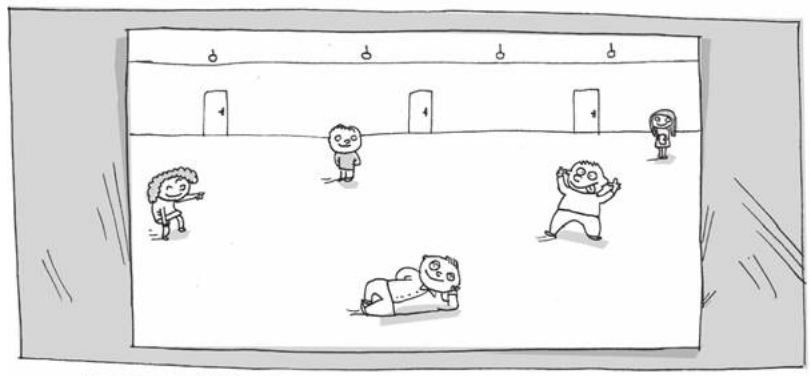

– „A TO NASZA PACZKA W ROKU SZKOLNYM 20/21. BYLIŚMY NIEROZŁĄCZNI."

Jak mieć...?

DOBRE ŻYCIE – najnowsze wydanie specjalne bestsellerowej serii „Tygodnika Powszechnego"

O pojęciach takich jak DOM, MIŁOŚĆ, NADZIEJA, CZAS, WIARA, ŻYWIOŁ czy WOLNOŚĆ opowiadają znakomici Autorzy i Autorki „Tygodnika" oraz ich wybitni rozmówcy.

Wydanie specjalne JUŻ DOSTĘPNE w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą, a także jako e-book na **powszech.net/dobrezycie**

TYGODNIK POWSZECHNY

WSPÓŁWYDAWCA

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNERZY WYDANIA

PRZEKRÓJ

RMF Classic

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / GRAFIKA NA OKŁADCE MARTYNA WÓJCIK-ŚMIERSKA DLA „TP"

REKLAMA

4 — 18 września 2020

mdag.pl

MillenniumDocsAgainstGravity

Millennium 17th DOCS AGAINST GRAVITY FILM FESTIVAL

Warszawa
Wrocław
Gdynia
Katowice
Poznań
Lublin
Bydgoszcz

MECENAS FESTIWALU

Millennium bank

ORGANIZATORZY

OKONAKINO

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY PRZEZ MINISTERSTWO KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY PRZEZ UNIĘ EUROPEJSKĄ

Kreatywna Europa MEDIA

WSPÓŁFINANSOWANIE

TVP KULTURA

WSPÓŁFINANSOWANIE

WSPÓŁFINANSOWANIE

FINA

WSPÓŁFINANSOWANIE

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

WSPÓŁFINANSOWANIE

PARTNERZY

PATRONI MEDIALNI